

TRADYCJONALIŚCI
Papież unieważnia
papieża

UNIA SIĘ NIE COFNIE
Jak za wojnę PiS-u
zapłacą Polacy

ERA PEGASUSA
Twoje życie
w taniej ofercie

ALEKSIJEWICZ
Dostałam Nobla
za słuchanie

KRAJ UPRZEJMOŚCI
Kanada przeprosza
na dzień dobry

Kraków 1 sierpnia 2021 nr 31 (3760) cena 9 zł (w tym 8% VAT)

TYGODNIK POWSZECHNY

Katolickie pismo społeczno-kulturalne
www.TygodnikPowszechny.pl

**HANKA I JACEK
FEDOROWICZOWIE**

Nasze Powstanie





yjsć

ANDRUSZEWSKI
BIEŃCZYK
BŁAŻEJOWSKA
BOBKOWSKI
BRAVO
CHRZANOWSKI
GIERAK-ONOS
HUELLE
JAGIELSKI
KAMIŃSKI
KANIA
KOZIOŁEK
KUBARSKA
KUCZOK
MAGNASON
MARKOWSKI
MILCZAREK
NAPIÓRKOWSKI
OLECH
OLSZEWSKI
PIENIĄŻEK
PRZEWROCKA
RITTENHOUSE
ROBIŃSKI
STASIUK
SZCZEPAŃSKI
SZUMAŃSKA



**TYGODNIK
POWSZECHNY**



Albatros



ANDRUSZEWSKA
BIEŃCZYK
BŁAŻEJOWSKA
BOBKOWSKI
BRAVO
CHRZANOWSKI
GIERAK-ONOSZKO
HUELLE
JAGIELSKI
KAMIŃSKI
KANIA
KOZIOŁEK
KUBARSKA
KUCZOK
MAGNASON
MARKOWSKI
MILCZAREK
NAPIÓRKOWSKI
OLECH
OLSZEWSKI
PIENIĄŻEK
PRZEWROCKA-ADERET
RITTENHOUSE
ROBIŃSKI
STASIUK
SZCZEPAŃSKI
SZUMAŃSKA
TUBYLEWICZ
TUROWICZ
WICHA
WIŚNIEWSKA
ŻYŁA

KS. ADAM

Boniecki: Papież i tradycjonaliści

REFORMĘ LITURGII PRZYJMOWALIŚMY Z ENTUZJAZMEM i niecierpliwością. Konferencja Episkopatu Polski powoli pracowała nad jej polską wersją. Prymas Wyszyński chciał, by teksty były opracowane z największą starannością. Nawet Stolica Apostolska, na skutek pośpiechu, w jakim opracowywano pierwsze wydanie „typicznej wersji nowego mszału” (wyszło w 1970 r.), musiała ogłosić jego drugie wydanie, wprowadzając kilkaset zmian i poprawek. Polska wersja nowego mszału – wydrukowane na małej poligrafii „wydanie studyjne” – ukazała się w roku 1978. Wersję zatwierdzoną przez Rzym mieliśmy w kwietniu 1984 r.

Zachwycała nas wizja nowej liturgii mszy św. To, co było do tej pory, dobrze opisał niemiecki teolog Fritz Tillman (1874–1953) w referacie na kongresie liturgii misyjnej: „Bolesny widok przedstawia udział wiernych w mszach odprawianych w dni powszednie w wielu parafiach. Kapłan ignoruje swoich braci i swoje siostry. Ołtarz odległy od nich czasem o kilkadziesiąt metrów. Kapłan nie zbliża się do nich, nie patrzy na nich; nawet mówiąc »Dominus vobiscum« [„Pan z wami” – red.] oczy ma spuszczone. Nie pozdrawia ich, odwraca się do nich plecami. Przemawia w języku obcym. Słowo Boże czyta dla siebie samego. Modli się sam i wszystko czyni sam. Obcy przybysz mógłby powiedzieć, że na całym świecie nie ma drugiego zebrania, na którym przewodniczący nie patrzyłby na swoich braci, nie pozostawałby w łączności z nimi i nie zwracałby się do nich. Tylko w tej jednej tego nie robi. I to ma być obchód uczty miłości. A przecież na ostatniej wieczerzy wszystko tchnęło wzajemną łącznością, jednością dusz, bratnią miłością, gotowością do usług”.

Nigdy nie zapomnę cudownego przeżycia, którym była msza św. odprawiana po raz pierwszy po polsku, twarzą do uczestników. Było to jeszcze przed zatwierdzeniem polskich przekładów i wprowadzeniem w życie reformy. Kardynał Wojtyła udzielił zgody na te msze św. *ad experimentum* w dusz-



pasterstwie akademickim. Kiedy z o. Tomaszem Pawłowskim opisaliśmy w „Tygodniku” percepcję nowej liturgii przez młodzież, po powrocie z Konferencji Episkopatu Wojtyła upomniął nas (dobrotliwie) za opowiadanie o eksperymencie na forum publicznym.

My, duszpasterze akademicki i chyba w ogóle liczni księża, byliśmy zachwyceni reformą i zżyliśmy się na powolność wprowadzania jej w Polsce. Z niejakim zdziwieniem patrzyliśmy na opory i sprzeciwy lefebrystów i im podobnych.

Dziś rozumiem strategię prymasa. Chodziło nie tylko o staranność. Dziś wiem, jak trudno zmieniać przyzwyczajenia w dziedzinie praktyk religijnych. Wiem np., że w przypadku osób, które nawet w czasie pandemii nie chcą przyjmować komunii św. do ręki, na nic się nie zdadzą żadne argumenty.

Dziwi mnie minimalizm w korzystaniu z nowej liturgii, np. to, że mimo możliwości wyboru jednej z wielu modlitw eucharystycznych, księża prawie zawsze sięgają po drugą (najkrótszą), o czym świadczą najbardziej sfatygowane stronicie w mszale, właśnie z tą modlitwą. Nie wiem też, czemu odmawiane przeze mnie liturgiczne teksty z reguły są zagłuszane śpiewem pieśni. Czy o taki udział wiernych w liturgii chodziło w soborowej reformie? Dziś łatwiej mi zrozumieć rozczarowanie tak stosowaną reformą aniżeli wtedy. Myślę, że papieże Jan Paweł II i Benedykt XVI rozumieli te trudności, i otwierając bezpieczne przestrzenie dla miłośników starych form liturgii, chcieli złagodzić istniejące napięcia.

Tymczasem Franciszek w „Traditionis custodes” stawia tę sprawę inaczej. W *motu proprio* nie interesuje go, czy celebrans stoi przodem czy tyłem do ludu, i jakie odmawia teksty, natomiast nakazuje biskupom sprawdzać, czy ubiegający się o zgodę na sprawowanie starej liturgii „nie wykluczają ważności i prawowitości reformy liturgicznej, nakazów Soboru Watykańskiego II i Magisterium Papieży”. Więc może jednak nie o samą liturgię tu chodzi. © P

OGŁOSZENIE WŁASNE WYDAWCY

Głusi w Polsce Niewysłuchana mniejszość

Bohaterami tekstów Anny Goc są osoby głuche, które posługują się polskim językiem migowym (PJM), a język polski jest dla nich językiem obcym. Jak się im żyje w naszym kraju? Czy ich prawa są respektowane? Na czym polega audyzm, czyli dyskryminacja osób głuchych? Kim są Głusi przez duże „G” i co się kryje za hasłem „duma z bycia Głuchym”?

Czytaj w specjalnym serwisie powszech.net/niewysluchani



22 Cierpliwość się kończy TOMASZ BIELECKI Z BRUKSELI

Po „wojnie trybunałów” Polska tak bardzo zawęziła pole do rokowań i ustępstw ze strony Unii, że ta nie może się już cofnąć. I jest gotowa spełnić groźby finansowe.

42 Wielki bunt w małej wsi MARTA SZPALA Z SERBII

Apatyczne dotąd serbskie społeczeństwo zmienia się, a motorem tych zmian jest ekologia. Grupowe działania pomagają odbudować poczucie wspólnoty.



64 Żywe dusze ROZMOWA ZE SWIETŁANĄ ALEKSJEWICZ:

Kiedy człowiek przystępuje do spowiedzi, duchowny jest pośrednikiem między nim a Bogiem. A kim ja jestem, że tak otwarcie pytam moich bohaterów o najcięższe wspomnienia?



54 Nasze Powstanie ROZMOWA Z HANKĄ I JACKIEM FEDOROWICZAMI:

Tutaj na każdym kroku coś się działo, patrzyliśmy na to oczami dzieci. I to wszystko wraca, do dziś.



48 Licencja na włamywanie

AGATA KAŹMIERSKA, WOJCIECH BRZEZIŃSKI
Na metody inwigilacji niegdyś dostępne tylko najbogatszym wywiadom stać dziś każde państwo. To szpiegostwo w abonamencie.



78 Sorry, Canada!

JOANNA GIERAK-ONOSZKO

Legendaria kanadyjska uprzejmość to nie stereotyp, lecz sposób na życie. Dobre manieri i gotowość do przeproszania pomagają zróżnicowanemu społeczeństwu trzymać się razem.

6 Bardzo zła ugoda
WOJCIECH KONOŃCZUK

7-11 Obraz tygodnia

20-21 Czytania / Widzenia

ABP GRZEGORZ RYŚ
MAŁGORZATA KORDOWICZ
O. WACŁAW OSZAJCA
PIOTR SIKORA

■ **KRAJ**

22 Cierpliwość się kończy
TOMASZ BIELECKI Z BRUKSELI

26 Pokolenie dwóch dołków
PIOTR WÓJCIK *o milenialsach w pracy*

28 Bezpowrotna utrata
KRZYSZTOF STORY *o tym, jak świętokrzyscy oblaci chcą części parku narodowego*

■ **WIARA**

32 Ogon Kościoła i jego głowa
JÓZEF MAJEWSKI:
Kto ma kogo słuchać – wierni biskupów czy na odwrót?

36 Kobiety przejmują inicjatywę
ZUZANNA FLISOWSKA-CARIDI
o tym, jak w Niemczech Kościół przestaje być głównie męski

39 Sekrety modlitwy serca
KS. JACEK PRUSAK: *Modlitwa jest prosta, to my ją komplikujemy – uczyć mnisi z gór Athos*

■ **ŚWIAT**

42 Wielki bunt w małej wsi
MARTA SZPALA Z SERBII

46 Ostrzeżenie nadeszło za późno
ŁUKASZ GRAJEWSKI Z LIPSKA:
Po powodzi w Niemczech spada poziom wody, ale nie skala problemów

48 Licencja na włamywanie
AGATA KAŹMIERSKA,
WOJCIECH BRZEZIŃSKI

TEMAT TYGODNIKA



12 Strażnicy tradycji

SEBASTIAN DUDA

Papież Franciszek unieważnił decyzję poprzednika i utrudnił odprawianie mszy w rycie trydenckim. Sprawa dotyczy jednak czegoś więcej. Czy Kościołowi grozi kolejna schizma?

16 Lepsze wino

ROZMOWA Z PAWEŁM MILCARKIEM,
REDAKTOREM NACZELNYM „CHRISTIANITAS”

Byłoby świetnie, gdyby o kształcie wiary decydowało doświadczenie długiego trwania Kościoła, a nie tylko potrzeba wykonania ostatnich dekretów.

■ **FELIETONY** ■

31 DOROTA MASŁOWSKA **41** ZUZANNA RADZIK

59 ANDRZEJ STASIUK **76** JAN KLATA

77 PAWEŁ BRAVO

82 STANISŁAW MANCIEWICZ

82 BARTOSZ MINKIEWICZ

NA OKŁADCE: HANKA I JACEK FEDOROWICZOWIE
FOTOGRAFIA: MACIEJ ZIENKIEWICZ dla „TP”

Redaktor prowadzący: MARCIN ŻYŁA

51 Nasza broń święta
MARTA ZDZIEBORSKA:
W amerykańskich strzelaninach ginie codziennie 55 osób

■ **HISTORIA**

54 Nasze Powstanie
ROZMOWA Z HANKĄ I JACKIEM
FEDOROWICZAMI

■ **NAUKA**

60 Kosmiczna megafauna
WOJCIECH BRZEZIŃSKI
o kwazarach, największych strukturach we wszechświecie

63 Wojny w rodzinie
ŁUKASZ KWIATEK: *Szympansy napadają na goryle dzieci*

■ **KULTURA**

64 Żywe dusze
ROZMOWA ZE SWIETŁANĄ
ALEKSIEJEWICZ, PISARKĄ,
LAUREATKĄ NAGRODY NOBLA

68 Kultura w domu zachodzącego słońca
IGNACY DUDKIEWICZ:
„Nazywam się Paweł Ilecki. Kiedy walczyłem, żeby mnie wypuszczono z izolacji w DPS-ie, najbardziej chodziło mi o teatr”

72 Pejzaż z pamięci
PIOTR KOŚCIEWSKI o wystawie
Wilhelma Sasnala w Muzeum
POLIN

74 W zapasowym świetle
ANITA PIOTROWSKA o filmie
„Republika dzieci” Jana Jakuba
Kolskiego

76 Odzyskanie przeszłości
LEKTOR o „Słowniku rodzinnym”
Natalii Ginzburg

■ **ZMYŚŁY**

78 Sorry, Canada!
JOANNA GIERAK-ONOSZKO

TYGODNIKPOWSZECHNY.PL

➔ **Walka o wodę**

W irańskim Chuzestanie zabrakło wody i prądu. Jego mieszkańcy wszczęli rozruchy, w których zginęło już siedem osób – pisze **WOJCIECH JAGIELSKI**
www.tygodnikpowszechny.pl/stronaswiata

➔ **Własny pokój: Agnieszka Glińska**

Jak to jest – między próbami mam czas, nie muszę nic robić, ani pędzić na zebranie do szkoły, ani gotować obiadu? Gdy mi się to pierwszy raz zdarzyło, pomyślałam sobie, że tak pracują faceci – mówi **AGNIESZKA GLIŃSKA**, reżyserka i aktorka www.tygodnikpowszechny/podcast



Anna Łabuszewska: ROSYJSKA RULETKA
Autorski serwis specjalny

WWW.TYGODNIKPOWSZECHNY.PL/ROSYJSKARULETKA



f /TYGODNIKPOWSZECHNY ■ t /TYGODNIK ■ i /TYGODNIK ■ y YouTube /TYGODNIKPOWSZECHNY



BARDZO ZŁA UGODA

Porozumienie Waszyngtonu i Berlina nie kończy sporu o Nord Stream 2. Ten rosyjsko-niemiecki projekt gazowy nadal będzie generować spory wewnętrzne w świecie Zachodu.

WOJCIECH KONOŃCZUK

SPRAWA I TAK WYDAWAŁA SIĘ NIEUCHRON-na, a jednak efekt końcowy zaskakuje bardzo negatywnie. W środę 21 lipca Departament Stanu USA oraz niemieckie MSZ ogłosiły osiągnięcie porozumienia w sprawie wycofania amerykańskiego sprzeciwu wobec budowy gazociągu Nord Stream 2. W dokumencie czytamy, że w przypadku agresji Rosji lub użycia przez nią tzw. broni energetycznej zostaną wprowadzone jakieś bliżej nieokreślone sankcje. Waszyngton i Berlin deklarują również podjęcie zabiegów na rzecz utrzymania przez Ukrainę roli kraju tran-

zytowego w transporcie gazu i wsparcie jej transformacji energetycznej sumą do miliarda dolarów, głównie w formie inwestycji (podczas gdy straty Ukrainy po uruchomieniu Nord Streamu 2 sięgną półtora miliarda dolarów rocznie).

Porozumienie wywołało dość powszechne niedowierzanie, że można podpisać tak niekonkretny dokument, niezawierający żadnych mechanizmów prawnych, które zobowiązywałyby do reakcji w razie kryzysu. Negocjowana od miesięcy ugoda amerykańsko-niemiecka w istocie niczego nie rozwiązuje. Jest to prestiżowa porażka dy-

*Kancelarz Niemiec
Angela Merkel
i prezydent USA
Joe Biden
w Białym Domu,
Waszyngton,
15 lipca 2021 r.*

plomacji amerykańskiej, która za cenę ustępstw wobec Niemiec doprowadziła do potężnego nadwyższenia zaufania wobec Stanów Zjednoczonych ze strony ich sojuszników, a w szczególności Ukrainy, najbardziej poszkodowanej po uruchomieniu Nord Streamu 2.

W rachubach administracji Joeego Bidena była to niezbędna koncesja wobec Niemiec, aby mieć je po swojej stronie w polityce wobec Chin, która stanowi najważniejszy priorytet Białego Domu. Z kolei dla rządu w Berlinie porozumienie wokół Nord Streamu 2 jest doraźnym sukcesem. Udało się uzyskać zielone światło od Amerykanów dla uruchomienia tego gazociągu za bardzo nieznaczną cenę – choć również kosztem dalszego spadku swego autorytetu. Co ciekawe, w samych Niemczech nie ma bynajmniej konsensusu politycznego wobec inwestycji, a większość ekspertów od dawna go krytykuje jako wybitnie szkodliwy. Kanclerz Angela Merkel pozostała jednak niewzruszona.

Największym zwycięzcą jest Rosja, która nie tylko uzyskała nowy gazowy instrument wpływu na Unię Europejską, ale doprowadziła też do zasadniczych podziałów wewnątrz Unii oraz w relacjach transatlantyckich. Zaś uruchomienie Nord Streamu 2 będzie oznaczać głęboką przebudowę relacji gazowych w Europie na korzyść Gazpromu.

Porozumienie amerykańsko-niemieckie nie oznacza jednak, że politycznie sprawa jest zamknięta. W przyjętym błyskawicznie wspólnym oświadczeniu szefowie dyplomacji Polski i Ukrainy słusznie ostrzegają, że Nord Stream 2 tworzy zagrożenie dla bezpieczeństwa w regionie. Odwołując się do zawartej w 2014 r. umowy stowarzyszeniowej, Kijów wystąpił do Unii Europejskiej o nadzwyczajne konsultacje, zaś ukraińskie media i eksperci powszechnie mówią o „zdradzie”. Natomiast w USA podnoszą się wyraźne głosy sprzeciwu ze strony zarówno Demokratów, jak też Republikanów, krytykujących treść dokumentu. Amerykański Kongres niejednokrotnie już pokazywał, że może się postawić Białemu Domowi.

To wszystko oznacza, że rosyjsko-niemiecki projekt gazowy nadal będzie generować spory wewnętrzne w świecie Zachodu. ©

Na kawę tylko z certyfikatem

MACIEJ MÜLLER



NIE WEJDZIESZ DO RESTAURACJI, NA KONCERT ani do galerii, nie wpuszczą cię do pociągu – jeśli nie wykażesz się dowodem na zaszczepienie albo aktualnym negatywnym wynikiem testu na SARS-CoV-2. W kolejnych krajach mnożą się nie tylko pomysły, ale i wprowadzane w życie przepisy utrudniające życie niezaszczepionym lub – jak kto woli – dające przywileje zaszczepionym. We Francji w ciągu doby po zapowiedzi obostrzeń zarejestrowało się na szczepienie milion dotąd niezdecydowanych. Cierpliwość władz kończy się też w Grecji, Słowacji, Włoszech czy Izraelu.

Narastają również napięcia społeczne. Chodzi nie tylko o utrudnienia i straty związane z ewentualnymi lockdownami. Duża populacja niezaszczepionych spowoduje dużą liczbę zakażeń w nadchodzącej fali, co może blokować szpitale i wpłynąć na wzrost zgonów z powodu chorób innych niż covid.

W Polsce nie przebijemy granicy 50 proc. zaszczepionych. Obecnie jeszcze 3 proc. populacji czeka na drugą dawkę, do zapisów na pierwszą brak chętnych. Rząd (a także opozycja: *vide* pomysł z blokowaniem świadczących 500 plus) co jakiś czas sonduje opinie

publiczną pomysłami na utrudnienia dla niezaszczepionych, ale żadnych nie wprowadza (jedyne realnie funkcjonujące dotyczą odwiedzin w szpitalach). Minister Niedzielski stawia na perswazję i odwiedza najsłabiej wyszczepione gminy. Tymczasem atmosfera gęstnieje, czego symbolem jest atak na punkt szczepień w Grodzisku Mazowieckim.

W Polsce jesteśmy na wpół ślepi: wykonujemy niecałe 40 tys. testów dziennie, podczas gdy Wielka Brytania przeprowadza ich milion. Ale i tak wiadomo, że fala wzbiera. Nie widać tego jeszcze w liczbach dziennych zakażeń, jednak wskaźnik zakaźności *R* osiągnął poziom 1,3 – tyle było w marcu. Wariant Delta, który odpowiada za nową falę epidemii – jak podkreśla immunolog dr Paweł Grzesiowski – „posiada wybitnie ulepszone zdolności zakaźności i replikacji wewnątrz organizmu”, co powoduje skrócenie okresu wylegania, wydłużenie czasu eliminacji i więcej powikłań. W Wielkiej Brytanii za ogromną liczbą dziennych infekcji nie idą drastyczne wskaźniki hospitalizacji i zgonów – w Polsce może być inaczej, bo nie wyszczepiliśmy dostatecznie nawet grup ryzyka. ©P

Superbohaterowie na głodowych pensjach

W SOBOTĘ obsady nie miało pięć karettek w Rzeszowie. Do wtorku sparaliżowany jest SOR w warszawskim szpitalu na Solcu. Szpital im. Marciniaka we Wrocławiu już od kilku dni nie przyjmuje karettek, śmigłowców ani nawet pacjentów, którzy zgłoszą się osobiście.

Kolejne sparaliżowane oddziały i unieruchomione karetki – tak wygląda protest ratowników medycznych, którzy masowo biorą zwolnienia lekarskie. Powód: „superbohaterowie ratujący życie”, jak wielokrotnie bywali nazywani w trakcie pandemii, często nie mają za co żyć.

Konkretna pensja zależy od formy i miejsca zatrudnienia oraz liczby dyżurów, ale tak niska wypłata to raczej reguła niż wyjątek. Portal RynekZdrowia.pl podaje, że nawet najlepiej zarabiający ratownicy dostają 4700 zł brutto, czyli mniej niż średnia krajowa.

wa. „Godzina pracy ratownika medycznego, człowieka, od którego niejednokrotnie zależy czyjeś zdrowie, a nawet życie (...) wyceniana jest na... 2 kalafiora i 2 kg ziemniaków!!!” – pisze na Facebooku Komitet Protestacyjny Ratowników Medycznych pod zdjęciem umowy ze szpitalem w Katowicach.

Niestety, teraz sytuacja może się jeszcze pogorszyć. 1 lipca weszły w życie nowe zasady naliczania pensji w służbie zdrowia. Co prawda tzw. współczynniki pracy wzrosły dla każdej grupy, tylko że... Ministerstwo Zdrowia zakwalifikowało ratowników jako „inny zawód medyczny” i przeznaczyło im jedną z najniższych pensji. Od 1 lipca część ratowników straciła też tzw. dodatek covidowy. Wiceminister Waldemar Kraska zapewniał wtedy, że nikt nie dostanie mniejszej pensji niż dotychczas. Z relacji komitetu protestacyjnego wynika jednak, że niektóre placówki obcinają, już wcześniej głodowe, pensje.

W momencie zamykania tego numeru w Ministerstwie Zdrowia trwało jeszcze spotkanie z przedstawicielami protestujących.

©P KRZYSZTOF STORY

Ład utknął w Sejmie

MAREK RABIJ



MINĘŁO PIĘDZIESIĄT ZE STU DNI, jakie rząd dał sobie na przygotowanie dziesięciu najważniejszych projektów „Polskiego Ładu”. Na razie udało się uchwalić tylko dwie względnie proste ustawy. Kolejne dwie trafiły do konsultacji, a nad jeszcze jedną trwają dopiero prace. Tymczasem w sierpniu Sejm ma wakacje, a od września będzie musiał pracować także nad przyszłorocznym budżetem.

Jeszcze w maju premier Morawiecki zapewniał, że etap legislacyjny będzie formalnością, ale w tych kalkulacjach szef rządu najwidoczniej nie brał pod uwagę utraty sejmowej większości. W rezultacie uchwalić udało się tylko ustawę znoszącą limity przyjęć u lekarzy specjalistów oraz o dotacjach dla samorządów. Do konsultacji trafiły dwie kolejne – o dodatkowych świadczeniach dla rodzin oraz zmiana umożliwiająca budowę bez pozwoleń domów o powierzchni do 70 m². Kluczowy projekt, jakim jest nowelizacja systemu podatkowego, będąca dziś osią fundamentalnego sporu pomiędzy PiS a koalicyjnym Porozumieniem Jarosława Gowina, istnieje na razie tylko w przestrzeni medialnej.

Polski Ład doskonale funkcjonuje za to w wymiarze propagandowym. Przydrożne billboardy i reklamy radiowe zachwalające „rządowy fundusz” wsparcia dla polskiej gospodarki, rodzin i samorządów towarzyszą Polakom w drodze na wakacje. „Wiadomości” TVP – rzecz jasna w przerwach między kolejnymi materiałami o zgubnych konsekwencjach powrotu Donalda Tuska do krajowej polityki – kreślą baśniową wizję przyszłości zafundowanej przez PiS. Wszystko to oczywiście obietnice na kredyt, które mogą się rozbić o zaostrzający się spór UE z rządem demontującym ostatnie fundamenty państwa prawa. Być może rząd beczelnie blefuje, uważając te 770 mld zł dla Polski za pewnik. Niestety, nie da się również wykluczyć, że PiS z góry obstawia, iż poobijanej przez covid Europie polskie nadużycia ustrojowe wydadzą się mniej niebezpieczne od opóźnień w wypłatach funduszy pomocowych. ©

KRAJ W SKRÓCIE

PROKURATOR

Prokurator generalny Zbigniew Ziobro wystąpił do Sejmu o zgodę na pociągnięcie do odpowiedzialności karnej prezesa NIK Mariana Banasia. Podlegli Ziobrze śledczy chcą postawić Banasiowi kilkanaście zarzutów, m.in. podanie nieprawdy w oświadczeniach majątkowych, a CBA zatrzymała jego syna. Ostatnimi czasy NIK kierował do prokuratury doniesienia w sprawie działań Jarosława Kaczyńskiego, Mateusza Morawieckiego, Jacka Sasina i Mariusza Kamińskiego, zajmuje się też resortem Zbigniewa Ziobry.



ANDRZEJ HULIŚKA / FORUM

RZECZNIK

Nowy rzecznik praw obywatelskich Marcin Wiącek (na zdjęciu) złożył ślubowanie przed Sejmem. Profesor UW i kierownik Zakładu Praw Człowieka na Wydziale Prawa i Administracji tej uczelni został wybrany przy szóstym podejściu.

PREZES

Parlament wybrał także nowego prezesa IPN: został nim dr Karol Nawrocki, dyrektor Muzeum II Wojny Światowej i autor szeregu kontrowersyjnych korekt w tamtejszej wystawie stałej.

PRZEWODNICZĄCY

Nowy lider PO Donald Tusk zmienia władze partii (Borys Budka wrócił na stanowisko szefa klubu parlamentarnego) i zwiększa jej zaplecze: w ostatnich sondażach zdobywa po dwadzieścia kilka procent poparcia, odbierając część elektoratu Polsce 2050 Szymona Hołowni.

Polityka migracyjna wciąż w rozkroku

ORGANIZACJE POZARZĄDOWE alarmowały niecały rok temu: rząd pracuje w tajemnicy nad strategią migracyjną. Dokument ujrzał światło dzienne – ale w ocenie NGO-sów nie jest ani długofalową strategią, ani zbiorem konkretnych rozwiązań.

Rząd tego nie kryje. „Polityka migracyjna Polski – kierunki działań 2021-2022” to dokument wykonawczy, ale – jak czytamy, „bez szczegółowych wskazań konkretnych działań”. Te mają być dopiero przygotowane w ramach międzyresortowego Zespołu ds. Migracji.

Organizacje pozarządowe, m.in. Helsińska Fundacja Praw Człowieka czy Amnesty International, piszą o „lęku i podejrzliwości wobec migrantów i migrantek” przewijających się przez każdy niemal rozdział. Bo – mimo że sporo mówi się o korzyściach dla gospodarki – położono też nacisk na zagrożenia dla rynku pracy oraz walkę z nadużywaniem prawa do azylu i traktowaniem Polski jako kraju tranzytowego.

Rozwiązaniem ma być monitorowanie i analiza „legalnej migracji”, a z drugiej strony wprowadzenie tzw. trybu granicznego rozpatrywania wniosków o azyl, współpraca z Fronteksem i wspieranie krajów zewnętrznych w ograniczaniu „nielegalnej migracji”, czyli przerzucanie brudnej nierzadko roboty na innych.

– Powinniśmy mieć najpierw ramy, czyli doktrynę migracyjną, w której mieściłyby się rozwiązania krótkoterminowe – mówił niemal rok temu Paweł Kaczmarczyk z Ośrodka Badań nad Migracjami UW.

I choć w ogłoszonym właśnie dokumencie zawarło wiele ważnych postulatów, od dawna zgłaszanych przez różne środowiska, to z racji na jego ogólny charakter organizacje wątpią w prawidłowe wdrożenie konkretnych rozwiązań. © BARTOSZ RUMIŃCZYK

Inter-niet

ROSJA ZDOŁAŁA bezpiecznie odłączyć się od globalnego internetu – podał rosyjski serwis RBK, powołując się na dokumenty grupy roboczej, której zadaniem było przeprowadzenie takiego eksperymentu.

Próby z udziałem największych firm telekomunikacyjnych odbywały się od 15 czerwca do 15 lipca. Z dokumentów cytowanych przez RBK wynika, że po odłączeniu się od reszty świata „Runet” – jak nazywa się serwery w rosyjskiej domenie internetowej – funkcjonował bez większych zakłóceń (choć nie podano, na jak długo Rosja wypięła się z sieci).

Testy mają oczywiście kontekst polityczny i militarny. Moskwa chce się upewnić, czy na wypadek konfliktu zdoła zabezpieczyć swoje cyfrowe zaplecze przed cyberatakami z zagranicy – przede wszystkim z USA oraz Chin. Rosyjscy działacze na rzecz wolności słowa obawiają się z kolei, że tego typu działania mogą wzmocnić i tak już daleko posuniętą kontrolę rządu nad Runetem.

© MR / REUTERS



PAMEŁ BELKOWSKI / POLSKA PRESS / EAST NEWS

TO WCIĄŻ NAJWIĘKSZE ŚWIĘTO SPORTU – choć wiele zasad dyktuje pieniądź, a przez pandemię ponad 11 tys. zawodników czekało na start aż pięć lat. W Tokio rozpoczęły się Igrzyska XXXII Olimpiady. Kibicować możemy np. 13-letniej Sky Brown, brytyjskiej skateboardzistce potrafiącej wykonać w powietrzu dwa pełne obroty (najmłodsza olimpijka, 12-letnia tenisistka stołowa Hend Zazie z Syrii, odpadła już z igrzysk). Indonezja – gdzie badminton jest popularny tak, jak u nas piłka nożna – trzyma kciuki za Kevina Sanjaya Sukamuljo, Kenia zaś – za Eliuda Kipchoge, który przebiegł maraton w czasie poniżej dwóch godzin. Na zdjęciu: reprezentacja Polski podczas ceremonii otwarcia igrzysk, 23 lipca 2021 r. ©© ŻYM

Statystyki wysokie, ale restrykcje znikają

LONDYN KONTYNUUJE odmienną niż reszta Europy strategię walki z epidemią: w Anglii zniesiono ograniczenia i kraj, jak mówią politycy, uczy się żyć z covidem. Pozostałe krainy Zjednoczonego Królestwa (Walia, Szkocja i Irlandia Północna) woła jeszcze poczekać z pełnym otwarciem.

Na swój Dzień Wolności, jak go nazwano, Anglicy czekali długo – restrykcje miały zniknąć w czerwcu, ostatecznie poczekano do 19 lipca. Także ten termin był pod znakiem zapytania ze względu na liczbę zakażeń spowodowaną mutacją Delta: 17 lipca przekraczała w całej Wielkiej Brytanii 50 tys. nowych przypadków, z czego ogromna większość przypadała na Anglię. Jednak premier Johnson i minister zdrowia Javid przekonywali, że dzięki szczepieniom (dwie dawki przyjęło 70 proc. dorosłych, a co najmniej jedną 88 proc.) zależność między liczbą zakażeń a liczbami chorych w szpitalach i zmarłych znacznie osłabła i można sobie pozwolić na zdjęcie restrykcji. Choć liczba zgonów znów rośnie, wynosi kilkadziesiąt dziennie, a nie kilkaset, jak w styczniu, gdy ostatnio zakażało się tyłu ludzi.

W Anglii nie trzeba więc już nosić maseczek, otwarto nawet kluby nocne. Utrzymanie środków ostrożności jest zalecane, ale tę odpowiedzialność przerzucono na obywateli. I rzeczywiście, w sklepach czy autobusach bardzo wielu Brytyjczyków nadal nosi maseczki.

Część ekspertów krytykuje strategię Anglii: nazywa to eksperymentem, który może prowadzić do kolejnej mutacji. Są też opinie, że rząd liczy po cichu, iż duża liczba infekcji (głównie wśród młodych, największej grupy wśród zakażonych) i masowe szczepienia pozwolą osiągnąć odporność zbiorową; rzecznik rządu temu zaprzecza. Władze twierdzą, że przy luzowaniu obostrzeń wzrost zakażeń jest nieunikniony, a lato jest lepszym na to czasem niż jesień, gdy dzieci wrócą do szkół i nastanie sezon grypowy. Optymiści wskazują, że w ostatnich dniach zakażenia spadły do 30-35 tys. dziennie. To jednak następne tygodnie pokażą, czy szczyt obecnej fali już minął i czy z covidem faktycznie można normalnie żyć.

Jest za to nowy problem: poziom infekcji sprawia, że rządowa aplikacja śledząca kontakty kieruje na kwarantannę setki tysięcy ludzi tygodniowo, a to utrudnia pracę wielu firm. Ostatnio z braku personelu w weekendy zawieszano niektóre linie londyńskiego metra. ©© PATRYCJA BUKALSKA z Londynu

Nowy początek starego konfliktu



WOJCIECH JAGIELSKI

WOJNA DOMOWA, KTÓRA WYBU-chła w Etiopii jesienią ubiegłego roku w Tigraju, jednej z dziesięciu etiopskich prowincji, w lipcu przybrała nową postać i objęła dwie kolejne prowincje. Wtedy, jesienią, wojsko rządowe łatwo wzięło górę nad buntownikami z Tigraju, którzy wycofali się w góry i skrzyknęli w partyzantkę. Stłumiwszy rebelię, aż do wiosny rządowe wojsko wraz ze wspierającymi je milicjami Amharów i wojskami z Erytrei zajmowało się czystkami etnicznymi, rabunkami i gwałtami. W czerwcu jednak tigrajscy partyzanci prowadzący dotąd wojnę podjazdową przeszli do natarcia i zmusili przeciwników do wycofania się z ich kraju, a w lipcu przenieśli wojnę na leżące po sąsiedzku ziemie Amharów i Afarów.

Z Amharami dzielą Tigrajczyków spory o ziemię i miedź. Przez kraj Afarów, rozległy i niemal bezludny, biegnie zaś etiopska „droga życia”: z Addis Abeby do sąsiedniego Dżibuti i tamtejszego portu, będącego dla Etiopii jedynym oknem na świat. Według skąpych wieści z etiopskiej północy Tigrajczycy zajęli co najmniej trzy afarskie powiaty, w walkach zginęło kilkadziesiąt osób, a kilkadziesiąt tysięcy straciło dach nad głową.

Etiopskie władze ściągają na północ etniczne milicje z pozostałych prowincji, by wsparły rządowe wojsko. Przed buntom Tigraju uważane było ono za jedno z najlepszych w Afryce. Tigrajczycy stanowili w nim jednak większość żołnierzy, a najlepsze dywizje stacjonowały w Tigraju. Powstańcy tigrajscy twierdzą, że po najeździe na ich kraj połowa żołnierzy przeszła na ich stronę, a premier Abiy Ahmed musiał prosić o pomoc Erytreę, uważaną w Etiopii za najgorszego wroga. ©©

Więcej w cyklu Strona Świata na tygodnikpowszechny.pl/stronaswiata

KOŚCIOŁ W SKRÓCIE

LICZBY

Do Kościoła rzymskokatolickiego należy 32 mln 440 tys. wiernych – wynika z najnowszego Małego Rocznika Statystycznego Polski. Kościół greckokatolicki liczy 55 tys. wiernych, wyznawców prawosławia jest 504 tys., luteranów 61 tys., zielonoświątkowców 24,8 tys., mariawitów 22,7 tys., metodystów 4,4 tys., kalwinów 3,2 tys.

PROCENTY

„Choroba alkoholizmu powoli, ale systematycznie wyniszcza nasz narodowy organizm” – alarmuje Zespół KEP ds. Apostolstwa Trzeźwości i Osób Uzależnionych i zachęca, żeby w sierpniu nie tylko się nie upijać, ale w ogóle nie pić alkoholu, nie kupować go i nie częstować nim.

WYBORY

„Macie wybór: szczepionka albo grób – powiedział Hieronim II (na zdjęciu), zwierzchnik prawosławnego Kościoła Grecji. – Szczepionka jest jedynym sposobem na zbudowanie muru bezpieczeństwa”. Dodał, że większość księży i biskupów jest zaszczepiona przeciw COVID-19. Stały Synod wydał encyklikę „Kościół i nauka w walce z pandemią”. Dołączono do niej pytania i odpowiedzi m.in. na temat teorii spiskowych o mikrochipach.



WIKIPEDIA.ORG

Słowo przeciw słowu i wyrok bez wyroku



JACEK PRUSAK SJ

DŁUGO CZEKALIŚMY NA ORZECZENIE SĄDU KOŚCIELNEGO w sprawie stawianych pomocniczemu biskupowi krakowskiemu Janowi Szkodoniowi zarzutów o molestowanie seksualne w minionych latach osoby małoletniej. Jak na standardy, do których przyzwyczaiła nas nuncjatura, uzasadnienie tym razem nie było lakoniczne. Nikt chyba się jednak nie spodziewał, że będzie to wyrok bez wyroku.

Jak czytamy w komunikacie nuncjatury: „po dokładnej analizie zebranych materiałów dowodowych i po przesłuchaniu powołanych świadków wina bp. Jana Szkodonia nie została udowodniona (*non constat*)”. Równocześnie „w toku postępowania stwierdzono natomiast nierozważne zachowanie biskupa wobec małoletniej, polegające na przyjmowaniu jej w prywatnym mieszkaniu bez obecności jej rodziców, pozostających od lat w znajomości z biskupem” – podano w komunikacie.

Czy w takim razie biskup został zniesławiony? Tego z orzeczenia się nie dowiemy.

Czy jest niewinny? Tego również. Czy nam się to podoba, czy nie, proces karno-administracyjny oparty był na argumentacji „słowo przeciw słowu”. Wiemy jednak, że w sądach kościelnych słowa nie mają takiej samej rangi. Czy w takim razie sprawa jest zamknięta? Tylko w sądzie kościelnym, bo w sądzie cywilnym toczy się ona niezależnie.

W tym przypadku nie ma dwóch ofiar. Jest jedna. Ktoś więc kłamie, a prawo jak dotąd sobie z tym nie radzi. To, co się działo za zamkniętymi drzwiami w mieszkaniu biskupa, trudno teraz udowodnić, ale wiemy, że jego „nierozważne zachowanie” zostawiło w kimś trwałe ślady i zranienia. Tego nawet sąd kościelny nie był w stanie podważyć.

Chociaż oskarżenie biskupa bez świadków przestępstwa może wyglądać jak „misja samobójcza”, trudno orzeczenie nuncjatury uznać za moralne zwycięstwo krakowskiego biskupa. Historia nie powiedziała jeszcze ostatniego słowa. ©

Książd gej w cyfrowej pułapce

UTRATĄ STANOWISKA I REPUTACJI zapłacił za wizyty w klubach gejowskich ks. Jeffrey Burrill, sekretarz konferencji episkopatu USA. Przy okazji został pierwszą ofiarą nowej broni w wojnie domowej amerykańskiego Kościoła.

Autorzy katolickiego newslettera „The Pillar” znaleźli jego telefon na liście klientów portalu randkowego dla gejów. Nie było tam nazwisk, ale z pomocą programu śledzącego lokalizację komórek dziennikarze wyodrębnili numery zwykle logujące się w instytucjach kościelnych. Historię jednego prześledzili dokładnie, odtwarzając daty i miejsca intymnych spotkań ks. Burrilla.

Można by rzec, że Burrill sam, na własne życzenie, pozbawił się prywatności, korzystając z aplikacji. Nie był jednak podejrzany o przestępstwa, a na randki umawiał się wyłącznie z dorosłymi – upublicznianie intymnych szczegółów jego życia budzi więc wątpliwości, podobnie jak pochodzenie funduszy na zakup bazy danych i opłacenie technologii namierzania. Trop prowadzi do konserwatywnego biznesu finansującego amerykańską wojnę kulturową. Powstają już kolejne listy księży-gejów, a każda krytyka tej domorosłej inkwizycji uważana jest za wyraz lęku przed przymusowym coming outem.

© EDWARD AUGUSTYN

Kompetencje kurii

WATYKAN SPRAWDZI przydatność swoich pracowników (duchownych i świeckich) do pracy na dotychczas zajmowanych stanowiskach. Szczegółowe ankiety oceniające „operatywność, kompetencje i zachowanie” przygotował sekretariat ekonomiczny. Będą je wypełniać zarówno przełożeni, opisując każdego ze swych podwładnych, jak też sami zainteresowani, którzy dokonają samooceny.

Na początek badanie obejmie eksperymentalnie pracowników kilku urzędów kurii rzymskiej. Docelowo zostanie przeprowadzone wśród wszystkich zatrudnionych w Stolicy Apostolskiej (ponad 2,8 tys. osób pracujących zarówno w kurii, jak i w instytucjach z nią związanych, a także w komisjach papieskich i nuncjaturach).

Kompleksowe badanie – pierwsze tego rodzaju w Watykanie – pozwoli nie tylko ocenić efektywność pracy, ale też sprawdzi „mobilność wewnętrzną” każdej osoby, co ułatwi przenoszenie pracowników na inne stanowiska, nieuniknione w czasie strukturalnej reformy kurii. Zwolnienia, zgodnie z życzeniem papieża, nie są planowane. © EA

KULTURA W SKRÓCIE

ANIMACJE

„Nie taki krokodyl straszny” w reżyserii Grzegorza Koncewicza oraz „Figury niemożliwe i inne historie II” Marty Pajek zakwalifikowały się do konkursu głównego Międzynarodowego Festiwalu Animacji w Ottawie.

PRZYGODY

30 września – w dniu jego 95. urodzin – do rąk anglojęzycznych czytelników i czytelników trafi oficjalny prequel przygód Kubusia Puchatka. Z historii napisanej przez Jane Riordan mamy się dowiedzieć, co spotkało bohaterów Alana Alexandra Milne’a, zanim trafili do Stumilowego Lasu.

DZWONY

Rozpoczął się XXIII Gdański Festiwal Carillonowy. Koncerty odbywać się będą do końca wakacji. Transmisje można oglądać na stronie facebook.com/carillonowy.

PIANIŚCI

Osiemdziesięciu siedmiu pianistów zakwalifikowano do udziału w XVIII Międzynarodowym Konkursie Pianistycznym im. Fryderyka Chopina. Szesnastu reprezentować będzie Polskę.

PANORAMA

Po niemal rocznej przerwie spowodowanej remontem budynku, w którym eksponowana jest „Panorama Racławicka”, praca Jana Styki i Wojciecha Kossaka została na nowo udostępniona zwiedzającym.



DZIENNIKARZE

I AUTORZY „Tygodnika” co tydzień goszczą w programie „Światopogląd” Agnieszki Lichnerowicz w Radiu TOK FM. Słuchaj od wtorku do piątku o godzinie 15.00. Zapraszamy! 95,2 FM Gdynia | 95,8 FM Wrocław 96,9 FM Opole | 97,4 FM Łódź 97,4 FM Katowice | 97,7 FM Poznań – www.tokfm.pl



JACEK TARAN

AGNIESZKA HOLLAND została tegoroczną laureatką Nagrody im. Jerzego Turowicza. Nagrodzono jej dwa ostatnie filmy – „Obywatela Jonesa” (2019) i „Szarlatana” (2020), pamiętając, że stanowią ogniwa łańcucha wybitnych dzieł, a ich autorka to jedna z najważniejszych postaci polskiego kina i zarazem życia publicznego. Historia walijskiego dziennikarza, który ujawnia prawdę o głodzie na Ukrainie, i portret czeskiego uzdrowiciela, ofiary polityki, podejmują stały u Holland temat losu jednostki w starciu z historią i tajemnicą ludzkich motywacji. Bo w centrum jej kina zawsze znajduje się człowiek, nie idee. © P

Przerwany sen Stevena Weinberga

23 LIPCA ZMARŁ w wieku 88 lat jeden z najważniejszych twórców fizyki kwantowej, laureat Nagrody Nobla w 1979 r. Steven Weinberg w latach 60. i 70. XX w. odegrał kluczową rolę w rozszerzeniu opisu kwantowego na kolejne cząstki i oddziaływania znane fizyce. Współtworzył teorię oddziaływań elektroslabych, która dziś stanowi jeden z filarów opisu świata mikroskopowego – tzw. „modelu standardowego cząstek elementarnych”.

Był też niestrudżonym popularyzatorem nauki. Jego „Pierwsze trzy minuty” z 1977 r. przez długie lata stanowiły dla milionów ludzi wprowadzenie w teorię Wielkiego Wybuchu. „Sen o teorii ostatecznej” z 1993 r. to fascynujący zapis przemysłów na temat hipotetycznej „teorii wszystkiego” mającej stanowić fundament dla całej fizyki. Weinberg nie uciekał od subtelności. Choć fizyk, i to noblista, śmiało pisał, że w poszukiwaniu ostatecznej teorii przyświeca mu nie tylko racjonalność dobrego naukowca, a głównie osobista przyjemność z poszukiwania. Choć zdeklarowany ateista, nie bał się przyznać, że „czasem przyroda wydaje się piękniejsza, niż jest to rzeczywiście konieczne”. Odszedł nie tylko znawca, ale i wielbiciel świata.

© P ŁUKASZ ŁAMŻA

Białkowa rewolucja

LUDZKI GENOM, czyli zestaw genetycznych instrukcji zapisanych w naszym DNA, koduje ok. 20 tys. białek, które pełnią w organizmie cały szereg funkcji – budują komórki, uczestniczą w reakcjach chemicznych czy wspomagają odporność (przeciwciała). Znając sekwencje liter danego fragmentu DNA, jesteśmy w stanie odczytać kolejność aminokwasów – 20 typów cegiełek budujących białka. Jednak kolejność aminokwasów nie mówi wiele o funkcji białek, bo ta zależy nie tylko od składu cząsteczki, ale także od jej przestrzennego kształtu. Do niedawna ustalenie tego kształtu było dla naukowców wielkim wyzwaniem – wymagało zmuszających badań eksperymentalnych, a każde białko musiało być analizowane osobno.

Wszystko zmieniła sztuczna inteligencja. Jak donosi „Nature”, dzięki algorytmowi AlphaFold opracowanemu przez londyńską firmę DeepMind udało się przewidzieć w całości „wirtualnie” strukturę niemalże wszystkich białek kodowanych w ludzkim genomie – oraz genomach 19 innych organizmów (w tym roślinach uprawnych, takich jak ryż i soja). Co ważne, tworzone przez algorytm struktury białek już opisanych doskonale zgadzają się ze strukturami ustalonymi w bardziej pracochłonny sposób.

Stworzona i udostępniona całkowicie darmowo baza białek popchnie do przodu wiele dziedzin nauki. Znajomość struktury białek ma kluczowe znaczenie choćby dla farmakologii, bo pozwala skuteczniej przewidywać działanie nowych leków.

© SZYMON DROBNIĄK



STRAŻNICY TRADYCJI

Papież Franciszek unieważnił decyzję poprzednika i utrudnił odprawianie mszy w rycie trydenckim. Sprawa dotyczy czegoś więcej niż sposób sprawowania liturgii. Czy Kościołowi grozi kolejna schizma?

SEBASTIAN DUDA

SZESNASTEGO LIPCA PAPIEŻ FRANCISZEK wydał nowe *motu proprio*, tj. list apostolski w formie dekretu. Już sam łaciński tytuł dokumentu – „Traditionis custodes” („opiekunowie” bądź „strażnicy Tradycji”) – wielu uznało za przewrotny. Papieski dekret wymierzony jest bowiem w tych, którzy w Kościele rzymskim mienia się najwierniejszymi stróżami tego, co w katolicyzmie uznaje się za źródło Bożego Objawienia równie cenne jak Biblia i nawet w dziecięcych katechizmach nazywa „żywą Tradycją Kościoła”. Chodzi o liturgię.

W nowym liście apostolskim papież zabronił kapłanom sprawować ją według ksiąg liturgicznych sprzed 1970 r. bez specjalnego zezwolenia biskupa (niczego takiego do tej pory nie wymagano). Co więcej: prezbiterzy wyświęceni już po ogłoszeniu „Traditionis custodes”, którzy chcieliby sprawować mszę w formie nazywanej potocznie „trydencką”, również muszą pro-

sić o pozwolenie ordynariusza, ale on może takowe wydać jedynie po konsultacji z Watykanem. Jakby tego było mało, papież zabronił sprawowania mszy trydenckiej w kościołach parafialnych oraz tworzenia kolejnych parafii personalnych w celu odprawiania liturgii w formie starszej niż obecna. Franciszek zalecił również biskupom, by nie dopuszczali do powstawania w swoich diecezjach nowych grup wiernych, którzy pragnęliby uczestniczyć w „tradycyjnych” celebracjach liturgicznych.

Do *motu proprio* papież dołączył list do biskupów, w którym uzasadnia swoje decyzje. Zasugerował, że działania jego poprzedników – Jana Pawła II, a przede wszystkim Benedykta XVI – w odniesieniu do katolickich tradycjonalistów nie przyniosły pozytywnych skutków. Wydaje się, że w „Traditionis custodes” nie należy widzieć wyłącznie dokumentu, który ma zdyscyplinować, a ostatecznie zlikwidować prężnie rozwijające się tu i ówdzie tradycjonalistyczne odłamy. Chodzi o coś poważniejszego: o nową wizję Kościoła, rodzącą się na zgłiszczach dotychczasowych pobożnych życzeń. ➔

Msza pontyfikalna bp. Josepha Perry'ego w rycie trydenckim, kościół OO. Bonifratrów w Krakowie, listopad 2006 r.

PAWEŁ KULA / PAP

→ Z każdym rokiem coraz wyraźniej widać, że symbolicznym końcem owego kościelnego *wishful thinking* była abdykacja Benedykta XVI. Decyzja papieża Ratzingera, choć za jej powód powszechnie uznaje się zmęczenie niemieckiego pontifeksa watykańskimi intrygami, była bowiem *de facto* znakiem klęski modelu Kościoła, który Ratzinger promował po Soborze Watykańskim II.

Reforma i zamęt

Franciszek w liście do biskupów zazna-
czył, że „dla wszystkich oczywiste są po-
wody, które skłoniły św. Jana Pawła II
i Benedykta XVI do zezwolenia na moż-
liwość używania Mszału Rzymskiego
promulgowanego przez św. Piusa V
[w 1570 r. – red.], wydanego przez
św. Jana XXIII w 1962 r., do sprawowania
Ofiary eucharystycznej”. Wedle obecnego
biskupa Rzymu jego poprzednikom cho-
dziło o zażegnanie schizmy związanej
z ruchem kierowanym przez abp. Mar-
cela Lefebvre’a. Jest to jednak tylko część
prawdy: w awansach tamtych papieży
wobec tradycjonalistów nie chodziło wy-
łącznie o promocję wewnątrzkościelnego
pojednania. Trudno przecież nie zauwa-
żyć, że sam Joseph Ratzinger miał przez
lata do posoborowej reformy liturgicznej
stosunek mocno sceptyczny.

Gdy św. Paweł VI 3 kwietnia 1969 r.
ogłosił publikację nowego mszału do ce-
lebrowania liturgicznych ceremonii, a jed-
nocześnie zakazał – od roku następnego
– posługiwania się dotychczas obowiąz-
ującym mszałem z łacińską mszą w rycie
klasycznym, spowodowało to w Kościele
niemałe turbulencje. Rzeczywiście, jak po
latach konstatawał Ratzinger, „nic takiego
nie wydarzyło się nigdy w całej historii li-
turgii”. Za punkt wyjścia reformy wzięto
co prawda konstytucję „Sacrosanctum
concilium” Soboru Watykańskiego II, ale
mało kto spodziewał się aż takich zmian
w formule sprawowania mszy, w liturgii
godzin i roku liturgicznym. Sobór nie za-
dekretował usunięcia łaciny, lecz jedynie
zezwolił na równoległe wprowadzenie
celebracji w językach narodowych. Bez-
pośrednio po Soborze wielu biskupów
wciąż przypominało kapłanom o trosce
o tradycyjne formy pobożności. Obliga-
toryjne wprowadzenie nowego mszału
przez Pawła VI troskę tę uczyniło nieco
problematyczną, bo obok zmian w li-
turgii zaczęto również promować nowe
formy muzyki kościelnej i sztuki sakral-



PAWEŁ KULA / PAP

Nie chodzi tylko
o zdyscyplinowanie
tradycjonalistów, ale
o nową wizję Kościoła,
rodzącą się na zgłiszczach
dotychczasowych pobożnych
życzeń. Coraz wyraźniej
widać, że symbolicznym
końcem kościelnego
„*wishful thinking*” była
abdykacja Benedykta XVI.

nej, a także wskazówki dla architektów
projektujących świątynie. Wszystko to
wzbudziło niemały niepokój.

W opublikowanej w 1998 r. autobio-
grafii „Moje życie” Ratzinger pisał, że
mszał obowiązujący od 1970 r. był „przed-
stawiany jako nowa konstrukcja, prze-
ciwstawiana tej, która uformowała się
przez wieki historii”. Musiało więc bu-
dzić wątpliwości (i to nie tylko u teolo-
gów, ale przede wszystkim wśród szere-
gowych wiernych), „że zabraniano uży-
wania starego [mszału] i w pewien sposób
sprawiano wrażenie, że liturgia nie jest
już żywym procesem, lecz produktem
specjalistycznej erudycji i jurysdykcyj-
nej kompetencji. W ten sposób powstało
rzeczywiście wrażenie, że liturgia jest »ro-
biona«, że nie jest czymś, co istnieje przed
nami”.

Ale takie wrażenie z pewnością nie
było udziałem wszystkich katolików.
Posoborowa reforma liturgiczna została
przyjęta z aplauzem w szerokiech kręgach
wiernych. Inna rzecz, że ogłoszone przez
Pawła VI zmiany często odbierano jako

zachętę do wprowadzania dalszych, sa-
mowolnych innowacji. W wielu przy-
padkach skutki były opłakane. Powaga li-
turgicznego sacrum często ginęła, a msze
niepokojąco zaczęły przypominać, jak
określił to niegdyś Czesław Miłosz, „skau-
towskie zbiórki”.

W imię „soborowego ducha” usuwano
z kościołów – szczególnie w zachodniej
Europie i Ameryce Północnej – stare oł-
tarze, czczone od wieków czy dziesięcio-
leci obrazy bądź figury świętych, a nawet
krzyże (z tłumaczeniem, że „w Kościele
nie celebруемy przecież przez cały rok
liturgiczny Wielkiego Piątku”). Wśród
wielu wiernych budziło to konfuzję. Nic
dziwnego, że w udzielonym w 1996 r. Pe-
terowi Seewaldowi wywiadzie rzece „Sól
ziemi” kard. Ratzinger wskazywał na dra-
matyczne rezultaty tak wprowadzanej re-
formy liturgicznej.

„Wspólnota, która wszystko, co do-
tychczas było dla niej najświętsze i naj-
szczytniejsze, ni stąd, ni zowąd uznaje
za surowo zakazane, a tęsknotę za tymi
zakazanymi elementami traktuje wręcz
jako nieprzyzwoitość, stawia samą siebie
pod znakiem zapytania. Bo właściwie jak
człowiek ma tu jej jeszcze wierzyć? Czy
dzisiejsze nakazy nie staną się jutro zaka-
zami? (...) Jestem przekonany, że kryzys
Kościoła, jaki obecnie przeżywamy, za-
leży w dużej części od rozkładu liturgii,
którą niekiedy postrzega się jak *etsi Deus
non daretur* – tak jakby w niej nie miało
znaczenia to, czy Bóg jest i do nas mówi,
czy nas słucha”.

Tradycja i rozwój

Posoborowa reforma liturgiczna stała się
jednak faktem, którego nie można było
unieważnić. Nie chciało w to wierzyć
wielu miłujących mszę „trydencką” tra-
dycjonalistów, którzy uważali, że zaini-
cjowany po Vaticanum II „eksperyment”
wkrótce się wyczerpie i Kościół wróci do
wyłąycznego celebrowania mszy w for-
mule, jaka wedle znanego określenia
św. Piusa V z 1570 r. miała trwać w Ko-
ściele „po wsze czasy”. Liturgia to prze-
cież zbyt cenny nośnik Tradycji – po-
wtarzali – by miały ją zanieczyszczać
miazmaty służące budowaniu własnej
tożsamości różnych wewnątrzkościel-
nych wspólnot, a wywodzące się z po-
pularnej kultury bądź innych źródeł.
Co więcej: przywiązanie do łaciny i daw-
nych form rytualnych może być trakto-
wane jako przejaw – wedle określenia

Pawła Milcarka, jednego z najbardziej znanych polskich tradycjonalistów [zob. wywiad na kolejnych stronach – red.] – kościelnej „kontrkultury” względem pogrążającego się w płyciźnie świata i próbującego dogadywać się z takim światem posoborowego Kościoła.

Czy da się pogodzić taką tradycjonalistyczną diagnozę z posoborową reformą? Ratzinger długo wierzył, że to możliwe, bo rozwój i Tradycja nie powinny być nigdy w Kościele przeciwstawiane. Dlatego w 1998 r. w rozmowie radiowej z Martinem Lochmannem powiedział, że liturgia jest „spotkaniem z tym, czego nie zrobiliśmy sami, i tym samym jest wchodzeniem w wielki dar historii, którego nie wolno mumifikować, który nie powinien podlegać skostnieniu, ale którego nie wolno też po prostu usuwać i który jako rzeczywistość żywa musi nadal żyć”.

Za tymi stwierdzeniami kryło się przekonanie, że zarówno kościelni tradycjonałiści, jak i katolicka większość, która przystała na posoborową odnowę liturgiczną, mają tę samą wizję Kościoła. Przekonanie to dzielił z mianowanym przez siebie prefektem Kongregacji Nauki Wiary Jan Paweł II. W końcu nie wszyscy zwolennicy tradycyjnej liturgii stali się schizmatykami spod znaku abp. Lefebvre’a. Z tego powodu w potwierdzającym schizmę lefebrystów liście „Ecclesia Dei” z 1988 r. polski papież – niewątpliwie pod wpływem Ratzingera – zaznaczył, że „wszędzie należy uszanować nastawienie tych, którzy czują się związani z liturgiczną tradycją łacińską, poprzez szerokie i wielkoduszne zastosowanie wydanych już dawniej przez Stolicę Apostolską zaleceń co do posługiwania się Mszałem Rzymskim według wydania typicznego z roku 1962”.

Święte i szkodliwe

W 2007 r. Benedykt XVI postanowił pójść jednak w kwestii tradycyjnej liturgii dużo dalej niż jego polski poprzednik. Dał w ten sposób wyraz swojej wizji Kościoła, w którym to, co dawne, miało trwać obok tego, co nowe, przyczyniając się do „harmonijnego ubogacenia całości”. W ogłoszonym 14 lat temu liście „Summorum pontificum” napisał, że „Mszał Rzymski ogłoszony przez Pawła VI jest zwyczajnym wyrazem zasady modlitwy (*Lex orandi*) Kościoła katolickiego obrządku łacińskiego. Jed-

nakże Mszał Rzymski ogłoszony przez św. Piusa V i wydany po raz kolejny przez bł. Jana XXIII powinien być uznawany za nadzwyczajny wyraz tej samej zasady modlitwy (*Lex orandi*) i musi być odpowiednio uznany ze względu na czcigodny i starożytny zwyczaj. Te dwa wyrazy zasady modlitwy (*Lex orandi*) Kościoła nie mogą w żaden sposób prowadzić do podziału w zasadach wiary (*Lex credendi*). Są to bowiem dwie formy tego samego Rytu Rzymskiego. Jest przeto dozwolone odprawiać Ofiarę Mszy zgodnie z edycją typiczną Mszału Rzymskiego ogłoszoną przez bł. Jana XXIII w 1962 i nigdy nie odwołaną, jako nadzwyczajną formę Liturgii Kościoła”.

Benedykt XVI dodał, że do odprawiania mszy w tym, co nazwał rytym zwyczajnym i nadzwyczajnym, ksiądz nie potrzebuje zgody ani Stolicy Apostolskiej, ani swego ordynariusza. W mszach odprawianych wedle nadzwyczajnego rytu mogli odtąd bez przeszkód uczestniczyć wszyscy wierni. Gdyby zaś katolicy wyrażali taką chęć, możliwe było także powołanie wyłączonych parafii personalnych, w których liturgia celebrowana byłaby tylko w rycie nadzwyczajnym.

Uzasadnienie tych decyzji w odrębnym liście do biskupów stanowi kwintesencję długoletnich eklezjologicznych rozważań Ratzingera. Benedykt XVI zwrócił uwagę na jedność katolickiej wspólnoty, która doznała uszczerbku w wyniku schizmy Lefebvre’a – i na to, że podstawowym charyzmatem oraz zadaniem biskupa Rzymu jest budowanie mostów i zasypywanie podziałów. Papież tłumaczył zatem, że przywrócenie możliwości powszechnego sprawowania starej liturgii „to sprawa wewnętrznego pogodzenia na łonie Kościoła. Gdy spojrzeć się w przeszłość, na wszystkie rozłamy, które na przestrzeni wieków dotknęły Mistyczne Ciało Chrystusa, nie można oprzeć się wrażeniu, że w krytycznych momentach decydujących o podziale przywódcy Kościoła nie robili wszystkiego, co mogli, by przywrócić zgodę i jedność”.

Benedykt XVI uważał, że pluralizm liturgiczny nie musi szkodzić wewnątrzkościelnej więzi. Przeciwnie: służyć on może również tak upragnionemu przez Ratzingera stałemu korzystaniu z Tradycji w konieczniejszych reformach Kościoła. Pluralizm ów nie oznacza bowiem niezgodności doktrynalnej. Miłośników sta-

rej liturgii i zwolenników posoborowej reformy może łączyć jedność doktryny (szczególnie wtedy, gdy obie grupy godzą się bez zastrzeżeń na prymat biskupa Rzymu). Dlatego Benedykt XVI konstatował, że „nie ma żadnej sprzeczności pomiędzy tymi dwoma wydaniem Rytu Rzymskiego. W historii liturgii jest wzrost i postęp, nie ma za to żadnych zerwań. To, co poprzednie pokolenia uważały za święte, świętym pozostaje i wielkim także dla nas, przez co nie może być nagle zabronione czy wręcz uważane za szkodliwe”.

Jakieś wątpliwości u Benedykta XVI co do zezwolenia na dostęp do dawnej liturgii jednak zostały. Nie mógł przecież nie zauważyć, że wielu tradycjonalistów uważa reformy Vaticanum II niemal za herezję, a nową, posoborową liturgię za podstawowy tej herezji wyraz. Papież uznał chyba jednak, że powodem nie jest tutaj doktrynalne odstępstwo, lecz raczej żal za odebraniem nagle po Soborze skarbem. Mimo to napisał: „Zbędnym jest dodawać, że by doświadczyć pełnej jedności, kapłani wspólnot przywiązanych do starszej formy nie mogą z zasady wykluczać odprawiania liturgii zgodnie z nowymi księgami. Całkowite wykluczenie nowego rytu nie byłoby zgodne z rozpoznaniem jego jako cennego i świętego”.

Kolejne lata pokazały, że owo wspomniane przez Benedykta XVI rozpoznanie jest w wielu środowiskach katolickich tradycjonalistów kompletną iluzją.

Jedność i schizma

W ubiegłym roku Franciszek zlecił Kongregacji Nauki Wiary rozesłanie do wszystkich biskupów na świecie kwestionariusza mającego sprawdzić stosowanie postanowień „Summorum pontificum”. Nie znamy wyników tej ankiety, wolno się jednak domyślać, że papież był nimi zaniepokojony, skoro w liście wyjaśniającym powody ograniczeń w sprawowaniu dawnej liturgii stwierdził, że „możliwość zaoferowana przez Jana Pawła II, a z jeszcze większą wielkodusznością przez Benedykta XVI, mająca na celu przywrócenie jedności ciała kościelnego, z uszanowaniem różnych wrażliwości liturgicznych, została wykorzystana do powiększenia dystansów, zaostreżenia różnic i budowania przeciwieństw, które ranią Kościół i hamują jego postęp, narażając go na ryzyko podziałów”.

→ Najwyraźniej nie dało się już ukryć, że tradycjoniści nie widzą w liturgii trydenckiej żadnej „nadmierzalnej formy rytu rzymskiego”, ale co najmniej alternatywną „formę zwyczajną” lub – w wielu przypadkach – jedyną prawdziwą formę katolickich celebracji. To znaczy, że wbrew Benedyktowi XVI nie chcą rozpoznać w posoborowej liturgii rytu „cennego i świętego”. Co więcej: choć Franciszek o tym nie wspomina, wiadomo, że tradycjoniści nie poprzestają tylko na przywiązaniu do mszy trydenckiej, ale używają również dawnych formuł do sprawowania innych sakramentów, a także przedsoborowych wydań brewiarza i katechizmów (na co papieskiej zgody już nie było).

Najpoważniejszym problemem jest jednak stałe dyskredytowanie w powiązaniu z celebracją w rycie nadzwyczajnym nauczania Vaticanum II. To właśnie wskazuje Franciszek jako główny powód swoich decyzji, pisząc: „zasmuca mnie instrumentalne używanie *Missale Romanum* z 1962 r., które coraz bardziej charakteryzuje się rosnącym odrzuceniem nie tylko reformy liturgicznej, ale i Soboru Watykańskiego II, z bezpodstawnym i niemożliwym do obrony twierdzeniem, że zdradził on Tradycję i »prawdziwy Kościół«. Jeśli prawdą jest, że drogę Kościoła należy rozumieć w dynamizmie Tradycji, »pochodzącej od Apostołów, rozwijającej się w Kościele pod opieką Ducha Świętego« („*Dei verbum*” 8), to Sobór Watykański II stanowi najnowszy etap tego dynamizmu, w którym episkopat katolicki wsłuchiwał się w rozeznawanie drogi, jaką Duch Święty wskazywał Kościołowi. Wątpienie w Sobór to wątpienie w intencje Ojców, którzy na Soborze Powszechnym uroczyście sprawowali swoją władzę kolegiałną *cum Petro et sub Petro*, a w ostateczności wątpienie w samego Ducha Świętego, który prowadzi Kościołem”.

Słowa Franciszka są mocne. Jego zdaniem błędem byłoby podtrzymywanie iluzji doktrynalnej jedności bez krytycznego osądu, jak w praktyce wygląda dziś w Kościele rzymskokatolickim pluralizm liturgiczny.

Wolno się zastanawiać, czy diagnoza przedstawiona przez papieża jest słuszna. Nie chodzi nawet o skutki podjętych właśnie decyzji, które mogą

doprowadzić do zerwania łączności z obecnym biskupem Rzymu wielu tradycjonalistycznych środowisk na świecie i do odrodzenia się lefebrystowskiej schizmy w kolejnej, silniejszej niż dotychczasowa postaci. Obok takich środowisk są przecież w Kościele tradycjoniści, którzy chcieliby zachować jedność formalną i doktrynalną z papieżem. Z tego powodu zakazy Franciszka sprawiają im ból i są uznawane, by użyć słów Milcarka, za zachowania przemocowe. Od papieża usłyszeli bowiem, że nowa liturgia jest jedynym *Lex orandi* Kościoła.

Rzeczywistość i fikcja

Można jednak widzieć w papieskiej decyzji także kolejny znak ewolucji, jakiej podlega Kościół po abdykacji Benedykta XVI. W 1985 r. w „Raporcie o stanie wiary” kard. Joseph Ratzinger powiedział Vittorio Messoriemu: „Nie ma żadnej możliwości powrotu do przeszłości, tak rozumiana »restauracja« byłaby nie tylko niemożliwa, ale i niepożądana. Kościół idzie naprzód w kierunku dopełnienia historii, wpatrzony przede wszystkim w Pana, który przyjdzie. Jeżeli przez termin »restauracja« rozumie się taką treść, jak odzyskanie wewnątrz nowej wspólnoty zagubionych wartości, to powiedziałbym, że właśnie to jest potrzeba dnia dzisiejszego, zadanie drugiego etapu po soborze. Jednakże słowo »restauracja« my, ludzie współcześni, nadaliśmy taki zakres znaczeniowy, że okazuje się niemożliwe rozumienie go w takim sensie, jaki powyżej wyłożyłem. A przecież słowo to znaczy dokładnie to samo, co słowo »reforma«, jednak zupełnie inaczej nam brzmi”.

Dziś już wiadomo, że „restauracja” – nawet w znaczeniu zakładanym przez Ratzingera – niekoniecznie musi oznaczać w Kościele „reformę”, lecz raczej podtrzymywanie niebezpiecznych, idealistycznych fikcji. Przypadek występujących przeciwko Vaticanum II tradycjonalistów jest w tym kontekście znamieny. Wyszło na to, że w obecnych warunkach ratzingerowska wizja Kościoła – zresztą nie tylko w dialogu i starciu z tradycjonalistami – nie może być realizowana. Tym samym Franciszek potwierdził raz jeszcze symboliczny i dramatyczny wymiar abdykacji Benedykta XVI dla współczesnego katolicyzmu. © SEBASTIAN DUDA

Lepsze wino

PAWEŁ MILCAREK, REDAKTOR
NACZELNY „CHRISTIANITAS”:

Wiara będzie wydawała nowe owoce – uznaję to. Ale byłoby świetnie, gdyby o ich kształcie decydowało doświadczenie długiego trwania Kościoła, a nie tylko potrzeba wykonania ostatnich dekretów. Nie należymy tylko do tego czasu.

PIOTR SIKORA: Wierysz, że nowa msza to prawdziwa ofiara eucharystyczna i Chrystus staje się w niej realnie obecny?

PAWEŁ MILCAREK: Wierzę, że jest tak zawsze, gdy ksiądz celebruje, przewodniczy mszy i czyni to, co czyni Kościół. Nieważne, z jakich korzysta ksiąg, jeśli tylko są przez Kościół zatwierdzone i jeśli nie fantazjuje, lecz podąża za nimi, jako włączony w Chrystusa Głowę nasz przewodnik w modlitwie. W związku z tym nawet te formy liturgiczne, których nie rozumiem, są dla mnie uświęcone.

Do tej odpowiedzi zasadniczej dochodzi osobista: jestem wychowankiem nowej liturgii. Do matury nie miałem żadnej styczności z liturgią dawną. Nie uważam, że żyłem w fałszywym Kościele i chodziłem na fałszywą mszę świętą. Odkrycie starej liturgii było dla mnie odkryciem „lepszego wina”, ale bez poczucia, że wcześniej uczestniczyłem w fałszywym weselu.

Dlaczego więc to takie ważne, że uczestniczysz w starej formie mszy?

Jest jednak możliwe jakieś stopniowanie. Nowy ryt można krytykować, zwłaszcza w formie, jaką przybiera w konkretnych kościołach. Problemem jest m.in. jego polimor-

ficzność, zależność od klerykalnego wyboru konkretnego księdza, albo poziom wyżej – pewnych komisji, które swoimi decyzjami narzucają konkretne rozwiązania. Choć są ludzie o wiele bardziej krytyczni wobec nowej formy niż ja. W moim najbliższym środowisku nie ma takiej dyalektyki: albo jedno, albo drugie.

Ale im dłużej uczestniczyłem w starej mszy, im bardziej ta forma stawała się dla mnie zwyczajna, tym więcej tworzyło się we mnie ścieżek pobożności z nią związanych. Bardzo np. ważne jest dla mnie dziś (choć późno to odkryłem) poczucie wspólnoty ludu idącego za kapłanem.

Mógłbyś to wyjaśnić?

Na początku byłem przywiązany do najczęstszej narracji tradycjonalistów, że u nas ksiądz jest odwrócony ku tabernakulum, a w nowej formie stoi tyłem do niego. Później na pierwszy plan wysunął się inny obraz: wspólnoty nieprzegrodzonej stołem, Ciała Chrystusowego, które podąża za swoją Głową, symbolizowaną przez księdza, na wydarzenie ofiary Syna wobec Ojca i – jednocześnie – symbolicznie wychodzi poza rzeczywistość tego świata, ku Panu, który na nas czeka. Nie żebym nie był w stanie tego zobaczyć w nowej formie. Ale pod względem spójności znaków – stara mi odpowiada.

Do tego doszło specyficzne traktowanie ciszy w liturgii – mniej w niej robisz i mówisz. Miałem dawniej okresy, gdy bardzo koncentrowałem się na jej tekstach. Ale nie ma ich tak dużo – przychodzi moment, gdy tak są znane, że po prostu za nimi podążasz.

Cisza jest mi bliska, ale myśląc o strukturze przestrzeni starej mszy, która, jak sam mówisz, podkreśla Bożą transcendencję, widzę, co bym stracił, gdyby to był jedyny ryt Kościoła. Idea nowego rytu (rzadko dobrze realizowana) jest taka, że krąg wspólnoty się zamyka wokół ołtarza. Ołtarz nie jest – nie powinien być – pomiędzy ludem a księdzem, ale pośrodku. Dla mnie to wyraża prawdę obecną w Ewangelii Łukasza: „Królestwo Boże w was (albo: pośród was) jest”. Tak samo u Jana: „W owym dniu poznacie, że Ojciec jest we mnie, a Ja w Ojcu i Ja w was”. W strukturze



MICHAŁ WOŹNIAK / EAST NEWS

PAWEŁ MILCAREK jest filozofem, publicystą, redaktorem naczelnym kwartalnika „Christanitas”. Przez lata zabiegał o przywrócenie dostępu do tradycyjnej liturgii tacińskiej w Kościele katolickim.

przestrzeni mszy trydenckiej tego nie widzę. Ona mi sugeruje, że On nie jest w nas, lecz „gdzieś tam”.

W liturgii mamy do czynienia z działaniem Kościoła. Każdy osobiście włącza się w to działanie – Kościoła jako ciała mistycznego Chrystusa. Dlatego stara liturgia – w swej symbolice – nie jest tylko otwarciem na transcendencję, przejściem do stanu przyszłego. Ważne jest też, że wyraża działanie Chrystusa wobec Ojca – jego ofiarę. W liturgii nie przyglądamy się tylko tej ofierze, lecz w niej uczestniczymy, jako Ciało Chrystusa. To także sens komunii świętej – nie tylko osobisty, lecz chodzi w niej o jedność ciała kościelnego. Więc to prawda, że Królestwo jest w nas – gdyż jesteśmy będącym w drodze Ciałem Pańskim.

Myślę zatem, że to, co ty odnajdujesz w obrazie ołtarza pośrodku, ma swoją analogię także w mszy trydenckiej. Zilustruj to historią. Kiedyś w klasztorze benedyktyńskim gościli chrześcijanie z jednego z Kościołów wschodnich. Dziwili się, że nie słyszą na mszy słów konsekracji: że są wypowiadane po cichu. Opat wyjaśnił im: to jest u nas jak u was ikonostas. Zrozumieli.

Nie ma idealnego rytu, absolutnej formy liturgii, która wszystko najlepiej wyrazi (wbrew temu, co niektórzy tradycjonałści mówią o Tridentynie). Choć niektóre formy liturgiczne mogą np. sprzyjać zeświecczeniu. Liturgia trydencka sprzyja postawie adoracji i szacunku.

Ale co z Jezusowym „Abba – tatusiu”, które wedle Pisma też jest nasze?

To nie jest metaforyka bojaźni i drżenia, lecz obraz Kogoś bardzo bliskiego. Czy jest na to miejsce w duchowości ukształtowanej przez starą mszę?

Aspekt trzykroć świętego Boga jest niewątpliwie mocno zaznaczony w starej liturgii. Częściowo pochodzi to z epoki powstawania rytu, ale zasadniczo ma źródła biblijne. W starej liturgii nieustannie przekraczana jest granica między Starym a Nowym Testamentem – w obie strony. Trzeba żyć ciągłością historii zbawienia, co proste nie jest.

Lecz w przestrzeniach „starotestamentalności” jest dużo modlitw osobistych, tekstów psalmów ujętych w antyfony, prawie jak akty strzeliste. Dla mnie osobiście ważne są fragmenty, które w formie pierwszoosobowej kierują do Boga we wszystkich udrękach życia i dają poczucie, że On jest miejscem wybawienia i radości.

Uważam, że w starej mszy, jak w każdej liturgii, jest aspekt działania Kościoła jako Państwa Bożego, wymiar pewnej oficjalności przed Bogiem trzykroć świętym. Ale jest też wątek rodzinności – jesteśmy nie tylko „współobywatelami”, ale też „domownikami” Boga. To wątek modlitwy osobistej, na który wewnątrz liturgii jest miejsce. Są w liturgii tradycyjnej szerokie przestrzenie na cichą rozmowę „serca z Sercem”, na zakochanie tak żarliwe, jak to Marii Magdaleny. Cisza Kanonu zostawia czas na proste bycie z Jezusem – tyle że może bardziej w Jego godzinie Paschy niż w żłóbku betlejemskim. Ponieważ w starej liturgii jest pewna powściągliwość w prowokowaniu aktów emocjonalnej pobożności, to w nowożytności ludzie ją dopełniali rozmaitymi nabożeństwami o bardziej „ciepłym” charakterze. Jednak formy emocjonalne dość szybko zastygają i się starzeją, zaczynają ciążyć, wciąż szuka się czegoś mocniejszego.

→ **Wróćmy do wątku „zeświecczenia”. Zwolennicy rytu trydenckiego często podkreślają mocny podział na profanum oraz sacrum i wskazują, że liturgia trydencka nie dopuszcza do pomieszania tych porządków i zeświecczenia sacrum. Jak z tej perspektywy przeżywać słowa św. Pawła: „cokolwiek czynicie, na chwałę Bożą czyńcie”? W chrześcijaństwie, religii Wcielenia, nie ma zupełnego profanum. Jak to widzisz?**

Liturgia jest dla mnie jak klauzura, ale klauzura nie jest całym miejscem życia.

Mógłbyś wyjaśnić ten monastyczny obraz ludziom, którzy go nie rozumieją?

W liturgii są aspekty sakramentalne, święte mocą łaski Bożej, i przestrzeń, która nie jest sakramentalna, tylko sakralna, np. gest adoracji, umożliwiany przez różne symbole. Klauzura oznacza tu moment zatrzymania się, w którym człowiek pozwala sobie tracić czas wyłącznie dla Boga. W liturgii patrzysz w jedną stronę, „w stronę Pana”, w tym spojrzeniu nabywasz wewnętrznej postawy, a potem odwracasz się do świata (dosłownie!) i wychodzisz z tym, na co się napatrzyłeś. To ci daje inne spojrzenie na sprawę ludzką.

Ale problem podziału sacrum–profanum trudno rozwiązać. Z jednej strony jest propozycja pogańska: kult w przestrzeni sacrum, a potem działanie w profanum, z przekonaniem, że dzięki kultycznej ofierze bóstwo jest po twojej stronie. To nie jest rozumienie chrześcijańskie, bo taki kult nie uświęca. W polemice z tym ujęciem odpowiadano, że chrześcijaństwo zniosło granice sacrum i profanum – przez Wcielenie i to, że Duch Boży przenika wszystkie rzeczywistości. Ale ja nie uważam, że liturgiczne znaki sakramentalne mówią, iż wszystko jest sakramentem (jak np. myślał Teilhard de Chardin).

Czy zatem uważasz, że w liturgii trydenckiej jest ryzyko zbyt trwałego rozdzielania sacrum i profanum, słabością zaś nowej mszy jest możliwość zbytniego zamazania różnicy między nimi?

Nie widzę tych zagrożeń w samych formach. Mogą je tworzyć interpretatorzy.



PAWEŁ KULA / PAP

W starym rycie są szczegółowe wymagania co do działań kapłana, a nie ma prawie żadnych co do zachowania ludu w nawie. Mamy swobodę zachowania się według swojego instynktu świętości.

Czyli nie podzielasz obawy niektórych tradycjonalistycznych krytyków nowej mszy, że ześwieccza i banalizuje rzeczy święte?

To są skróty myślowe. Mnie też zdziżało się nimi posługiwać, ale chodzi raczej o zarzut otwartości na ekspansję nieprzemienionego profanum na sacrum. Ryt jest plastyczny wobec różnych świeckich zamówień. Bywa też, że używa się słów ze słownika Biblii czy Tradycji, ale wyjętych z kontekstu i w sensie świeckim. Np. mówi się „wspólnota” – i dyskutuje się, czy ma być bardziej demokratyczna, czy bardziej hierarchiczna, w czysto politycznym sensie tych słów.

Czy jednak różnice w liturgii nie wiążą się z różnicami w kształcie kościelnej wspólnoty? Jeśli Kościół powstaje z Eucharystii, spór o liturgię jest sporem o kształt Kościoła.

Myślę, że to się zdarza w praktyce. W nowym rycie mszy kapłani mają spore możliwości kształtowania liturgii, a przez to zarządzania wspólnotą wedle własnej

wizji. Po stronie tradycjonalistów zdarza się, że oczekują od starej mszy lekcji hierarchii, autorytetu, struktury. Ale głębokie życie tą liturgią przemienia czysto polityczne marzenia.

Stara msza nie jest efektem jakiejś jednej decyzji. To nie Sobór Trydencki ani św. Pius V wymyślili ten ryt. A już wcale nie po to, by sobie poradzić z Reformacją. Nie ma takiego momentu, w którym ktoś ukształtował tę mszę, by nareszcie jakoś ukształtować Kościół i katolicyzm, a w związku z tym wymusić określone zachowania ludzi. Zresztą w starym rycie są szczegółowe wymagania co do działań kapłana, a nie ma prawie żadnych co do zachowania ludu w nawie. Logika starego chrześcijaństwa, z którego ta liturgia wychodzi, jest taka, że opisuje się działania wyłącznie tych wyjętych z ludu, którzy muszą wykonać pewne czynności. Wszyscy inni mają swobodę zachowania się według swojego instynktu świętości.

Owszem, niektórzy tradycjonaści wyciągali stąd wnioski fałszywe – np. krytykując stwierdzenie, że to wspólnota celebryje. Ja to stwierdzenie lubię. Tylko dodałbym, za katechizmem, że celebryje Kościół. Jak jestem w Kościele, tak z Kościołem celebryje, stając za kapłanem działającym *in persona Christi*. Teologia kapłaństwa wspólnego zgromadzonych – różnego od kapłaństwa służebnego – jest dla mnie ważna. Choć są tradycjonaści, którzy alergicznie reagują na taką mowę.

Z tego, co mówisz, wasze środowisko jest wewnętrznie zróżnicowane.

Nasze środowisko łączy jeden porządek liturgiczny, ale już nie jeden charyzmat, duchowość czy kościelna wrażliwość. Nasze grupy nie są więc jednym środowiskiem formacyjnym. Nawet po ogłoszeniu przez Benedykta XVI „*Summorum pontificum*” nie było okazji, by stary ryt praktykować z nowszym duszpasterstwem. Wcześniej przeżyliśmy tyle traum i oskarżeń, że pierwsze reakcje były głównie zachowawcze. Nie było łatwo wyjść z kolein „czystości tradycji”, więc wbrew zachętom ratzingerowskim nie wszędzie łączono praktykę starej liturgii z mądrym przyjęciem „zasad ogólnych” soborowej Konstytucji o liturgii, co jest możliwe i wskazane. Ale coraz więcej młodych ludzi uczestniczy w starej mszy bez wojennej retoryki i bez

chęci podejmowania pyskówek, które zdarzają się w internecie. Nurt niepolemiczny rozwija się też w wielu klasztorach, np. w bliskim mi opactwie Fontgombault.

Różnice są też na poziomie osobistej pobożności. Msza trydencka nie daje kapłanowi możliwości własnej inwencji, ale – jak mówiłem – od strony wiernych istnieje możliwość różnego sposobu uczestnictwa. Mój najbliższy krąg czerpie najwięcej z duchowości monastycznej. To styl liturgii pełnych, bardzo kontemplacyjnych. Tak jednak nie mogą wyglądać liturgie parafialne – które potrzebują i śpiewu ludowego, i różnych dewocyjnych form towarzyszących. Mamy coś w stylu środowisk tradycjonalistycznych i coś z inspiracji monastycznych, i wiele z potrydenckiego baroku, i całkiem sporo z ambicji ruchu liturgicznego sprzed Vaticanum II.

Głębiej jest różnica pojmowania, na czym polega zaangażowane uczestnictwo wiernych. Współistnieją dwa nurty. Jeden, dominujący, wiąże uwagę wszystkich z akcją przy ołtarzu: ludzie orientują się dobrze w gestach i tekstach modlitw, jest koncentracja na wspólnej modlitwie. Jest też inny nurt, w którym akcentuje się, że liturgia tradycyjna ma dwie formy pobożności – właściwą duchownym, koncentrującą się wokół ołtarza, i taką, która za balaskami (czyli jakby przed ikonostastem), w nawie, była czymś w rodzaju chóru. Cisza otacza ołtarz, w nawie ludzie jakoś odnoszą się do tego, co

dzieje się przy ołtarzu, ale w innym rytmie – pieśni mszalnych. Śpiewniki naszych matek i ojców są wypełnione pieśniami dostosowanymi do mszy...

...czyli podczas starej mszy wierni śpiewają pieśni, w czasie gdy ksiądz modli się słowami mszału.

Tak też może być, choć ten styl występuje rzadko. Na ogół w kościele rozbrzmiewają liturgiczne śpiewy chorałowe z mszału, wspólne i wykonywane przez scholę. Poza tym modlimy się w ciszy. No i można używać mszali. Wielu gorliwych tradycjonalistów – ukształtowanych przez *novus ordo* – z początku ma kompulsywną potrzebę odczytywania sobie z mszali wszystko, co odmawia kapłan. Ja tak też miałem na początku. Po jakimś czasie ta potrzeba się uspokaja i idziesz tropem nie tyle kapłańskim, ile używasz modlitw i antyfon mszalnych, które w tobie zapadły.

Na koniec pytanie związane z papieską decyzją: czy zgodziłbyś się ze stwierdzeniem jednego z obrońców starej mszy, Petera Kwaśniewskiego, że bez odzyskania starej liturgii katolicyzm w swej istocie nie przetrwa?

Wolę stwierdzenie Benedykta XVI, że dla wszystkich katolików – czy uczestniczą w starej mszy, czy nie – ważna jest obecność liturgii, która wiąże nas z Kościołem bardzo różnych czasów.

Jest jakaś „złota nicią”, jest „semaforem” także dla tego, co nowe. Można tu oczywiście przesadzić, mówiąc o „niezmiennej mszy wszech czasów”. Ona się oczywiście zmieniała. Ale niewiele i raczej przez stopniowe organiczne modyfikacje, nie decyzje jakiejś komisji.

Wierzę w starożytne źródła i wielowiekową tradycję. Wiara będzie wydawała różne nowe owoce, nowe formy – uznaje to. Ale byłoby świetnie, gdyby ich kształt decydował się w sercach ludzi, którzy mają doświadczenie długiego trwania Kościoła, a nie tylko potrzebę wykonania ostatnich dekrétów. Chciałbym, by w każdym z nas odtwarzało się przekonanie, że nie należymy tylko do tego czasu. Dlatego boją mnie i niepokoją działania wynikające z przekonania, że można eliminować elementy, które mają długie trwanie i głębokie źródło. Każde takie naruszenie jest dla mnie zgorznięciem. Grozi wydaniem ludzi, którzy w przyszłości zawierzą takiemu uderzeniu, na pastwę czystej siły władzy. Przecież pomysły władzy się zmieniają.

Nie można więc uznać, że niszcząc swoje dziedzictwo liturgiczne Kościół zabezpiecza sobie przyszłość. Przeciwnie: niszcząc starą liturgię Kościół pozbawia się zdolności rozpoznania się w swoim dziedzictwie. A jest to kluczowa zdolność – podobnie jak zdolność rozpoznawania się w Piśmie Świętym. Nawet jeśli są w nim fragmenty trudne w interpretacji, nie mówimy, że trzeba je usunąć.

© Rozmawiał PIOTR SIKORA

TYGODNIK POWSZECHNY ■ www.TygodnikPowszechny.pl

„Tygodnik Powszechny” dostępny dla osób niewidomych i słabowidzących! Więcej informacji na powszech.net/dostepny

Redaktor naczelny Piotr Mucharski
Redaktor senior ks. Adam Boniecki
Zastępcy redaktora naczelnego:
Michał Kuźmiński, Marcin Żyła
Dyrektor artystyczny Marek K. Zalejski
Wiara: Maciej Müller, ks. Jacek Prusak SJ,
Piotr Sikora, Artur Sporniak (kierownik)
Kraj: Paweł Bravo (kierownik), Anna Goc,
Michał Okoński, Marek Rabij,
Mariusz Sepioto, Krzysztof Story,
Przemysław Wilczyński
Świat: Patrycja Bukalska, Wojciech Jagielski,
Anna Łabuszewska, Marcin Żyła,
Wojciech Pięciak (kierownik),
Historia: Wojciech Pięciak
Nauka: Michał Kuźmiński, Łukasz Kwiatek
(kierownik), Łukasz Lamża
Kultura: Kalina Błażejowska, Tomasz Fiałkowski,
Grzegorz Jankowicz, Katarzyna Kubisiowska,
Piotr Mucharski (kierownik), Anita Piotrowska

Reportaż: Anna Goc, Wojciech Jagielski,
Katarzyna Kubisiowska, Mariusz Sepioto,
Przemysław Wilczyński, Marcin Żyła (kierownik)
Fotoedycja: Edward Augustyn,
Grażyna Makara (kierownik), Jacek Taran
Wydanie internetowe: Ewelina Burda, Michał Okoński,
Michał Kuźmiński (kierownik), Monika Ochędowska
TP Typografia: Marta Bogucka, Zuzanna Kardyś,
Andrzej Leśniak, Artur Strzelecki (kierownik)
Korekta: Grzegorz Bogdał, Katarzyna Domin,
Sylvia Frotow, Maciej Szklarczyk (kierownik)
Marketing i Projekty Specjalne: Anna Dziurzikowska,
Maja Kuczińska (kierownik), Mateusz Gawron,
Marta Filipiuk-Michniewicz, Monika Ochędowska, Anna
Pietrzykowska, Patryk Stanik (kierownik ds. komunikacji)
Manager IT: Bartłomiej Swojak
Redaktor wydań specjalnych Michał Okoński
Felietony: Wojciech Bonowicz, Jan Kłata, Andrzej Stasiuk,
Jacek Podsiadło, Dorota Mastowska, Zuzanna Radzik,
Stanisław Mancewicz, Bartosz Minkiewicz, Hanna Krall

Stale współpracują: Elżbieta Adamiak, Klaus Bachmann,
Justyna Bargielska, Marek Bieńczyk, Wojciech Bonowicz,
Wojciech Brzeziński, Beata Chomątowska,
s. Barbara Chyrowicz, Justyna Dąbrowska,
Bartek Dobroch, ks. Andrzej Draguła, Jakub Dymek,
Jarosław Flis, Andrzej Franaszek, ks. Tomáš Halík,
ks. Michał Heller, Agata Kaźmierska, Eliza Kącka,
Piotr Kłodkowski, Małgorzata Kordowicz,
Piotr Kosiewski, Dariusz Kosiński, Dorota Kosińska,
Ryszard Koziołek, Karolina Lewicka, Magdalena Łanuszka,
Stanisław Lubiński, Szymon Łucyk, Józef Majewski,
Paweł Marczewski, Michał P. Markowski, Rafał Matyja,
Marcin Napiórkowski, Małgorzata Nocuń, Magdalena
Nowicka-Franczak, Wojciech Nowicki,
Joanna Olech, Olaf Osica, o. Wacław Osajca,
Jacek Podsiadło, Karolina Przewrocka-Aderet,
Jakub Puchalski, Zuzanna Radzik, Adam Robiński,
Dariusz Rosiak, Joanna Rusinek, abp Grzegorz Ryś,
Tadeusz Sławek, Michał Sowiński, Andrzej Stasiuk,
Władysław Stróżewski, Marcelina Szumer-Brysz

WYDAWCA Tygodnik Powszechny Sp. z o.o.
Zarząd: Jacek Ślusarczyk (prezes),
Piotr Mucharski (wiceprezes),
Maja Kuczińska (wiceprezeska)
Adres wydawcy i redakcji: ul. Dworska 1C/LU 3-4
30-314 Kraków, tel. 668 477 039
redakcja@TygodnikPowszechny.pl
Reklama, promocja: tel. 602 590 416
reklama@TygodnikPowszechny.pl
promocja@TygodnikPowszechny.pl
Prenumerata: tel. 668 479 075
prenumerata@TygodnikPowszechny.pl
Projekt graficzny: Marek Knap i Marek Trojanowski
Druk: Walstead Kraków Sp. z o.o.

REKLAMA



S-NET zapewnia wsparcie technologiczne dla „Tygodnika Powszechnego”

■ REDAKCJA NIE ZWRACA TEKSTÓW NIEZAMÓWIONYM ORAZ ZASTRZEGA SOBIE PRAWO ICH REDAGOWANIA I SKRACANIA. REDAKCJA NIE ODPOWIEDZA ZA TREŚĆ OGŁOSZEŃ. REDAKCJA MA PRAWO DO ODMOWY PUBLIKACJI OGŁOSZEŃ.

■ PRAWA AUTORSKIE I MAJĄTKOWE DO WSZYSTKICH MATERIAŁÓW zamieszczonych w „Tygodniku Powszechnym” należą do Wydawcy oraz ich Autorów i są zastrzeżone znakiem © na końcu artykułu. Materiały oznaczone na końcu dodatkowym znakiem © mogą być wykorzystane przez inne podmioty tylko i wyłącznie po uiszczeniu opłaty, zgodnie z Cennikiem i Regulaminem korzystania z artykułów prasowych, zamieszczonymi pod adresem www.TygodnikPowszechny.pl/nota-wydawnicza.

MAŁGORZATA

Kordowicz: Szyfr Mojżesza



„OTO SŁOWA, KTÓRE WYPOWIEDZIAŁ MOJŻESZ do całego Izraela, po tej stronie Jordanu, na pustyni, w Arawie, naprzeciw Suf, między Paran a Tofel, i Lawan, i Chacerot, i Di-Zahaw” (Pwt 1, 1).

Gdzie jest teraz obóz Izraelitów? Na pozór właśnie poznaliśmy jego dokładną lokalizację. Patrząc jak sroka w gnat na odpowiedni fragment mapy starożytnego Bliskiego Wschodu i nie potrafię jej wskazać. Część nazw brzmi znajomo – to miejsca, w których Jakubowe plemiona obozowały podczas czterdziestoletniej tułaczki. Poza tym wydawało mi się, że dzieci Izraela opuściły już pustynię i znajdują się teraz na równinach Moabu.

Z pomocą przychodzi midrasz – to nie jest miejsce przemowy Mojżesza. Chce on upomnieć swój lud, lecz nie robi tego wprost i zamiast wymieniać konkretne przewiny, czyni do nich aluzje poprzez nazwy miejscowości. Spróbujmy rozszyfrować. „Na pustyni” odnosi się do niewdzięcznej reakcji na brak pitnej wody w Refidim – „Pocóżes wywiódł nas z Micraim [hebr. Egipt], aby zamorzyć nas i dzieci nasze i dobytek nasz pragnieniem?” (Wj 17, 3; Cylikow). W Arawie („na równinie”) Izraelitom złożyły wizytę moabickie niezrządnice sakralne i oddawali tam cześć Baal Peorowi (Lb 25). Naprzeciw Suf – suf to sitowie, czyli nad morzem Sitowia, gdy zbliżały się do nich zbrojne zastępy armii faraona – pozwolili sobie oni na kąśliwą uwagę: „Czyżbyś dla braku grobów w Micraim wywiódł nas, abysmy pomarli na puszczy?” (Wj 14, 11; Cylikow). Z Paranu zostali wysłani do Ziemi Kanaan wywiadowcy (Lb 13), co skończyło się czterdziestoletnią tułaczką. Tofel pochodzi od „niepoważnego podejścia”, a Lawan to „biały” – chodzi tu o komentarz odnoszący się do manny – „dusza nasza obmierzyła sobie chleb ten nędzny” (Lb 21, 5). W Chacerot miał miejsce bunt Koracha i jego zwolenników, Di-Zahaw zaś znaczy „zbyt dużo złota”: Mojżesz ma na myśli złotego cielca.

W tym kierunku udaje się *gros* komentatorów. Zastanawia mnie jednak to, że przywódca wygłasza swoją mowę na progu Ziemi Obiecanej, zatem już nie do pokolenia urodzonego w Egipcie, lecz do ich dzieci. Czy wypunktowanie ich ojców w pierwszych słowach to sposób na dotarcie do młodych?

Osiemnastowieczny marokański rabin dostrzega w tym wersie aluzję do pożądanых przymiotów: *be-ewer* („po tej stronie”) to moralna niezależność, Jordan zaś (rdzeń J-R-D znaczy „zstąpić”) – pokora. Pustynia oznacza skromność. Arawa mówi o braniu odpowiedzialności (*arewut*) za innych. *Suf* czy *sof* („koniec”) – zawsze pamiętaj o swojej śmiertelności. Prezentuj swój *peer* (Paran) – zewnętrzny blask i „poważne podejście” (nie-Tofel). „Biały” to czystość, a *chacerot* – (Boże) podwórcę, czyli domy nauki. „Zbyt dużo złota” – zadowol się minimum.

Jaką głębię można dostrzec w jednym prostym wersie! ©

O. WACŁAW

Oszajca: Tradycja nade wszystko



„POZWÓLCIE SIĘ ODNAWIAĆ DUCHOWI w waszym myśleniu i przyobleczcie się w nowego człowieka, stworzonego za myśłem Boga w sprawiedliwości i prawdziwej świętości” – napisał Paweł Apostoł w Liście do Efezjan. Na czym owa sprawie-

dliwość i prawdziwa świętość mają polegać? Jezus wyjaśnia to w Ewangelii Jana. Co mamy czynić – pytają Go słuchacze i świadkowie rozmnożenia chleba – abyśmy wykonywali dzieła Boże? Jezus odpowiada: „Na tym właśnie polega dzieło Boże, abyście uwierzyli w Tego, którego On posłał”.

Zatem do „prawdziwej świętości” dochodzi się przez nieustanny wysiłek poznawania Jezusa, tego, jak On myśli, jak reaguje na to, co Go spotyka, i jak mówi. Ucząc się od Jezusa podejścia do życia, zaczynamy coraz wyraźniej dostrzegać, że wszechświat nie jest wielkim niemową, lecz słowem Bożym wciąż wypowiedzanym po raz pierwszy. Dlatego chrześcijanie nie są nastawieni na konserwowanie zastanej rzeczywistości, ale na jej tworzenie. A raczej – na stwarzanie, gdyż w ostatecznym rozrachunku to Bóg jest jej twórcą.

Nie tracąc gruntu pod stopami, chrześcijanie nieustannie wychylają się na wszystkie strony, w głąb, wszere i wzdłuż, poza horyzont dostępnej człowiekowi rzeczywistości. Wierzą, że naturalnym środowiskiem życia Boga nie jest nadbudówka zwana niebem, ale Jego domem jest świat. Dlatego rzeczywistość jest niestabilna, jest procesem, w którym co i raz dochodzi do różnych przesileni. Nie inaczej dzieje się w dzisiejszym Kościele.

Kilka dni temu papież Franciszek ogłosił *motu proprio* „Traditionis custodes” [o tradycjonalistach w Kościele piszemy w Temacie Tygodnika – red.]. Ksiądz Benoît Paul-Joseph z francuskiego Bractwa św. Piotra (FSSP, zgromadzenie księży odprawiających mszę trydencką) ocenił to tak: „Jest to tekst bardzo obraźliwy i bardzo brutalny”. Natomiast biskup Blois, Jean-Pierre Batut, mówi: „Błąd zwolenników mszy trydenckiej, nazywanej przez nich mszą wszech czasów, polega na przekonaniu, że »forma zwyczajna jest formą liturgiczną drugiej kategorii, podrzędną Mszą świętą«. A skoro »Rzym już ustąpił w sprawie Mszy św., więc wkrótce Rzym wycofa się także w sprawie Soboru Watykańskiego II«”.

„Nie do przyjęcia jest sytuacja – kontynuuje bp Batut – w której niektóre wspólnoty, pod pretekstem, że ich »charyzmatem« jest celebrowanie w formie nadzwyczajnej, kategorycznie odmawiają celebrowania w formie zwyczajnej. (...) Pamiętam, że kilka lat temu odmówiłem z tego powodu wyświęcenia diakona. (...) Kiedy zapytałem diakona o jego gotowość do odprawiania w formie zwyczajnej, np. z powodu pilnej potrzeby duszpasterskiej, odpowiedział, że jest to dla niego niemożliwe”. Niemożliwe? A dlaczego? ©

ABP GRZEGORZ

Ryś:

Oreǳie Magdaleny

*Jeśli zgadzamy się,
by być narodzonymi,
a nie zgadzamy się,
by umrzeć, popełniamy
– na swoją zgubę –
grzech Adama.*

SIMONE WEIL



*Nie uwolnisz się
od cierpienia,
jeśli nie uwolnisz się
od przemijającej radości.*

HENRYK ELZENBERG



„UDAJ SIĘ DO MOICH braci i powiedz im: Wstępuję do Ojca mego i Ojca waszego oraz do Boga mego i Boga waszego”

(J 20, 17). Liturgia w ubiegłym tygodniu przypomniła to polecenie zmartwychwstałego Pana wydane Marii Magdalenie w poranek wielkanocny.

W pierwszej chwili można postawić pytanie: czy ta misja jest konieczna? Dlaczego potrzebne jest pójście Marii Magdaleny do uczniów? Przecież oni sami – Piotr i Jan – dopiero co byli u Grobu; mało tego, odeszli od niego jako wierzący! Tak przecież napisał Jan: „wszedł do wnętrza [grobu] także i ów drugi uczeń. Ujrzał i uwierzył. Dotąd bowiem nie rozumieli jeszcze Pisma, [które mówi], że On ma powstać z martwych” (J 20, 8-9). Przybiegli więc niewierzący, ale odeszli z wiarą, wiarą w słowo Pisma, którego spełnienie zobaczyli; z wiarą Słowu, które objaśniło im pusty grób.

Czy to nie wystarczy? Najwyraźniej nie. Wiara wielkanocna rodzi się nie tylko ze zrozumienia Pisma, choć bez niego jest zapewne niemożliwa. Ona rodzi się też ze świadectwa ludzi Wielkiej Nocy, tych, którzy – jak Maria Magdalena – mogą powiedzieć: „Widziałam Pana!”. Tych, w których życiu można

zobaczyć owoce Pańskiego zmartwychwstania i posłania Ducha Świętego. Tak jest po dziś dzień. By poprowadzić kogoś ku wierze, nie wystarczy dać mu do ręki książkę (nawet Biblię); trzeba jeszcze wprowadzić go do wielkanocnej wspólnoty.

Ponadto oreǳie Marii Magdaleny kryje w sobie niesłuchanie ważne pouczenie, jednozdaniowe, ale zasadnicze – pouczenie o istocie zmartwychwstania. Przez Marię Magdalenę, Apostołą Apostołów, Jezus objaśnia im, że zmartwychwstając nie wraca do nich, lecz wraca do Ojca.

Nie wraca do nich tak, jak córeczka Jaira została przez Niego wrócona rodzi- com; nie wraca do „ich świata” tak, jak młodzieniec z Nain, oddany na powrót swojej matce-wdowie; nie wraca jak Łazarz do swego domu i sióstr w Betanii. Jezus wraca do Ojca. Owszem, „stamtąd” przyjdzie też do nich, będą mogli Go zobaczyć, posłuchać i dotknąć. Spożyją z Nim posiłek. Ale, tak jak Maria Magdalena tamtego poranka, nie będą Go w stanie „tu” zatrzymać. Bo On wraca do Ojca.

Przesuwa w ten sposób ostatecznie horyzont także naszego życia i nadziei. Jego Ojciec jest naszym Ojcem. Jego Bóg jest naszym Bogiem. Jego życie (Życie!) jest naszym Życiem. Jego wieczność jest naszą wiecznością. ©

CZYTANIA LITURGICZNE (1 – 8 VIII)

18. niedziela zwykła: Wj 16, 2-4. 12-15;
Ps 78; Ef 4, 17. 20-24; J 6, 24-35;
Poniedziałek: Lb 11, 4b-15; Ps 81; Mt 14, 13-21;
Wtorek: Lb 12, 1-13; Ps 51; Mt 14, 22-36;
Środa: Lb 13, 1-2. 25 – 14, 1. 26-30. 34-35;
Ps 106; Mt 15, 21-28;

Czwartek: Lb 20, 1-13; Ps 95; Mt 16, 13-23;
Piątek: Dn 7, 9-10. 13-14;
Ps 97; Mk 9, 2-10;
Sobota: Pwt 6, 4-13; Ps 18; Mt 17, 14-20;
19. niedziela zwykła: 1 Krl 19, 4-8;
Ps 34; Ef 4, 30 – 5, 2; J 6, 41-51.

Wybrał PIOTR SIKORA

KRAJ



CIERPLIWOŚĆ SIĘ KOŃCZY

Podczas „wojny trybunałów” Polska tak bardzo zawężyła pole do rokowań i ustępstw ze strony Unii, że ta nie może już się cofnąć. Sięgnęła po groźby finansowe. I jest gotowa wkrótce je spełnić.

TOMASZ BIELECKI Z BRUKSELI

*Przewodnicząca Komisji Europejskiej
Ursula von der Leyen z Mateuszem
Morawieckim. Bruksela, 13 lipca 2021 r.*



VALERIA MONGELLI / AFP / EAST NEWS

PO PRZEŁOMOWEJ DECYZJI TRYBUNAŁu Konstytucyjnego, który podważył w Polsce zasadę nadrzędności unijnego prawa, nastąpiło natychmiastowe „odmrożenie” Izby Dyscyplinarnej Sądu Najwyższego przez Małgorzatę Manowską, I prezes SN – a także zapowiedź innego wyroku TK, również dotyczącego prymatu prawa Unii, w sprawie wnioskowanej przez premiera Morawieckiego – choć to rozstrzygnięcie przełożono na koniec sierpnia. Jest to

jak dotąd najdramatyczniejszy krok polskich władz ku zrnianiu politycznego „kapitału ustępliwości” Komisji Europejskiej kierowanej przez Ursulę von der Leyen.

Jesienią 2019 r. ta niemiecka chadeczką zaczynała swoją kadencję z dużą gotowością, by – pod często używanym przez nią hasłem „nikt nie jest doskonały” – załagodzić spory Unii z Warszawą, a w każdym razie mocno zepchnąć je na bok bez czekania na „odkrcenie” nawet najbar-

dziej szkodliwych zmian w wymiarze sprawiedliwości wprowadzanych przez PiS od 2016 r. Ku zdumieniu Brukseli polska strona nie podjęła ochoczo tej gry, zdecydowała się natomiast na eskalację konfliktu – tak odebrano tu projekt tzw. ustawy kagańcowej. To zachwiało, lecz nie przekreśliło łagodne linii von der Leyen.

Potem jednak spadł cios wagi znacznie cięższej – to uderzenie w Trybunał Sprawiedliwości UE.

Wniosek gotowy

Teraz już nie tylko Zbigniew Ziobro, nie tylko harcownicy z obozu władzy, lecz sam premier Morawiecki daje TK pretekst do wyłączenia uprawnień TSUE w sprawie polskiego sądownictwa. Ten sam, któremu von der Leyen kiedyś do wierzała w rokowaniach na tematy ważne dla Polski – tłumaczy jeden z naszych rozmówców w Brukseli. Na razie z tego zawierzenia pozostało tyle, że von der Leyen po telefonie Morawieckiego wydłużyła z tygodnia do ponad trzech (do 16 sierpnia) termin, do kiedy Polska ma podporządkować się decyzjom TSUE w sprawie sądów.

Chodzi o ostatnią decyzję unijnego trybunału w sprawie tzw. środka tymczasowego (zabezpieczenia), nakazującą wstrzymanie wszelkich działań Izby Dyscyplinarnej SN wobec sędziów (oraz kluczowych elementów tzw. ustawy kagańcowej), ponadto zaś zawieszenie jej wszystkich dotychczasowych decyzji w tej dziedzinie. A także o inny wyrok, uznający system dyscyplinarny dla sędziów w Polsce za sprzeczny z prawem Unii. O ile w sprawie pełnego wykonania tego wyroku konieczne byłyby w kraju zmiany ustawowe, o tyle zablokowanie Izby Dyscyplinarnej – zgodnie z wymogami Brukseli oraz TSUE – może wydarzyć się niemal natychmiast (najłatwiej na mocy decyzji prezes Manowskiej).

Służby prawne Komisji Europejskiej mają już przygotowany wniosek o wzmocnienie środka tymczasowego za pomocą kary finansowej. Jego rozpatrzenie przez TSUE może zająć od kilkunastu ➔

→ dni do kilku tygodni, a unijny Trybunał Sprawiedliwości nie byłby w tej kwestii związany żadnymi widelkami. Wedle nieoficjalnych brukselskich szacunków może chodzić nawet o kilkaset tysięcy euro kary za każdy kolejny dzień działania Izby Dyscyplinarnej. Ponadto Komisja jest już technicznie przygotowana do wszczęcia – znacznie bardziej czasochłonnego – tzw. postępowania przeciwnaruszeniowego za sabotowanie przez Polskę wyroku o systemie dyscyplinarnym, czego finałem byłaby kolejna skarga do TSUE z wnioskiem o karę finansową.

Daleko do „polexitu”

20 lipca, podczas ostatniego posiedzenia przed wakacjami, Komisja Europejska upoważniła Didiera Reyndersa, komisarza ds. sprawiedliwości, aby – nawet bez zwoływania posiedzenia z udziałem wszystkich 27 komisarzy – już w sierpniu mógł uruchomić oba postępowania dyscyplinujące, jeśli Polska nie podporządkuje się decyzjom TSUE. W praktyce chodzi o to, by nie działała Izba Dyscyplinarna, a premier Mateusz Morawiecki przedłożył plan zaawansowanych prac nad ustawodawczym wycofaniem mankamentów wskazanych przez TSUE w wyroku o systemie dyscyplinarnym. Teraz Komisja Europejska nie może już wycofać się z tych gróźb. To polska władza wybrała kurs na zderzenie czołowe, więc do niego się przygotowujemy – słysząc teraz w instytucjach UE.

Nasi rozmówcy w Brukseli zżymają się jednak na hasło „polexit”. – Jeśli istotnie kiedyś pojawiłaby się taka groźba, to kto uwierzyłby w już tak bardzo zużyty slogan? – pyta jeden z niepolskich wysokich urzędników UE. Ale to prawda, że Polska weszła teraz na drogę unijnej „wojny trybunałów”, której dotąd próbowali w Unii nieliczni. W czerwcu Komisja Europejska wszczęła postępowanie przeciwnaruszeniowe wobec Niemiec (teoretycznie może ono prowadzić do skargi przed TSUE) za wyrok Trybunału Konstytucyjnego z Karlsruhe z 2020 r., w którym odrzucił kluczową część orzeczenia Trybunału Sprawiedliwości UE i podważył poprawność decyzji Europejskiego Banku Centralnego o skupie obligacji sektora publicznego strefy euro. Zdaniem niemieckiego TK sędziowie TSUE wyszli poza kompeten-

Twardsze działania ułatwi
Brukseli fakt, że w ciągu
najbliższego półtora roku
premier Morawiecki
**niezbyt ma co wetować
na forum unijnym.**

cje powierzone instytucjom UE w traktatach unijnych.

Ponadto Bruksela w lipcowych raportach o stanie praworządności w 27 krajach Unii wypomina rządowi Francji, że niedawno usiłował przed Radą Stanu, czyli naczelnym sądem administracyjnym, podważyć wyrok TSUE w sprawie gromadzenia i terminu przechowywania danych przez francuskie służby. Choć Rada Stanu w kwietniu nie przychyliła się do prośby władz o przeciwstawienie się TSUE, to – w uproszczeniu – zastrzegła sobie prawo kontroli wyroków unijnego Trybunału Sprawiedliwości m.in. w kwestiach bezpieczeństwa.

Żaden jednak z dotychczasowych „buntów” sądów konstytucyjnych wobec TSUE (a niegdyś zdarzył się również taki Czechom, dotyczył wyroku w sprawie emerytur z czasów Czechosłowacji) nie był tak szeroki i nie dotyczył tak kluczowej kwestii, jak polski spór o niezależność sądownictwa. Rząd Morawieckiego próbuje przekonywać – zgodnie z prawdą – że kontrola gwarancji niezawisłości sędziów krajowych przez TSUE (w myśl wykładni „sędziowie krajowi to zarazem sędziowie unijni”) to *novum*, wprowadzone w praktyce zaledwie 3–4 lata temu, i to przy dużych obawach wielu unijnych prawników przed tak znaczącym rozszerzeniem działań Komisji Europejskiej i TSUE. Ale Warszawa regularnie słyszy w odpowiedzi, że to właśnie skala oraz tempo naruszeń zasad w Polsce pchnęły Unię do takiego rozwoju orzecznictwa, od czego nie ma odwrotu. „Zrobimy wszystko, co w naszej mocy, by zapewnić integralność prawa Unii” – powtarza Věra Jourová, wiceszefowa Komisji Europejskiej.

KPO w roli zakładnika

Polska rebelia wobec prymatu prawa Unii, choć autoryzowana przez premiera Morawieckiego za pomocą wniosku do TK, jest wciąż postrzegana w Brukseli nie jako element jakiejś przemyślanej strategii Warszawy, której celem miało być rozluźnienie integracji europejskiej, lecz raczej jako rezultat doraźnych czy nawet chaotycznych rozgrywek w obozie polskiej władzy. Taka diagnoza sprawia, że w unijnej centrali wciąż silna jest nadzieja, że Polska wkrótce cofnie się na tyle, by umożliwić rozejm.

Ustąpić w tak nagłośnionej sprawie? Po retorycznych salwach o „obronie suwerenności” słyszeliśmy to samo przy sporze o przepisy „pieniądze za praworządność”. Miało być veto wobec unijnego budżetu oraz Funduszu Odbudowy, a jednak Morawiecki ostatecznie pokazał się w Brukseli ze swej obliczalnej strony – przekonuje jeden z naszych unijnych rozmówców. Pierwsze, ogłoszone już parę dni po brukselskim ultimatum deklaracje I prezes Sądu Najwyższego Manowskiej („rozważyła zawieszenie Izby Dyscyplinarnej”) oraz Morawieckiego („może należałoby dokonać przeglądu działania Izby Dyscyplinarnej”) potraktowano w Brukseli z pewną ulgą jako sygnał, że w Warszawie „wreszcie zaczęli szukać wyjścia z pułapki, w którą sami się wpakowali”.

A jeśli Polska nie ustąpi? Gdyby rząd Morawieckiego odmówił płacenia grzywny nałożonej przez TSUE – chociaż coś takiego w historii Unii jeszcze się nie zdarzyło – Bruksela w ostateczności mogłaby potrącać ją z unijnych funduszy dla Polski. Co więcej, Komisja Europejska już teraz wskazuje, że jest gotowa jeszcze mocniej zagrozić polskiej kieszeni. Otóż, efektem wyroku Trybunału Konstytucyjnego, od którego zaczęła się obecna awantura, było natychmiastowe wrzucenie do brukselskiej „zamrażarki” Krajowego Planu Odbudowy, na którym będą oparte wydatki Polski z Funduszu Odbudowy (23,9 mld euro dotacji oraz 12,1 mld euro tanich pożyczek; o pozostałe 22 mld pożyczek rząd może poprosić do 2023 r.). Wprawdzie oficjalny termin na uzgodnienie polskiego KPO z Komisją Europejską (potem ten plan musią przegłosować ministrowie 27 krajów Unii) mija 1 sierpnia, ale rząd Morawieckiego liczył nawet na połowę lipca. Istotnie, rokowania w sprawie KPO były już

wówczas praktycznie zamknięte, a Bruksela zamierzała dość mocno przymknąć oko na postulaty „wzmacniania niezależności sądownictwa dla poprawy klimatu inwestycyjnego” w Polsce. Pomimo to – również w tej kwestii gwałtownie stopniał polski kapitał ustępliwości u von der Leyen – zielone światło Komisji nagle wygaszono z powodu „wojny trybunałów”.

Nie wiadomo, czy zwłoka z Krajowym Planem Odbudowy potrwa dni, czy raczej tygodnie. Ale trudno sobie dziś wyobrazić, by Bruksela mogła odsunąć jego zatwierdzenie poza jesień tego roku. Jednak już nawet obecne opóźnienie oznacza dla rządu Morawieckiego odsunięcie wypłaty zaliczki wartiej 13 proc. całości Planu. I jest zapowiedzią, że mające nastąpić co pół roku oceny realizacji KPO przy okazji uwalniania kolejnych transz z Funduszu Odbudowy (aż do 2026 r.) nie muszą być łatwe.

Wykrecony bezpiecznik

Bruksela zapewne dopiero od przyszłego roku będzie dysponować mechanizmem „pieniądze za praworządność”, z którego teraz nie korzysta – to było kolejne ustępstwo wobec Warszawy i Budapesztu. Reguła „pieniądze za praworządność” dotyczy odbierania funduszy w przypadku naruszeń praworządności z „bezpośrednim skutkiem” lub poważnym ryzykiem dla poprawnego gospodarowania pieniędzmi unijnymi – czego dotychczas Bruksela nie dostrzega w Polsce (w przeciwieństwie do Węgier). Niewykluczone jednak, że stały bojkot wyroków TSUE z czasem mógłby zacząć być traktowany w Unii jako degeneracja wymiaru sprawiedliwości bezpośrednio grożąca brakiem rzetelnego ścigania korupcji i oszustw przy funduszach z UE. Może nie w samej Brukseli, lecz w niektórych istotnych państwach-płatnikach do budżetu UE szybko pojawiłyby się naciski na „karne” cięcia pieniędzy unijnych dla Polski. Bardzo czuły w tej kwestii jest m.in. parlament holenderski.

Twardsze działania Brukseli ułatwia teraz to, że w ciągu najbliższego półtora roku premier Morawiecki niezbyt ma co wetować na forum unijnym. Gdy Unia potrzebowała jednomyślności dla budżetu na lata 2021-27 oraz dla Funduszu Odbudowy (a także ratyfikacji umowy o dochodach Unii przez wszystkie 27 krajów), otoczenie von der Leyen uciszało krytykę wobec Polski. A sama szefowa

Dzięki regułom brukselskiej „maszyny negocjacyjnej”
Polska może zachować znacznie większą rolę,
niż wynikałaby
z obecnych konfliktów.

Komisji Europejskiej w grudniu 2020 r. – to smaczek istotny dla brukselskiej bańki – zrezygnowała z celebrowania pierwszej rocznicy swego urzędowania za pomocą dużej konferencji prasowej, by uniknąć pytań o Polskę lub Węgry.

Ale teraz Unia ma już nawet zgodę Morawieckiego na redukcję unijnych emisji dwutlenku węgla o co najmniej 55 proc. w 2030 r. oraz polskie wsparcie – choć udzielone trochę pokrętnie – dla unijnej neutralności klimatycznej w 2050 r. Szczegóły co do sposobu redukcji, kosztów oraz finansowych rekompensat za wysiłek poszczególnych państw w walce z kryzysem klimatycznym Unia w zasadzie mogłaby od teraz przyjmować wyłącznie na zwykłej ścieżce legislacyjnej, która nie wymaga jednomyślności, lecz większościowych głosowań krajów Unii. Rzecz jasna, to dla Polski „sprawa gardłowa”, bo kraj czeka bardzo trudna transformacja energetyczna. Opcja przenoszenia najboleśniejszych problemów na szczyty UE, na których poszukuje się jednomyślności wśród przywódców 27 krajów Unii, to swoisty bezpiecznik, po który chętnie sięgały w sprawie klimatu wszystkie polskie rządy po wejściu do Unii. Tyle że takie omijanie zwykłych procedur legislacyjnych bywa możliwe w Brukseli dzięki życzliwemu konsensusowi instytucji i kluczowych państw Unii. Nie służy zaś jemu otwarta walka z TSUE w sprawie niezawisłości sędziów.

Ćwiczenia z cierpliwości

Na obecne zaostrzenie linii von der Leyen – prócz coraz głośniejszej krytyki jej ustępliwości ze strony Parlamentu Europejskiego oraz dyskretniejszych napomnień ze strony niektórych unijnych rządów – wpływa też rozlanie się tzw. kry-

zysu praworządnościowego poza sądownictwo. Już od miesięcy widać, że mocniej – a w każdym razie bardziej emocjonalnie czy też osobiście – dotyczą ją kwestie dyskryminacji społeczności LGBT+ (w tym polskie samorządowe uchwały o „strefach wolnych od ideologii”), a także sytuacja kobiet.

Zresztą, „strefy wolne od ideologii LGBT” uderzyły w polską reputację w Unii znacznie szybciej i mocniej od najostrzejszych ataków na niezależność sądownictwa. O ile korupcja albo sądownictwo nigdy nie stały się dotąd tematem dłuższej rozmowy przywódców 27 krajów na szczycie UE, to dopiero właśnie – broniąca przez Morawieckiego – homofobiczna ustawa z Węgier spowodowała w czerwcu ich nadzwyczaj emocjonalną debatę. Premier Viktor Orbán musiał skonfrontować się z opowieściami premiera Luksemburga, zdeklarowanego geja, czy też premier Finlandii wychowanej przez parę lesbijską.

Wedle przecieków von der Leyen zamierza w swym dorocznym, wrześniowym „oreździu o stanie Unii” wziąć na sztandary walkę z dyskryminacją mniejszości oraz o pluralizm mediów. To nie oznacza, że Polska – zwłaszcza jeśli szybko i choć trochę odstąpi od swej „wojny trybunałów” – będzie skazana na rolę izolowanego unijnego pariasa. Owszem, to figura chwytliwa publicystyczna, a minione kilka lat sporów z Brukselą o praworządność rzeczywiście potężnie osłabiło zdolności koalicyjne Polski na forum unijnym. Jednak rozmiar, położenie i wielkość populacji sprawiają, że dzięki regułom brukselskiej „maszyny negocjacyjnej” nawet w tym trudnym czasie Unia pozwala Polsce na zachowanie w Europie roli znacznie większej (i wobec sąsiadów, i w decyzjach gospodarczych), niż – jak mogłoby się z daleka wydawać – wynikałaby ona z tak fatalnego nadwężania sił w bojach z Brukselą.

Przykład? Polska potrzebuje od Unii pieniędzy na zieloną transformację, ale z drugiej strony Unia straciłaby szanse na osiągnięcie swej klimatycznej neutralności, gdyby Polska – w jakimś ślepym buncie przeciw realiom gospodarczo-ekologicznym – zechciała zupełnie sabotować europejskie wysiłki redukcji poziomu emisji dwutlenku węgla. Innymi słowy: Bruksela traci do Polski cierpliwość – ale prócz zasad są jeszcze polityczne realia.

© TOMASZ BIELECKI

Pokolenie dwóch dołków

PIOTR WÓJCIK

Tak zwani milenialsi nie są bardziej leniwi od poprzedników czy gorzej przygotowani do pracy. Owszem, głośniejszy artykułują potrzeby, ale to efekt ich specyficznej historii.

EMBLEMATYCZNY SPÓR POKOLENIOWY naszych czasów stawia naprzeciw siebie ludzi urodzonych w trakcie powojennego wyżu demograficznego i pokolenie urodzone w końcu poprzedniego tysiąclecia. Boomer stał się synonimem podstarzałego wujaszka dobra rada. Milenials w społecznej percepcji to przydomek hipstera po politologii, w rozciągniętej koszulce i z wypięgniętą brodą, który nie szanuje świętości i zamiast pracować, zbiera pieniądze poprzez zbiórki w internecie.

„Moje pokolenie potrafiło zaczynać od zera i nie czekać na to, co odziedziczy po zasobnych rodzicach. W Pańskim jest już z tym dużo gorzej. Aspiracje nie idą w parze z pracowitością i skromnością” – pisał dziennikarz TVN24 Konrad Piasecki do Jana Śpiewaka podczas jednego z głośniejszych sporów na Twitterze. „Takiemu młodemu człowiekowi, który nie jest nauczony pracy, zaradności, odpowiedzialności i do 35. roku życia mieszka z rodzicami, rzeczywiście nie pozostaje nic innego, jak biegać po ulicach z flagami LGBT i pluć na Kościół i pomniki narodowe” – to z kolei słowa 35-letniego posła PiS Mariusza Kałużnego; on sam miał zresztą nieco łatwiej niż rówieśnicy, gdyż wynajmował za grosze mieszkanie od Centralnego Ośrodka Sportu, którego był dyrektorem...

Jak to ze stereotypami bywa, oba są marnie zakorzenione w rzeczywistości. Milenialsi w żadnym stopniu nie są bardziej leniwi od poprzedników czy gorzej od nich przygotowani do pracy. Owszem, głośniejszy artykułują swoje potrzeby, przez co przylgnęła do nich łatka roszczeniowych. Tylko że to efekt ich specyficznej historii.

Kryzys za kryzysem

Milenialsi wchodziłi w dorosłe życie po 2000 r. Mowa o ludziach urodzonych

w latach 1981–1996, czyli mających obecnie 25–39 lat. Żyje ich w Polsce prawie 8,5 mln. W amerykańskiej prasie i dyskusji socjologicznej sytuację milenialsów najczęściej porównuje się do reprezentantów powojennego wyżu demograficznego, którzy zwykle są ich rodzicami. W polskich realiach takie porównanie byłoby jednak ryzykowne, gdyż tak zwani boomersi układali sobie życie jeszcze w PRL, a więc w zupełnie innych okolicznościach.

Po 1989 r. w Polsce nastąpiły tak gwałtowne przemiany własnościowe, pracownicze oraz edukacyjne, że sensowniejsze będzie porównanie sytuacji milenialsów z tzw. pokoleniem X (to ludzie urodzeni 1966–1980). To właśnie ono, wchodzące w dorosłość w latach 90., kształtowało obraz ekonomiczno-społeczny czasów transformacji.

Milenialsi to pokolenie dwóch kryzysów. Pierwszy, gospodarczy, z 2008 r., przypadł na okres, gdy większość z nich rozpoczynała karierę zawodową. Na papierze przeszliśmy go jako „zielona wyspa”, co oznaczało tylko tyle, że Polska nie odnotowała recesji. Zapłaciliśmy za ten sukces daleko posuniętą destabilizacją rynku pracy, m.in. rozpowszechnieniem stosowania umów cywilnoprawnych. A także zahamowaniem wzrostu płac, które momentami realnie spadały – tak było np. w 2010 i 2012 r. Milenialsi od początku musieli oswajać się z niestabilnym zatrudnieniem oraz niewielkimi szansami na podwyżki. Byli więc pierwszym pokoleniem od wojny, które musiało liczyć się z życiem na niższym poziomie niż rodzice.

Od połowy drugiej dekady XXI w. nad Wisłę wróciła koniunktura i wzrost płac. Starsi milenialsi otrząśnili się z kryzysowego marazmu i zaczęli układać sobie życie rodzinne. Natomiast kończący studia młodszy przedstawiciele pokolenia wcho-

dzili na rynek pracy z uzasadnionymi nadziejami na społeczny awans. I wtedy nadszedł drugi kryzys, tym razem pandemiczny, podczas którego po raz pierwszy od niemal trzech dekad odnotowaliśmy recesję. Kryzys gospodarczy wywołany lockdownami nie doprowadził do wieszczanego załamania na rynku pracy, przyniósł jednak ogromne poczucie niepewności, lęk o siebie i najbliższych. Wchodzący w dorosłe życie ludzie zaliczyli więc dwa emocjonalne dołki w krótkim czasie.

Wychowani na pesymistów

Takie doświadczenia musiały wpłynąć na poglądy polityczne milenialsów i ich artykulację. Co roku nastroje wśród nich bada na szeroką skalę spółka konsultingowa Deloitte, przeprowadzając wywiady z kilkunastoma tysiącami osób mieszkających w państwach rozwiniętych – z tego kilkuset respondentów pochodzi z Polski. W kluczowych wnioskach z badania „Milenialsi 2019”, a więc przeprowadzonego jeszcze przed pandemią, czytamy, że „poziom optymizmu w odniesieniu do sytuacji ekonomicznej i społeczno-politycznej jest rekordowo niski. Respondenci nie ufają tradycyjnym instytucjom społecznym, w tym środkom masowego przekazu, a także pesymistycznie odnoszą się do kwestii związanych z postępem społecznym”. Zaledwie 25 proc. ankietowanych z Polski stwierdziło, że w ciągu roku poprawi się sytuacja społeczno-polityczna w kraju, choć jeszcze rok wcześniej było to 42 proc.

Polscy milenialsi wyróżniali się znacznie mniejszym poziomem zaufania do państwa niż ich rówieśnicy z całego świata. Na pytanie, które instytucje są najlepiej przygotowane do sprostania wyzwaniom współczesności, zaledwie 20 proc. z nich wskazało państwo.

W pandemicznym roku 2020 ankieterzy Deloitte zapytali o stan zdrowia psychicznego. Okazało się, że 44 proc. badanych odczuwa stres ciągle lub przez większość czasu. Co trzeci pytany przyznał, że z powodu stresu zdarzyło mu się przynajmniej raz opuścić dzień pracy. Oprócz lęku o sytuację finansową rodziny oraz perspektywy zawodowe znalazły się także przyczyny natury ogólnej – zmiany klimatyczne i sprawność ochrony zdrowia.

W głośnym tekście, opublikowanym rok temu na łamach serwisu Bloomberg



PIOTR KAMIONKA / REPORTER

Targi pracy i praktyk w łódzkiej hali Expo, 3 kwietnia 2019 r.

News, Andreas Kluth stawiał tezę, że odpowiedzialnością na tę podwójną frustrację jest przyjęcie przez dużą część milenialsów swego rodzaju optyki socjalistycznej. Ludzie przed czterdziestką są zawiedzeni obecnym modelem ekonomiczno-społecznym i oczekują znacznie więcej od państwa. Szczególnie w zakresie dostępu do ochrony zdrowia oraz przystępnych cenowo mieszkań.

Pracowici jak poprzednicy

Mileniali nie boją się głośno artykułować swoich roszczeń. Nie oznacza to jednak, że są mniej pracowici niż poprzednicy, co się im często wmawia. Po pierwsze, przynajmniej w Polsce są najlepiej jak dotąd wyedukowanym pokoleniem. Według OECD 44 proc. Polek i Polaków w wieku 25-34 lata ma wyższe wykształcenie. W pokoleniu ich rodziców (55-64 lata) studia skończyło jedynie 16 proc. populacji. Mileniali z Polski nie odstają pod tym względem od rówieśników z innych państw rozwiniętych – w krajach należących do OECD wyższe wykształcenie posiada 45 proc. populacji w tym przedziale wiekowym.

W raporcie Polskiej Agencji Rozwoju Przedsiębiorczości podsumowującym

VI edycję Bilansu Kapitału Ludzkiego, przeprowadzonego w latach 2017-18, porównano potencjał i aktywność zawodową milenialsów i pokolenia X. Mileniali nie tylko mieli przeciętnie znacznie wyższy poziom wykształcenia, ale też sensowniejszą strukturę wyboru kierunków.

Robiące karierę w szalonych latach 90. pokolenie X kończyło przede wszystkim kierunki z kategorii „biznes, administracja i prawo” (36 proc.) oraz pedagogikę (29 proc.) – w związku z czym obecnie mamy przesyt prawników i pedagogów. Mileniali już znacznie rzadziej wybierali tego typu studia, za to częściej decydowali się na studia techniczne i inżynierskie. W poszczególnych kohortach wiekowych różnice te były bardzo wyraźne. W 1990 r. kierunki techniczne kończyło 17 proc. studentów z pokolenia X. W 2004 r., a więc w najstarszej grupie milenialsów, kierunki techniczne studiowało już 21,5 proc. studentów. W grupie najmłodszych milenialsów (rok 2017) kierunki techniczne kończyło aż 24 proc. studentów.

Także pod względem aktywności zawodowej mileniali nie ustępują starszemu pokoleniu. Według GUS w 2020 r. wskaźnik zatrudnienia w grupie wie-

kowej 30-39 lat wynosił 84,4 proc., natomiast wśród osób w wieku 40-49 lat 85,9 proc. Półtora punktu procentowego różnicy między tymi dwiema grupami to nic niezwykłego. Według Bilansu Kapitału Ludzkiego przedstawiciele pokolenia X na umowach o pracę pracują przeciętnie 42,9 godziny tygodniowo, a mileniali 42,5 godziny. Wśród zatrudnionych na umowach cywilnoprawnych to mileniali pracują znacznie dłużej – i to aż o 13 godzin. To tym istotniejsze, że mileniali trzy razy częściej niż ich starsi koledzy i koleżanki pracują bez stałej formy zatrudnienia.

Wbrew stereotypowi, mileniali nie odkładają też w nieskończoność momentu rozpoczęcia aktywności zawodowej. Przeciętny wiek rozpoczęcia pierwszej pracy zarobkowej dłuższej niż 3 miesiące w generacji X i wśród milenialsów jest właściwie identyczny. W przypadku absolwentów szkół średnich wynosi 21 lat, a wśród absolwentów uczelni nieco ponad 23 lata.

U mamy nie z wyboru

Żelaznym argumentem na rzecz tezy, że mileniali są niedojrzali i nie chcą wziąć odpowiedzialności za swoje życie, ma być fakt zamieszkiwania do późnych lat w domu rodzinnym. Faktycznie, według Eurostatu aż 44 proc. Polek i Polaków w wieku 25-34 lata mieszka z rodzicami. To jednak specyfika lokalna – typowa dla południa i wschodu UE – spowodowana złą sytuacją na rynku mieszkaniowym. W państwach, w których zdobycie dachu nad głową jest łatwiejsze, odsetek milenialsów mieszkających z rodzicami jest drastycznie niższy. W państwach nordyckich wynosi ledwie kilka procent, a w Holandii 10 proc. Po prostu na północy Europy łatwiej o mieszkanie, więc i wyprowadzka od rodziców następuje szybciej.

Fakt, że mileniali głośniejsze i bez skrępowania artykułują swoje potrzeby – czyli są „roszczeniowi” – ma swoje zalety. Kieruje uwagę opinii publicznej w stronę prawdziwych problemów. Być może to dzięki tej presji pojawia się w ogóle jakiś spór o mieszkalnictwo, poziom pomocy społecznej czy jakość usług publicznych. Roszczeniowość milenialsów jest więc oznaką dojrzałości. Niedojrzali są raczej ci, którzy w reakcji na nią próbują uruchamiać puste stereotypy konfliktu pokoleń. ©



Bazylika i klasztor oblatów na Świętym Krzyżu, 16 lipca 2021 r.

Bezpowrotna utrata

TEKST I ZDJĘCIA KRZYSZTOF STORY

Świętokrzyski Park Narodowy może wkrótce stracić cenny obszar, bo prawo i ochrona przyrody przegrają z żądaniami Kościoła i politycznym interesem.

LIKWIDACJA LUB ZMNIEJSZENIE OBSZARU parku narodowego następuje wyłącznie w razie bezpowrotnej utraty wartości przyrodniczych i kulturowych jego obszaru – tak brzmi art. 10 ust. 1a ustawy o ochronie przyrody z 2004 r., niewykorzystany ani razu od czasu jej uchwalenia. Według dostępnych mi danych w Polsce po 1989 r. zmniejszono tylko jeden park narodowy. W 1996 r. wyłączono z Wielkopolskiego Parku Narodowego obszary zabudowane (np. miasto Puszczykowo) i tereny zdegradowane przez gospodarkę leśną.

Prawdopodobnie już wkrótce się to zmieni. Państwo zamierza przestać chronić 1,3 hektara Świętokrzyskiego Parku Narodowego – trzeciego najstarszego w kraju, po Białowieckim i Pienińskim. Zostanie z niego wykrojona enklawa

przed klasztorem na górze Łysiec (Święty Krzyż), którym dziś opiekuje się zgromadzenie Misjonarzy Oblatów Maryi Niepokalanej. Zakonnicy próbują przejąć ten teren od ponad 25 lat i chyba teraz im się uda. 16 lipca Ministerstwo Środowiska i Klimatu rozesłało stosowne rozporządzenie do ostatnich konsultacji. Termin zgłaszania uwag upływa 15 sierpnia.

Problem w tym, że na Łyscu nie doszło do żadnej bezpowrotnej utraty wartości: ani przyrodniczych, ani kulturalnych. Doszło jedynie do sporu, w którym prawo i najwyższa w Polsce forma ochrony przyrody zdaje się przegrywać z żądaniami Kościoła i politycznym interesem.

Historyczny moment

Ciągle aktualny stan prawny wygląda tak: cała wschodnia część wzgórza – bło-

nia, wschodnie skrzydło klasztoru i oczywiście bazylika Trójcy Świętej na Świętym Krzyżu – należy do oblatów. Zachodnia, z drugim skrzydłem klasztoru, w którym działa parkowe muzeum, terenem zielonym oraz małym, piętrowym „szpitalikiem” – do Świętokrzyskiego Parku Narodowego. Jednak całe wzgórze znajduje się na terenie ŚPN i podlega przepisom ustawy o ochronie przyrody.

Na terenie każdego parku narodowego w Polsce jest mnóstwo prywatnych gruntów i budynków, także kościelnych. Zakonnicy mogliby drugą część wzgórza po prostu odkupić bez konieczności okrawania ŚPN. Ba, takie porozumienie zostało już zawarte 14 lat temu. 5 stycznia 2007 r. w Ministerstwie Środowiska, kierowanym wówczas przez Jana Szyszke, podpisano list intencyjny – oblaci przejęliby budynki, w zamian kuria miała zbudować i przekazać parkowi nowe muzeum (w Hucie Szklanej, u podnóża Łysca, zaraz przy parkingu). Na stronie zakonu do dzisiaj czytamy: „To był historyczny moment”.

Tyle że strona kościelna nigdy nie wywiązała się ze swoich obietnic, a późniejsze zmiany w przepisach znacząco utrudniły ewentualne przekazanie parkowego mienia. Teraz najłatwiej najpierw uczynić je „nieparkowym”. Taki grunt automatycznie przechodzi pod zarząd Skarbu

Państwa, czyli starosty powiatu kieleckiego. A ten może przekazać go zakonowi z, dajmy na to, 90-procentową bonifikatą. Rozporządzenie o zmianie granic ŚPN przygotowano w Ministerstwie Środowiska już w 2019 r., potem jednak przysłała rekonstrukcja rządu, protesty i pandemia. Teraz Ministerstwo, już z nową nazwą (Klimatu i Środowiska), wraca z tym samym projektem.

Los dyrektora

Na szczyt Łysca wybieram się z Łukaszem Misiuną, prezesem stowarzyszenia MOST, które od lat walczy o zachowanie Parku, oraz Piotrem Szafranem, byłym już dyrektorem ŚPN.

– Jak wspominam współpracę z oblaci? Bardzo ciężko – mówi Szafranec. – Polegała głównie na oczekiwaniu przez nich jednostronnych ustępstw. Naciski na to, żeby ten teren przekazać zakonnikom, trwały od dawna, ale teraz po zmianie władzy skończyła się dyskusja, wydawano tylko polecenia. Nie chciałem się mieszać w oddawanie czegośkolwiek. Uważam, że moją funkcją było pilnowanie majątku państwa, a nie rozdawanie go. Oficjalnie odwołano mnie w 2016 r. bez podania przyczyny – taki los dyrektora parku. Ówczesny wiceminister Andrzej Szveda-Lewandowski odwrócony do mnie plecami powiedział tylko, że mam sobie wziąć pismo i przeczytać, że zostałem zwolniony.

Wszystko wskazuje, że teraz marzenia oblatów się spełnią. Politycy PiS rządzą zarówno krajem, jak i powiatem, przychylny jest także następca Szafrana. Jan Reklewski, nowy dyrektor ŚPN, już w 2019 r. chwalił projekt rozporządzenia i mówił: „Te grunty i tak od lat podlegają urbanizacji. Nie przedstawiają istotnej wartości przyrodniczej”.

Mając w pamięci zapis ustawy, pytam Łukasza Misiunę o „bezpowrotną utratę wartości przyrodniczych i kulturalnych”. Misiuna pokazuje mi pismo podpisane przez obecnego dyrektora ŚPN z 15 lipca 2019 r.: „W naszej ocenie nie doszło do utraty wartości kulturowych, co potwierdza nadanie w 2017 r. przez Prezydenta RP całemu kompleksowi na Św. Krzyżu tytułu pomnika historii (...). W zakresie przyczyn utraty wartości przyrodniczej nie podejmowano próby dokonania ustaleń”.

– W 2019 r. zadzwonił do mnie dziennikarz i poprosił o komentarz, bo dyrektor

Reklewski mówi, że Łysiec utracił wartości przyrodnicze – wspomina Misiuna. – Przysięgam, że najpierw pomyślałem, że doszło do jakiegoś skażenia, wycieku.

Nie doszło. Teren, który Ministerstwo chce wyłączyć z parku, wygląda prawie tak samo jak na archiwalnych zdjęciach z lat 50. Trawniki, budynki, droga (wtedy nie była obsadzona lipami).

Na trawniku

Na pierwszy rzut oka można by się zgodzić z Reklewskim, który powołując się na inwentaryzację z lat 2012-14 pisze o braku cennych gatunków. Tyle że podczas inwentaryzacji całego parku ten konkretny fragment nie był badany szczególnie dokładnie – nie było takiej potrzeby. W 2019 r. już była, więc Misiuna, od prawie 30 lat zajmujący się ochroną przyrody, po ogłoszeniu planów Ministerstwa zebrał zespół ekspertów i rozpoczął badania.

„Pomimo silnej antropopresji inwentaryzowany teren charakteryzuje się relatywnie wysokim walorem przyrodniczym i dużym bogactwem gatunkowym, a stanowiąc swoistą, nieleśną enklawę, zwiększa różnorodność biologiczną Parku” – czytamy w podsumowaniu raportu.

– Na tych lipach są cztery chronione gatunki mszaków i cztery gatunki porostów, w tym jeden uznany za wymarły w Świętokrzyskiem – wylicza Misiuna. – Znaleźliśmy 21 gatunków nowych dla Gór Świętokrzyskich. 4 gatunki rzadkich ptaków i jeden gatunek nietoperza. A na tym trawniku – gatunek chrząszcza, który nigdy wcześniej nie był obserwowany w Polsce.

Sporo tego, jak na 1,3 hektara, który bezpowrotnie utracił wartości przyrodnicze.

– Byłem zaskoczony – przyznaje przyrodnik. – Liczyłem się z tym, że nic nie znajdziemy, nie robiliśmy badania pod tezę. Badaliśmy tylko ten hektar z buforem 50 metrów. Wysłaliśmy raport do Parku, Ministerstwa, RDOŚ, został kompletnie zignorowany. Zresztą od Ministerstwa dostaliśmy zgodę na badania na dwa lata. Planowaliśmy spokojną pracę.

Dwa miesiące później minister Michał Woś rozesłał projekt rozporządzenia do konsultacji. Na zgłaszanie uwag dla wybranych organizacjom pozarządowym 10 dni (według ustawy powinno być co najmniej 30). Mimo krótkiego czasu

spłynęło ich sporo. Projekt rozporządzenia popiera: Ministerstwo, oblaci i chyba obecna dyrekcja ŚPN, choć Reklewski już w styczniu 2020 r. mówił, że rozporządzenie to kwestia polityczna, którą zajmuje się Rada Ministrów, a on jest od ochrony przyrody. Przeciw są: organizacje ekologiczne, ustawa o ochronie przyrody, a także naukowcy.

Stanowisko Komitetu Biologii Środowiskowej i Ewolucyjnej PAN: „Stworzenie wewnątrz parku enklawy niepodlegającej rygorom ochronnym może stanowić dla niego duże zagrożenie, np. być przyczółkiem dla zawlekanych gatunków inwazyjnych, stanowić barierę dla przemieszczania się zwierząt albo – z powodu zwiększonej antropopresji – powodować degradację przyrodniczą sąsiadujących terenów parku”.

Stanowisko Instytutu Ochrony Przyrody PAN: „Stan działek proponowanych do wyłączenia nie zmienił się zasadniczo od momentu powstania Świętokrzyskiego Parku Narodowego [1950 r. – red.] (...) Projektodawca rozporządzenia nie przedstawił żadnego dokumentu wskazującego utratę lub brak wartości przyrodniczych i kulturowych działek na Łyscu”.

I wreszcie stanowisko Rady Naukowej samego Parku (uchwała z 16 lipca 2021 r.): „Nie ma wystarczających przesłanek prawnych oraz przyrodniczych uzasadniających to wyłączenie (...) stworzenie enklawy w obrębie ŚPN stwarza potencjalne zagrożenie dla całego obszaru Łysca”.

Kasata czy kradzież?

Pomimo wielokrotnych próśb o. Marian Puchała, superior klasztoru na Świętym Krzyżu, nie znalazł czasu na rozmowę. W ŚPN usłyszałem, że dyrektora Reklewskiego nie ma przez miesiąc, a nikt inny na ten temat wypowiadać się nie może. Muszę się zatem opierać na doniesieniach medialnych.

Tych nie brakuje. Oblaci o „przywrócenie integralności obiektom klasztornym”, jak często to określają, walczą od lat. Piotr Szafranec nie jest pierwszym dyrektorem odwołanym za nieustępliwość. W 2006 r. stanowisko po zaledwie kilku miesiącach stracił Bogdan Hajduk. Oblaci wywierają naciski na polityków, ministrów środowiska, piszą apele do premierów i prezydentów. W ostatnim liście z 4 grudnia 2020 r. o. Puchała pisze do Mateusza Morawieckiego: „Panie Premierze, →

→ rzutem na taśmę, jeszcze w Roku Jubileuszowym czekamy na odważną decyzję, która przywróci prawo własności i odda sprawiedliwość Świętemu Krzyżowi”.

Czy zakonnicy mają prawa do tych budynków, nawet pomijając prawo do decydowania o ochronie przyrody? Do początku XIX w. na Świętym Krzyżu mieszkali jego pierwotni gospodarze, czyli benedyktyni. W 1819 r. na podstawie bulli papieża Piusa VII i dekretu arcybiskupa Franciszka Malczewskiego klasztor został skasowany. Kościół zgodził się wtedy pozbyć części klasztorów na rzecz Królestwa Polskiego, by z ich majątku finansować swoją działalność. Później na Świętym Krzyżu była placówka dla pokutujących księży, a po powstaniu styczniowym – więzienie.

Dzisiaj oblaci chętniej nazywają kasatę kradzieżą niż sprzedażą i mają w tym trochę racji. Nie zmienia to jednak faktu, że w 1936 r. przejęli opuszczony klasztor, którego część przyznano im przez zasiedzenie. Drugą po wojnie zajęło najpierw PTTK, a potem władze Parku. W 2002 r. sytuację prawną Świętego Krzyża wyjaśniała Komisja Majątkowa złożona z przedstawicieli Kościoła i MSWiA. Oddaliła wtedy roszczenia kurii sandomierskiej. „W omawianym przypadku przekazanie na własność przedmiotowych nieruchomości byłoby nieuzasadnione”.

Na szczyt wejdzie sto tysięcy

Drugie ważne pytanie: jak oblaci planują wykorzystać nowy teren i czy zagraża to przyrodzie? Można jedynie spekulować, bo brak jednoznacznych deklaracji, choć superior wspominał o stworzeniu Domu Pielgrzyma (hotelu). Jak to stanowi zagrożenie?

– Już teraz droga potrafi być całkowicie zastawiona samochodami, a okolice terenu klasztornego zamieniają się w śmietnik – mówi Łukasz Misiuna. – Sanktuarium już w 2018 r. odwiedziło 340 tys. turystów. Teoretycznie samochodem można wjechać tylko w niedzielę od 11.30 i zjechać do 14.00, w praktyce mało kto tego przestrzega. Ja jestem tam w piątek rano, a i tak jest kilkadziesiąt aut. Wokół klasztoru stoją budki z jedzeniem i stragany z chińszczyzną. W nocy wieża bazyliki ma piękną iluminację, więc do hałasu dochodzi zanieczyszczenie światłem.

Za klasztorem na skraju błoni widzę wielką hałdę gruzu, którą według Misiuny wojewódzki konserwator zabyt-



Piotr Szafraniec, były dyrektor Świętokrzyskiego Parku Narodowego, i Łukasz Misiuna, prezes Stowarzyszenia MOST, 16 lipca 2021 r.

ków kazał usunąć ponad rok temu. Ale największym problemem są organizowane na Świętym Krzyżu imprezy. Nie tylko głośne i tłumne odpusty, ale też koncerty, a nawet zlot... trabantów. Aż do 2019 r. (później nie pozwoliła pandemia) na Łyscu odbywały się też zloty motocyklistów. W ostatnim wzięło udział 3500 osób. We wrześniu 2020 r. na Świętym Krzyżu zaplanowano akcję „Polska pod krzyżem” – w modlitewnym czuwaniu miało wziąć udział nawet 120 tys. osób. Ostatecznie je odwołano (głównie ze względu na pandemię).

Organizatorami takich wydarzeń prawie nigdy nie są sami oblaci. Co więcej – ich wypowiedzi brzmią czasem tak, jakby to obce siły bez pozwolenia najechały ich klasztor. O zlocie motocyklowym: „Organizatorzy (...) nie zapanowali nad skalą przedsięwzięcia”. O perspektywie 100-tysięcznego tłumu w parku narodowym: „szczegółowe oczekiwania i plany Fundacji [fundacja Solo Dios Basta, organizatorzy m.in. „Różańca do granic” – red.] co do przebiegu uroczystości oraz liczebności udziału wiernych zostały zakomunikowane przełożonym oblacom formalnie dopiero 10 lipca 2020”.

Tymczasem już 4 lipca o. Dariusz Malajka, ówczesny rektor bazyliki, w wywiadzie dla Radia Kielce cieszył się: „Zapisy są niezbędne z uwagi na spodziewaną dużą liczbę pielgrzymów i ograniczone miejsce na górze. Na szczyt wejdzie ok. 100 tys. osób”. A zlot motocyklowy zakończył się tym, że o. Malajka zmówił modlitwę w intencji kierowców, wsiadł na motor i przejechał przez plac oraz drogę przez Puszczę Jodłową, kropiąc wodą święconą motocykle i ich właścicieli.

Park Narodowy Gubałówki

Stowarzyszenie MOST, inne organizacje przyrodnicze i naukowe wyczerpały już wszystkie możliwości. Została tylko skarga, którą złożył Łukasz Misiuna, a Komisja Europejska 16 lipca 2021 r. przyjęła. ŚPN najprawdopodobniej straci 1,3 ha pomimo jawnej sprzeczności tej decyzji z prawem. Jak to możliwe?

By obejść zapis o „bezwrotniej utracie” warunkujący zmniejszenie Parku, Ministerstwo postanowiło Park... powiększyć. Nowe rozporządzenie wyłącza fragment przy klasztorze, dokłada za to 62,5 ha pod Grzegorzowicami. To kawałek lasu otoczony polami, lasu, jakich w Polsce tysiące, oddalony od reszty ŚPN o 6 km. W inwentaryzacji przyrodniczej tego obszaru wymienia się tylko dwa chronione gatunki roślin i dwa – zwierząt (bóbr i wydra). Nie ma żadnych argumentów, by tworzyć tam choćby rezerwat, a co dopiero park narodowy. Żadnych – poza dobrem oblatów.

Wiceministra środowiska Małgorzata Golińska w odpowiedzi na interpelację pisze: „W niniejszym przypadku, co wskazano powyżej, nie dojdzie do zmniejszenia obszaru Parku. Tym samym przywołany przepis [o utracie wartości – red.] nie ma zastosowania w przypadku niniejszego rozporządzenia”.

Oczywiście według prawników, przyrodników, a także logiki przepis ten ma zastosowanie, a powiększenie i pomniejszenie winny być rozpatrywane osobno. IOP PAN w swoim stanowisku pisze, że interpretacja ustawy, zgodnie z którą zmniejszenie obszaru Parku można „zrekompensować” jego zwiększeniem w innym miejscu, jest „niewątpliwie sprzeczna z intencją ustawodawcy”. Zgodna jest za to z żądaniami zakonników i politycznym interesem.

Mamy zatem państwo, które wbrew organizacjom i naukowcom nagina własne prawo, by pozbyć się własnego mienia. Mienia niesamowicie cennego, bo parki narodowe to u nas rzadkość. Ostatni, Ujście Warty, powstał już ponad 20 lat temu. Teraz może zacznie nam ich ubywać. Przybędzie nam za to niebezpieczny precedens – kto zagwarantuje, że na podobnej zasadzie nie wytniemy kiedyś z Tatrzańskiego Parku Narodowego Morskiego Oka, w zamian dokładając część, dajmy na to, Butorowego Wierchu? Albo Gubałówki?

DOROTA

Masłowska:

Slow life



LATO MA W SOBIE ZAWSZE JAKIŚ ZACZYN horroru. Nim błysnie pierwsza siekiera, w przesłonecznionych ogrodach, lodach rozwalonych na asfalcie i wyjaranych na żółto trawnikach migocą nieznacznie drobinki grozy. Bzyczą

muchy wokół obciętych uszu dziewcząt. A może to epigenetyczne; może coś w komórkach wie, że lato było też piękne tamtego roku. Ale tegoroczny lipiec jest pod tym względem inny. Jakiś gorszy. Parzące wyziewy betonu, dziwny bezruch, szklący się obraz, słabnięcie i narastanie jednocześnie. A potem nagle huk, harmider, hałas! Salwy wody. Wrażenie akwarium jadącego na pace ciężarówki. Autobusy płynące ulicami. Niemal z dnia na dzień katastrofa przestała być figurą neurotycznej wyobraźni. Nadeszła i po prostu jest. Obiektywizuje się i neutralizuje. Ma już swój banał i swoją nudę, a lada chwila będzie mieć modę, rynek, gadzety. Trzeba w niej jakoś żyć. Spać, chodzić i jeść.

Idę więc po jedzenie. Choć zbiera się na burzę, myślę, że jeszcze zdążę. Stragan, mimo późnej pory i zaciągającego się w przyspieszonym tempie nieba, ciągle obfituje. Emanuje, osypuje się bogactwem. Chora ziemia rodzi wciąż hojnie. Kopce, stosy liści, bulw, owoców, korzeni. Ścięte głowy kapust i kalafiorów. Piramidy tych bezkich łbów. W katastrofie obfitość, dobrobyt; w klęsce urodzaj. Niebo pomrukuje ze wstępną, ostrzegawczą irytacją. Jest dziwnie ciemno, jakoś żółtawo, posępnie. W nienaturalnym świetle ulice zawsze wyglądają jak scenografia spektaklu.

Jego gwiazda, kobieta przede mną kupuje długo, z namysłem. Z namysłem albo właśnie bez namysłu, nigdy nie wiesz. W tym rosnącym napięciu ogarnia ją jakaś właśnie przekorna niespieszność. Zna sprzedawcę, zwraca się doń po imieniu, właściwie jest tu u siebie. Wybiera, przebiera, sprawdza, obiera. Domaga się dzielenia, zmniejszania i zwiększania standardowych warzyw, personalizowania pod siebie kalafiorów i woreczków z bobem. Z kupowania warzyw robi etiudę „Moja kolacja i ja”. Głównie „i ja”. W wiotkim nadgarstku jednej ręki, który jest tak wiotki, że trzyma go drugą ręką, miętoli, niby bilecik balowy, rasowy portfelik. W miejscu husek karpia tkwią w nim karty kre-

dytowe i lojalnościowe. W miejscu zdjęć krewnych – karty na jogę i siłownię.

Jak wiadomo, nie ma teatru bez publiczności. W tym wypadku ja – z siatką nerwowo zmiętą w dłoni jak program przedstawienia, trochę widz, zakładnik, a trochę techniczny, bo czarne chmury wiszą już tak nisko, że zaraz będę musiała wyciągnąć ręce i je nad nami trzymać. „I jeszcze ogórki – mówi kobieta do sprzedawcy. – Bo wiesz, jak to u mnie jest... Co roku to samo. Nastawiam, a później zapominam. Ile soli? Nigdy nie wiem. Trudno, sprawdzę w internecie. Chyba że pani będzie chciała te ogórki?” – zwraca się nagle w przyptywie empatii do mnie. Może czuje napieranie mojego ciała astralnego. A może znudziła się występem solo. Chce widza aktywnego, zaangażowanego. Zróbmy te zakupy wspólnie, a może nawet razem nastawmy małosolne i założmy kompost.

Coś tam jej odgburzam. Bo na mój mózg schodzą się coraz gwałtowniejsze alerty RCB. Czy zabezpieczyłam rzeczy, które może porwać wiatr? Ona wygłasza jakieś apologię bobu, a ja myślę tylko (głosem Klocucha): „No weź już, babo”. Może sobie wyobraża, że poszła na targ w Prowansji i buszuje w lawendzie i ostrygach, nie licząc godzin i lat. Ale to tylko padół mazowiecki, koper, ziemniaki, czwartek. Wiatr targa już parasolami, przewraca kartony. Zwiędłe liście botwinki zaczynają ocieślać, bez przekonania, łopotać. Piramidy kapust – drzeć w posadach, obsuwać się, zagrożenie lawinowe rośnie. Okna w budynkach trzaskają, tęczowe flagi na balkonach dramatycznie się wzdymają i aktywnie promują homoseksualizm.

Na tym straganie widziałam już różne rzeczy. Prowadzą go trzech mężczyźni i prawie zawsze mają tam kolejkę bab. Nierzadko się zdarzy troublemakerka. Z kupowania kapusty zrobi zaginiony film Bergmana. „Taka mała?” – biadoli. „Taka duża?” – szepcze gorzko, gardłowo. „To może oberwać pani liście?”. „Nie, bo właśnie te zewnętrzne najlepsze”. „To zostawić?”. „Nie, bo takie jakieś duże, za duże”. Po pięciu minutach targów i negocjacji z krzywą miną przyjmuje ufryzowaną według własnego projektu kapustę. I wtedy pada coś w rodzaju: „Można płacić w euro? Nie?! A czekiem?”. Kobieta w szoku. Szczerze mówiąc, zaraz się popłaczę. Głowa ląduje z powrotem na piramidzie, smutna, penitencjarnie wygolona.

Tymczasem biorę swoje pomidory i pędzę do domu. Mój katastroficzny pośpiech nie udziela się nikomu. Jest spokojnie, spokojnie jak na wojnie. Matki bujają bobasy i pokazują im przelatujące klimatyzatory. Porwane parasole pędzą jak dmuchawce. Bezdomny pan rozsiada się na ławce i otwiera sobie piwko, jak to przed meczem. Ktoś przypina rower, ktoś je łoda. Można się przyzwyczaić. ©

OGŁOSZENIE WŁASNE WYDAWCY



FUNDACJA
TYGODNIKA
POWSZECHNEGO

Możesz regularnie wspierać finansowo Fundację Tygodnika Powszechnego nie wydając ani grosza. Jak to zrobić? Szczegóły pod adresem powszech.net/wspieram

faniMani.pl



WIARA

OGON KOŚCIOŁA I JEGO GŁOWA

Lekarstwem na obecny kryzys Kościoła może być jego
demokratyzacja. Bo co dotyczy wszystkich,
winno przez wszystkich być określane.

JÓZEF MAJEWSKI

Abp Stanisław Gądecki podczas modlitw o odbudowę Pomnika Wdzięczności na placu Adama Mickiewicza w Poznaniu, 2015 r.



JAKUB WALCZAK / REPORTER

O TYM, ŻE KOŚCIÓŁ SKŁADA SIĘ Z „GŁOWY”, czyli biskupów (przełożonych), i „ogona”, świeckich (podwładnych), oraz że powołaniem „głowy” jest rządzić „ogonem”, a nie słuchać „ogona”, dowiedziałem się jeszcze w ubiegłym stuleciu. To wtedy po raz pierwszy zapoznałem się ze starożytnym dokumentem pt. „Konstytucje apostolskie”, które zresztą „nigdy nie zostały przyjęte przez Kościół ani na Wschodzie, ani na Zachodzie” (ks. Arkadiusz Baron, Henryk Pietras SJ). Dlaczego? Ponieważ dziełko to, powstałe najpewniej w IV w. i będące oryginalną kompilacją innych, okazało się apokryfem (autor podpisał się

jako Piotr Apostoł), i to zalatującym herzej arianizmu. W starożytności uległo jej wielu biskupów, czego nie można powiedzieć o świeckich.

Wobec takiej historii „Konstytucji apostolskich” oraz doktryny Soboru Watykańskiego II i posoborowych papieży o Kościele, szczególnie o świeckich i biskupach, nigdy mi nie przyszło do głowy, że w XXI wieku nauka starożytnego apokryfu o „ogonie” i „głowie” zostanie wskrzeszona. Ba, uznana za klucz do rozumienia powołania biskupa i roli świeckich w Kościele. A została wskrzeszona i za taką uznana w Polsce, i to w czasach, kiedy biskupi skandalicznie nie zajmują

się tragedią cierpienia dzieci z powodu zbrodni pedofilskich niektórych księży.

Pan i niewolnik

Głośno o „ogonie” i „głowie” w Kościele zrobiło się pod koniec marca, po przemówieniu abp. Stanisława Gądeckiego, przewodniczącego Konferencji Episkopatu Polski, na ingresie nowego biskupa gdańskiego. Hierarcha, występując w imieniu Komisji Episkopatu Polski, zacytował wówczas ów arianizujący apokryf, co zresztą robił wcześniej także na kilku innych ingresach: „W dzisiejszym świecie może nam się wydawać nie do przyjęcia to, czego uczyły kiedyś »Konstytucje apostolskie«, które radziły biskupowi: »Nie wypada byś ty, biskup, który jesteś głową, na czyjaś zgubę słuchać ogona, czyli zbuntowanego człowieka świeckiego, bo ty masz słuchać tylko Boga. Winieneś rządzić podwładnymi, a nie podlegać ich władzy. Wszak zgodnie z porządkiem urodzenia syn nie rządzi ojcem (...), ani uczeń nauczycielem, żołnierz królem, ani świecki biskupem«”.

Charakterystyczne, że jeszcze w 2019 r., na ingresie bp. Szymona Stulkowskiego (Poznań), jak też w latach 2017 (ingres abp. Marka Jędraszewskiego, Kraków), 2009 (bp. Henryka Tomasika, Radom) czy 2007 (bp. Zdzisława Fortuniaka, Poznań), ów cytat był nieco dłuższy. W Gdańsku zniknęło z niego przyrównanie świeckich do niewolników, a biskupów do panów: ci ostatni mają rządzić laikatem, a nie na odwrót: „Wszak (...) wedle zasad władzy niewolnik nie rządzi swym panem”.

Swoją drogą można przypuszczać, że gdyby w naszych czasach konsekwentnie trzymać się „Konstytucji apostolskich”, to przewodniczący KEP być może nie zostałby biskupem. Dziełko to przed kandydatem na ten urząd stawiało srogie wymagania, w tym i takie: „należy ustanowić pasterzem biskupa, człowieka (...) co najmniej 50-letniego, bo taki w pewnym stopniu wyzwolił się z młodzieńczej nierozwagi i wolny jest od ludzkich zarzutów”. Tymczasem przewodniczący KEP został biskupem w wieku zaledwie 43 lat. Podobne problemy – dodajmy – spotkałyby sporą rzeszę polskich biskupów, a nawet papieża znad Wisły: ➔

→ Karol Wojtyła przyjął święcenia biskupie, dochodząc do 38. roku życia.

Wśród innych srogich wymagań, jakie apokryf stawiał przed kandydatami, znalazło się i takie, którego abp Gądecki na pewno nie spełnił, a które Kościół wręcz porzucił, nie bacząc na to, że zalecane jest przez samo Pismo Święte: „»Taki powinien być biskup: mąż jednej żony« (1 Tm 3, 2), dla której jest pierwszym mężem, »dobrze zarządzający[m] własnym domem« (1 Tm 3, 4). Gdy ma przyjąć święcenia i być ustanowiony na stolicy biskupiej, należy sprawdzić, czy (...) ma lub miał żonę czcigodną i wierzącą, czy pobożnie wychował dzieci i kształcił je stosując napominanie Pańskie». Chyba nie trzeba dodawać, że żona biskupa, jak też jego dzieci, należeli do kościelnego „ogona”.

Powoływanie się na apokryficzne „Konstytucje”, by dzielić Kościół na „ogon” i „głowę”, a tym bardziej ahistoryczne traktowanie przesłania tego dziełka jako kluczowego dla sprawowania urzędu biskupa w naszych czasach, nie przynosi chwały. W istocie też źle służy Kościołowi, bo oznacza odwrót od eklezjologii Jana Pawła II czy Franciszka, szczególnie zaś teologii laikatu obu tych papieży. Obecny papież w adhortacji „Evangelii gaudium”, w której nie znajdziemy śladu „Konstytucji apostoelskich”, przypomniawszy, zdawałoby się, rzeczy już oczywiste: „Świeccy stanowią olbrzymią większość Ludu Bożego. W ich służbie pozostaje mniejszość: wyświęceni szafarze. Wzrosła świadomość tożsamości oraz misji świeckiego w Kościele.

Dysponujemy laikatem, choć nie wystarczającym, z zakorzenionym poczuciem wspólnotowym i wielką wiernością zaangażowaniu w miłość, katechezę, celebrowanie wiary. Ale uświadomienie sobie tej odpowiedzialności laikatu, wpływającej z Chrztu i Bierzmowania, nie przejawia się w ten sam sposób we wszystkich stronach. W niektórych wypadkach ponieważ nie zostali uformowani, aby podjąć ważną odpowiedzialność, w innych przypadkach nie znajdując miejsca w swoich Kościołach partykularnych, by się wypowiedzieć i działać, z powodu nadmiernego klerykalizmu, pozostawiającego ich na marginesie decyzji” (nr 102).

Ewangelia dziecka

Na ingresach poza Gdańskiem przewodniczący KEP cytował także „Re-

Abp Gądecki lubi cytować
starożytny apokryf,
według którego nie wypada,
by biskup, który jest głową,
słuchał ogona,
**czyli zbuntowanego
człowieka świeckiego.**

gułę pasterską” biskupa i papieża Grzegorza Wielkiego (zm. 604): „Przełożeni [biskupi, przebiterzy] niech będą tacy, żeby ich podwładni nie wstydzieli się wyznać im swoje ukryte grzechy. I ci mali, gdy znoszą napływ pokus, żeby uciekali się do serca pasterza jak do serca matki, a gdy przewidują, że nacierająca pokusa ich zabrudzi, niech obmyje ich jego nauka pełna pociechy i łzy modlitwy” (2, 5). To znamienne i ponownie dające do myślenia, że abp Gądecki mówił wyłącznie o grzechach i pokusach podwładnych, zatem świeckich, nie wspominając o grzechach przebiterów i samych biskupów. A dzieje się to w czasach, gdy Kościołem wstrząsają grzechy nie świeckich, ale grupy przełożonych, nade wszystko zbrodni molestowania seksualnego i zamiatania jej pod kościelne dywany.

Jak się zdaje, do słów o pedofilii (części) duchownych przyzwyczailiśmy się już do tego stopnia, że często umyka naszej uwadze istota tego zła: cierpienie dzieci, Jezusowych „najmniejszych”, w Kościele i z powodu Kościoła. Na temat grzechów kościelnych przewodniczących i cierpienia dzieci z powodu Kościoła zabrakło miejsca w ingresowych przemówieniach przewodniczącego KEP. Tymczasem temat dzieci należy do podstawowych w nauczaniu Jezusa z Nazaretu. Przypomnijmy choćby Jego słowa o dzieciach i Królestwie Bożym z Ewangelii Mateusza: „Potem przyniesiono Mu dzieci, aby włożył na nie ręce i pomodlił się; lecz uczniowie zganili ich. Jezus natomiast powiedział: »Zostawcie dzieci i nie zabraniajcie im do Mnie przychodzić, ponieważ takich jest Królestwo Niebios. (...) I włożył na nie ręce«” (Mt 19, 13-15). I jeszcze słynne, jakże mocne w wymowie słowa z tej samej Ewangelii: „W tym czasie uczniowie podeszli do Jezusa i zapytali: »Kto zatem jest większy w Kró-

lestwie Niebios?«. I przywołał dziecko, postawił je pośród nich i powiedział: »Zapewniam was, że jeśli się nie nawrócicie i nie staniecie jak dzieci, na pewno nie wejdzicie do Królestwa Niebios. Kto więc unieży się jak to dziecko, ten jest większy w Królestwie Niebios. I kto przyjmie jedno takie dziecko w moje imię, mnie przyjmuje. Kto natomiast zrazi jednego z tych małych, wierzących we mnie, korzystniej byłoby dla niego, aby mu u szyi zawieszono ośli kamień młyński i utopiono w głębi morza. Strzeżcie się, żebyście nie gardzili żadnym z tych małych; albowiem powiadam wam: aniołowie ich w niebie wpatrują się zawsze w oblicze Ojca mego, który jest w niebie«” (Mt 18, 1-10).

W tym kontekście znacząco wyglądają terminologiczne statystyki ewangelijne dotyczące dzieci. W czterech Ewangeliach słowo „dziecko/dzieci” pojawia się jakieś 86 razy, przy czym aż 82 razy w Ewangeliach synoptyków (Marek, Mateusz, Łukasz), zdecydowanie starszych od Ewangelii Jana, gdzie użyte jest tylko 4 razy. Być może dałoby się z tych dysproporcji wyprowadzić wnioski, że temat dziecka zajmował poczesne miejsce w nauczaniu Jezusa, ważniejsze nawet niż temat miłości. Słowa „miłość/ miłować” w Ewangeliach pojawiają się mniej więcej 69 razy: u synoptyków 27 razy, z kolei u Jana – aż 47. Jakby z czasem, im dalej od śmierci i zmartwychwstania Chrystusa, Jego teologia dzieciństwa w Kościele apostoelskim ustępowała przed teologią miłości.

Po prawdzie obie te teologie Jezus sam mocno związał ze sobą w mowie o sędzie ostatecznym, w której padają kolejne mocne słowa o „najmniejszych”: „Zaprawdę, powiadam wam: wszystko, co uczyniliście jednemu z tych braci/siostr moich najmniejszych, mnieście uczynili. (...) Wszystko, czego nie uczyniliście jednemu z tych najmniejszych, tegoście i mnie nie uczynili. I pójdą ci na mękę wieczną, sprawiedliwi zaś do życia wiecznego” (Mt 25, 40 i 45-46).

Stosunek do „najmniejszych siostr i braci”, do dzieci, i postawa „jak dziecko” okazują się decydujące i rozstrzygające dla sprawy Królestwa Bożego, a zatem także dla Kościoła, który ma być „jak Królestwo Boże”. Jan Paweł II w „Liście do dzieci” w 1994 r. napisał: „Jak ważne jest dziecko w oczach Pana Jezusa! Można by wręcz powiedzieć, że Ewangelia jest

głęboko przeniknięta prawdą o dziecku. Można by ją nawet w całości odczytywać jako Ewangelię dziecka. (...) Jest coś takiego w dziecku, co winno się odnaleźć we wszystkich ludziach, jeśli mają wejść do królestwa niebieskiego. Niebo jest dla tych, którzy są tak prości jak dzieci, tak pełni zawierzenia jak one, tak pełni dobroci i czystości. Tylko tacy mogą odnaleźć w Bogu swojego Ojca i stać się za sprawą Jezusa również dziećmi Bożymi”.

Zbrodnia pedofilii oraz wołające o pomoc do nieba biskupie traktowanie cierpienia dzieci to dwa rodzaje zła, które niejako w czystej postaci sprzeniewierają się Jezusowej „Ewangelii dziecka”.

Feudalizm i demokracja

Jeśli przyjąć, że cierpienie dzieci od zawsze było podstawową racją przeciwko istnieniu Boga, przede wszystkim zaś – Boga miłosiernego, to cierpienie dzieci z powodu Kościoła okazuje się „auto-kościelnym” argumentem za nieistnieniem Boga będącego miłością (por. 1 J 4, 8). Przypuszczam, że gdyby Fiodor Dostojewski był w stanie wyobrazić sobie cierpienie dzieci z powodu pedofilii duchownych, to niewątpliwie w swoich „Braciach Karamazow” ową straszną listę dziecięcych udręk i cierpień, źródła buntu Iwana Karamazowa przeciwko Bogu, zacząłby lub zwięździł opowieścią o tym właśnie cierpieniu. W pedofilii urzędowych przedstawicieli Kościoła i w niepoważnym traktowaniu przez biskupów cierpienia dzieci przejawia się anty-Ewangelia, mamy do czynienia z czymś w rodzaju anty-Kościoła. W cierpieniu dzieci z powodu pedofilii kryzys Kościoła sięgnął dna.

Właściwie nic w Kościele w Polsce nie wskazuje dzisiaj na to, aby przełożeni, biskupi i prezbiterzy byli w stanie sami poradzić sobie z obecnym kryzysem Kościoła. Okazuje się, że „głowa” potrzebuje do tego „ogona”, świeckich. Także, a może przede wszystkim z tej prostej racji, że cierpienie dzieci w Kościele ma charakter cierpienia, rzekłbym, świeckiego, bo przecież jest cierpieniem wiernych świeckich – samych dzieci, ich rodziców, matek, ojców, rodzeństwa, babć, dziadków, przyjaciół. Z socjologicznego punktu jest ono przede wszystkim cierpieniem kościelnego „ogona” – i dlatego to właśnie ten „ogon” może mieć, ma i powinien mieć w tej materii coś ważnego do powiedzenia „głowie”.

W pedofilii duchownych i w sposobie traktowania przez biskupów cierpienia dzieci przejawia się anty-Ewangelia, mamy do czynienia z anty-Kościółem.

Jeśli już sięgać po starożytne teksty i szukać tam klucza do definiowania posługi biskupa oraz pojmowania roli świeckich, to warto przywrócić w Kościele antyczną zasadę prawną: *quod omnes tangit, ab omnibus judicetur et approbari debet* – „co dotyczy wszystkich, winno przez wszystkich być określane”. Z kolei – za radą Josepha Ratzingera, którą ten sformułował w czasach, kiedy jeszcze nie był biskupem – wypadaloby, abyśmy przyswoili sobie w Kościele coś z pism i zaleceń Cypriana, biskupa Kartaginy (III wiek). Ową świętą mocno akcentował rolę biskupa, podkreślając: *nihil sine episcopo*, czyli „nic bez biskupa”. Ale dodawał pod adresem prezbiterów: *nihil sine consilio vestro*, „nic bez waszej rady”, a do świeckich: *nihil sine consensu plebis*, „nic bez zgody ludu”. Ratzinger, przywołując te trzy formuły Cypriana w książce „Kościół a demokracja”, pisał: „Owa potrojna forma współdziałania w powstawaniu gminy nie jest niczym innym jak klasycznym modelem kościelnej »demokracji«, nie wyrastającej bynajmniej z bezsensownego przekazu modeli [demokracji] obcych Kościołowi, lecz z samej wewnętrznej struktury porządku kościelnego”. Okazuje się, że demokracja nie jest czymś zewnętrznym wobec Kościoła, ale należy do jego wnętrza, co wychodzi coraz wyraźniej na jaw wraz z istnieniem Kościoła w świecie demokratycznym.

Wiele wskazuje na to, że antidotum na obecny, jeden z najgłębszych kryzysów Kościoła w dziejach może być praktyczna jego demokratyzacja. Kościół mógłby wiele zyskać, gdyby poddał swoje struktury i zasady działania uprawnionym formom demokratyzacji. Jeden przykład. W demokracji kluczowe znaczenie przypada niezależnym, wybieralnym strukturom, których zadaniem jest kontrolowanie władzy. Tymczasem biskupia władza

w Kościele pozostaje poza jakąkolwiek kontrolą, urągając normalnie rozumianej zasadzie odpowiedzialności. W istocie każdy ordynariusz jest władcą udzielnym, skupiającym w swoich rękach całą władzę ustawodawczą, sądowniczą i wykonawczą Kościoła lokalnego, na czele którego stoi.

Ponosi odpowiedzialność właściwie wyłącznie przed samym sobą, co znaczy, że w obecnym systemie kościelnym hierarchowie właściwie są bezkarni, chyba że na pociągnięcie ich do odpowiedzialności zdecyduje się papież, z pomocą swej (nierychliwej) kurii rzymskiej. Tyle że, jak dobrze wiemy, ewentualne werdykty i kary dojrzewają do ogłoszenia latami, a jak już zapadają, to mają charakter nie tylko śmiesznie symboliczny, ale i urągający zasadzie sprawiedliwości.

Obecny kryzys Kościoła wyraźnie ujawnił zło takiego systemu i konieczność ustanowienia struktur kontroli władzy kościelnej, z demokratycznie rozumianym udziałem w nich świeckich – do tego struktur niepodlegających władzy biskupów.

W tę właśnie stronę zdaje się kroczyć Kościół w Niemczech, od chwili, kiedy wszedł na „drogę synodalną”. Trudno jednak przypuścić, by jego rozstrzygnięcia, które zdają się radykalne, przełomowe i dla wielu nieakceptowalne, nie wymagały jakiejś formy krytycznej konsultacji i akceptacji przez najważniejszą kościelną instytucję, jaką jest sobór powszechny.

Wyzwanie

Nie mam pewności, czy demokratyzowanie Kościoła okaże się antidotum na obecny kryzys, uważam jednak, że nie skorzystać z takiej szansy samo w sobie byłoby złem – ciężkim grzechem Kościoła. Jeszcze raz Ratzinger: „Na swoistą kościelno-demokratyczną tradycję zwracamy uwagę, uświadamiając sobie, że w czasach kryzysu Kościół zawsze zwracał się przeciw rządzącym, wypuklając rolę ludu i powołując się na wspólnotę wierzących, posługując się zawsze elementem demokratycznym przeciwko feudalnemu. (...) Jest rzeczą jasną, że pod wieloznacznym i wielokrotnie mylnie pojmowanym hasłem »demokratyzacji« kryje się prawdziwy problem i prawdziwe zadanie, (...) epoka demokracji jest dla Kościoła wyzwaniem. Wyzwaniem, któremu musi stawić on czoło w krytyczny i jednocześnie otwarty sposób”. © JÓZEF MAJEWSKI



Zgromadzenie generalne Katolickiej Wspólnoty Kobiet (KFD) w Moguncji, czerwiec 2018 r.

Kobiety przejmują inicjatywę

ZUZANNA FLISOWSKA-CARIDI

Coś, co nad Wisłą uchodziłoby za sensację, za naszą zachodnią granicą staje się oczywistością. Kobiety działające w diecezjalnych komisjach zyskują realny wpływ na Kościół.

MAM NADZIEJĘ, ŻE GŁOS POŁOWY Kościoła stanie się na nowo słyszalny. Chodzi o zmianę strukturalną – tak o świeżo powstałej diecezjalnej komisji kobiet w Moguncji mówi Gisela Franzel z Katholische Frauengemeinschaft Deutschlands (KFD), największego zrzeszenia kobiet katolickich w Niemczech, które liczy blisko 400 tys. członkiń i ma oddziały w 21 diecezjach. To działaczki mogunckie, wraz z diecezjalnymi przedstawicielkami drugiej ogólnoniemieckiej organizacji katoli-

czek, KDFB, stoją za inicjatywą powołania komisji. Jak głosi statut, jej zadanie „polega na refleksji i opracowaniu kroków mających na celu zwiększenie udziału kobiet i równości płci na wszystkich poziomach (parafia, dekanat, region, diecezja)”.

Formalnie i nie

W ostatnich latach postulat równouprawnienia w oficjalnym dyskursie kościelnym w Niemczech stał się czymś oczywistym. Na porządku dziennym

są konferencje i spotkania. Kobiety pracujące dla Kościoła rzeczywiście są widzialne i słyszalne w tej debacie, a ich postulaty publicznie wspiera wielu biskupów. Te teoretyczne rozważania rozbijają się jednak o struktury i przepisy kościelne, które nie zależą jedynie od lokalnych decyzji, ale wymagająby poważniejszej zmiany w sprawowaniu władzy w Kościele powszechnym.

Tymczasem na fali nowego zainteresowania problemem równości i gorącej debaty na temat reform w Kościele niemieckim, kobiety z Moguncji sięgnęły po znane już z kilku innych diecezji narzędzie wewnątrzsystemowego, stopniowego zapewniania głosu kobietom w procesach kształtujących przyszłość lokalnej wspólnoty. Diecezjalne komisje kobiet powoływane są przez biskupa do roli doradczej na kilkuletnią kadencję. Zazwyczaj składają się z kilku do kilkunastu osób, głównie pochodzących z dużych zrzeszeń jak KFD i KDFB lub z grona ekspertek i pracowników duszpasterskich. Komisje te zazwyczaj odzwierciedlają aktywność grup świeckich działających na terenie diecezji. To od nich też najczę-

ściej wychodzi impuls do powstania komisji. Tak było w przypadku pierwszej z nich, powołanej przez biskupa Münsteru w 2000 r. jako odpowiedź na postulat forum diecezjalnego obradującego w latach 1994-99.

Te oddolność i regionalność komisji sprawiają, że każda z nich jest trochę inaczej zorganizowana i stawia sobie różne cele, odpowiadając na potrzeby w diecezji. Komisje podlegające biskupom jako ich oficjalne gremia doradcze, oprócz Münsteru i Moguncji, działają w diecezjach Bamberg, Pasawa, Monachium-Fryzjyngi oraz Rottenburg-Stuttgart. Spotykają się zazwyczaj kilka razy w roku i co najmniej raz w roku przedstawiają wyniki pracy biskupowi.

W Augsburgu i Würzburgu już od połowy lat 90. istnieją fora kobiet złożone z reprezentantek zakonów i zrzesseń świeckich, ale oba pozostają poza ofi-

cialną strukturą diecezji. Również członkinie forum kobiet w Spirze nie są wybierane przez biskupa, ale same tworzą platformę komunikacji między katoliczkami z diecezji, przedstawicielkami zrzesseń i kobietami pracującymi dla Kościoła. Ten typ „komisji” otwarty jest na większą liczbę osób, bardziej nastawiony na integrację między nimi, a rady dla biskupa formułuje z pozycji zupełnie nieformalnych.

Równość

Niezależnie jednak od różnic, zadanie wszystkich zgromadzeń jest takie samo: sprawić, by perspektywa oraz doświadczenie kobiet były słyszalne i brane pod uwagę w pracach diecezji i podejmowanych przez biskupa decyzjach. Stąd poruszają znacznie więcej tematów niż tylko kwestie bezpośrednio systemowe, jak obecność kobiet na stanowiskach i w po-

ślugach w diecezji. Przede wszystkim omawia się potrzeby wynikające bezpośrednio z kobiecego doświadczenia, które dla mężczyzn stanowiących normy w Kościele bywa po prostu niewidzialne. Komisje wymieniają wśród swoich priorytetów inkluzywny język, kształtowanie liturgii i modlitwy wspólnotowej tak, by korespondowały z doświadczeniami współczesnych ludzi, oraz prewencję przemocy wobec kobiet i pomoc jej ofiarom.

Potrzebę istnienia tego typu zgromadzeń podkreśla Barbara Wolf, tymczasowa przewodnicząca komisji mogunczkiej i odpowiedzialna za jej powstanie ze strony diecezji. – Zadawano nam pytanie, czy na pewno potrzebujemy oddzielnej komisji kobiet, czy nie powinna to być po prostu komisja do spraw równości. Kościołowi katolickiemu wciąż jednak jest tak daleko do równouprawnienia, →

Komisje kobiet na świecie

DIECEZJALNE KOMISJE

doradcze złożone z samych kobiet i stanowiące strukturalną odpowiedź na ich wykluczenie z procesów decyzyjnych są w Kościele powszechnym raczej rzadkością. Na ogół konferencje episkopatów ustanawiają specjalne komórki lub przedstawicieli wydelegowanych do kontaktu z kobietami, do ich specyficznego duszpasterstwa, względnie do promocji katolickiej nauki na tematy uznawane przez Kościół za szczególnie związane z płcią: ochrony życia, edukacji i rodziny.

MODEL TEN RÓŻNI SIĘ znacznie od diecezjalnych komisji kobiet zarówno celem, jak i sposobem pracy. W komisjach chodzi o poznanie doświadczenia kobiet oraz ich zdania na ogólnokościelne kwestie, względnie o zauważenie tego, jakie problemy są we wspólnocie ignorowane z powodu dotychczasowego nieuwzględnia-



DIECEZJA MOGUNCJA / MATERIAŁY PRASOWE

Członkinie zgromadzenia generalnego Katolickiej Wspólnoty Kobiet (KFD) w Moguncji, czerwiec 2018 r.

nia tego doświadczenia. W tych komisjach, przynajmniej w założeniu, kobiety stają się aktywnymi podmiotami kształtowania polityki kościelnej. Celem jest zatem zreformowanie wspólnoty, uczynienie jej bardziej inkluzywną i dbającą o równouprawnienie. Natomiast komórki przy episkopacie zazwyczaj swój przekaz kierują na zewnątrz: koordynują duszpasterstwo kobiet, przypominają kobietom o ich powołaniu i duchowości.

WYJĄTEK stanowi komisja przy Konferencji Katolickich Biskupów Indii, która bardzo wyraźnie podejmuje problem nierówności płciowej w Kościele i społeczeństwie. Przygotowany przez nią w 2009 r. dokument „Polityka na rzecz równouprawnienia płci w Kościele indyjskim” jest ewenementem w skali Kościoła powszechnego i wzorem, któremu wciąż brakuje naśladowców.

RÓWNIEŻ komisja przy episkopacie australijskim, utworzo-

na w 2000 r. wraz z Biurem ds. Partycypacji Kobiet, jako cel stawia sobie przedstawianie biskupom perspektywy kobiecej i niwelowanie nierówności między kobietami a mężczyznami w podziale odpowiedzialności za Kościół.

KOMISJE, które podobne są w założeniach tym niemieckim, rozsiadają się po całym świecie. Najbardziej zbliżona sytuacja jest w Austrii, gdzie komisje ma obecnie pięć (na dziewięć) diecezji (najnowsza powstała rok temu). Dodatkowo, już od ponad 20 lat istniejące tam komisje tworzą wspólną platformę komunikacji, w ramach której dyskutowane są wybrane zagadnienia i wydawane dokumenty.

KOMISJE w San Cristóbal de Las Casas (Meksyk), Canberze (Australia), Syracuse czy Worcesterze (USA) pokazują, że kwestie systemowego włączenia kobiet w kształtowanie diecezji nie są ograniczone do jednego regionu geograficznego. © ZFC

→ że nie możemy jeszcze mówić o równości. Musimy rezerwować specjalną uwagę kobietom, bo są one wciąż jeszcze systematycznie dyskryminowane tylko dlatego, że są kobietami.

Warto pamiętać, że kwestia reprezentacji kobiet, ich sytuacji, problemów i podejścia do wiary nie jest rozwiązywana w ramach diecezji jedynie przez komisje kobiet. W poszczególnych kuriach zatrudniane są referentki do spraw kobiet oraz odpowiedzialne za duszpašterstwo kobiet. Dodatkowo w diecezjach Bamberg i Rottenburg-Stuttgart istnieje oddzielne stanowisko dla pełnomocnika do spraw równouprawnienia, który doradza pracownikom i przełożonym, jest zaangażowany w procedury zatrudnienia i uczestniczy w przygotowaniu analiz dotyczących równości płci. Celem istnienia tego stanowiska jest stworzenie równych szans dla kobiet i mężczyzn we wszystkich służbach i urzędach, które są im dostępne z punktu widzenia teologicznego.

Wola biskupa

Komisja w Moguncji, podobnie jak te w całym kraju, które podlegają diecezji, muszą się oczywiście liczyć z ograniczeniami. Podobnie jak inne inicjatywy zbierające doświadczenie świeckich – czy to jako konsultorów synodów biskupich, czy, by pozostać na gruncie niemieckim, jako członków i ekspertów Drogi Synodalnej – każda z tych komisji ma jedynie funkcje doradcze, nie podejmuje bezpośrednio żadnych decyzji. Komisje te są więc raczej szansą na reformę systemu niż samą zmianą. Wciąż od dobrej woli biskupa zależy to, czy ich obserwacje i rady zostaną w ogóle uwzględnione.

Zwraca na to uwagę Barbara Wolf: – Jesteśmy w kontakcie z kobietami w różnych częściach Niemiec. Często pojawia się takie spostrzeżenie, że komisje kobiet są słyszane na zewnątrz lub ogólnie w diecezji, ale trudno im pełnić tę funkcję doradczą. Jest dużo specjalistycznej wiedzy, dużo zaangażowania, ale w konkretnych konsultacjach, zwłaszcza w ostatnim czasie, koleżanki zauważają: biskup nas zapytał, my odpowiedziałyśmy, a potem i tak nie przyniosło to żadnych skutków.

Jak krucha potrafi być równowaga między opiniami wyrażanymi przez kobiety a rzeczywistą gotowością do słu-

Uczestniczki omawiają postulaty wynikające z kobiecego doświadczenia, które dla mężczyzn stanowiących normy w Kościele bywa niewidzialne.

chania przez biskupa, pokazuje przykład komisji w Berlinie. „Miała ona dać kobietom w archidiecezji głos i doradzić arcybiskupowi, w jaki sposób mogą one odgrywać większą rolę w kształtowaniu życia Kościoła – czytamy we wspólnym oświadczeniu kilku organizacji świeckich z końca kwietnia tego roku. – Według byłej przewodniczącej Theresii Jonczyk komisji brakowało wsparcia ze strony kierownictwa diecezji”. Komisja została rozwiązana w lutym 2020 r. Również od ponad roku nieobsadzone pozostaje stanowisko referentki ds. duszpašterstwa kobiet.

Zaufanie

Dotychczasowa historia powstawania komisji w diecezji mogunckiej pozwala jednak na optymizm. We wrześniu 2018 r. bp Peter Kohlgraf zaproponował zorganizowanie specjalnej inicjatywy konsultacyjnej, którą nazwano Drogą Pastoralną. Ma być narzędziem do wspólnotowej odnowy diecezji i odbywa się pod hasłem „Kościół, który się dzieli” (doświadczeniami, wiarą i odpowiedzialnością). Proces ten ma na celu wspólne znalezienie odpowiedzi na to, jak diecezja w Moguncji powinna odnaleźć się w szybko zmieniającym się świecie, również wobec postępującego odpływu ludzi z Kościoła.

– Zauważyliśmy, że wśród poruszanych zagadnień nie ma tematów dotyczących równouprawnienia i sprawiedliwego podziału odpowiedzialności w Kościele lokalnym. Napisaliśmy więc o tym do biskupa, który poprosił nas o przedstawienie propozycji – wspomina recepcję tej inicjatywy w kregach KFD i KDFB Gisela Franzel. Jednym z postulatów przedstawionych przez katoliczki było właśnie utworzenie komisji kobiet jako ciała

doradczego w diecezji. W następnym kroku biskup Kohlgraf skonsultował ten pomysł z diecezjalnymi ciałami doradczymi, a po ich jednoznacznie pozytywnej opinii rozpoczęto proces tworzenia gremium.

O ile pod względem intencji i generalnego charakteru moguncka komisja wpisuje się w szereg innych działających już od 20 lat w Niemczech, o tyle sposób jej powstania pokazuje, jak wiele zmieniło się w Kościele przez ten czas. Po raz pierwszy kandydatki do komisji nie były uprzednio przedstawione do akceptacji biskupowi, ale miały zostać wybrane przez otwartą konferencję dla kobiet z całej diecezji. Na spotkanie można się było samodzielnie zgłaszać przez internet lub telefonicznie.

– Powoływanie do komisji przez biskupa odbywa się z reguły na podstawie proponowanej listy. Proponuje się osoby z najróżniejszych środowisk, szuka się ich szeroko, a potem trafiają na przedstawianą biskupowi listę – wyjaśnia różnicę Barbara Wolf. W Moguncji było inaczej, zarówno kandydatura, jak i wybór oddany został całkowicie w ręce diecezjalnego spotkania kobiet. – Biskup z góry zdecydował się mianować 12 kobiet, których nie mógł wybrać z wyprzedzeniem. Ustanowiliśmy kryteria, ale były one bardzo szerokie.

Co ciekawe, wśród kryteriów nie było wyznania. Jeśli konferencja zdecydowałaby się powołać do komisji kobietę niewierzącą lub innego wyznania niż katolickie, również z jej radą biskup gotów był się zapoznać. To gest rzeczywistej otwartości na to, co kobiety mają do powiedzenia i przez kogo chcą być reprezentowane.

Zaangażowanie

Z powodu pandemii spotkanie odbyło się online, co paradoksalnie przyczyniło się do sukcesu przedsięwzięcia i jego rzeczywistej demokratyzacji. – Format cyfrowy pozwolił nam dotrzeć do znacznie większej liczby kobiet, niż prawdopodobnie byłoby to możliwe podczas normalnego spotkania w określonym miejscu – wspomina Barbara Wolf. W konferencji wzięło udział 260 kobiet w wieku 21-70 lat.

Zaproszenie na nią zachęcało do przesyłania tematów, które powinny stać się przedmiotem prac komisji: „Jakie są kwestie, którymi należy się zająć, aby kobiety

mogły czuć się pełnoprawnymi członkami Kościoła na wszystkich szczeblach diecezji?”. Można je było zgłaszać przy rejestracji. Na podstawie zgłaszanych propozycji dyskutowano siedem szerokich zakresów tematycznych: przywództwo, język, strukturalna niesprawiedliwość, głoszenie Ewangelii, widoczność kobiet w życiu publicznym, życie kobiet, przeemoc seksualna. Będą one podstawą do rozpoczęcia prac komisji na jesieni, kiedy wybrane zostaną najpilniejsze aspekty.

Duże zaangażowanie kobiet pozytywnie zaskoczyło Barbarę Wolf: – Kiedy w połowie lat 90. pojawiło się pytanie, jak możemy lepiej wyeksponować sprawę kobiet w diecezjach, zaczęły powstawać najwcześniejsze komisje. Poprawiły wówczas widoczność kobiet w Kościele lokalnym, ale potem zainteresowanie tymi kwestiami zaczęło spadać. W tej chwili ono ponownie wraca. Byłam zdumiona ogromnym odzewem, zwłaszcza młodych kobiet. Reakcją, która zdawała się mówić: wreszcie nas wysłuchano. Sam fakt, że zapytaliśmy, co je trapi, wywołał ogromny odzew.

Powstanie diecezjalnej komisji kobiet w Moguncji wydaje się idealnym przykładem wewnątrzkościelnego dialogu, partycypacji świeckich i otwartości biskupa na ich głos: biskup otworzył proces konsultacji, kobiety dostrzegły, że czegoś w nim brakuje, otwarcie poinformowały o swoich spostrzeżeniach biskupa, on je zaprosił do współpracy. Przedstawiona propozycja została skonsultowana z działającą przy biskupie reprezentacją świeckich, a po jej akceptacji – przyjęta. Przed biskupem i komisją stoi teraz trudne zadanie wprowadzania w życie rozwiązań. I uniknięcie frustracji oraz spadku zainteresowania, które przydarzyło się poprzednim komisjom.

Ryzyko frustracji rośnie wraz z napięciem między oczekiwaniami a możliwościami wprowadzania zmian. Barbara Wolf: – Kobiety, które są tu zaangażowane, przynoszą ze sobą ogromną motywację i dzięki temu mają naturalny bufor chroniący je przed frustracją. Jeśli jednak wraz z rozwojem prac nie będzie nadziei na to, że można znaleźć formę zmian, które można realnie odczuć, to te kobiety odejdą. Te kroki nie muszą być wielkie, ale muszą pokazać, że faktycznie mamy jakiś wpływ na system.

© ZUZANNA FLISOWSKA-CARIDI



GRIGORIS SIAMIDIS / REUTERS / FORUM

W klasztorze na górze Athos, Grecja, kwiecień 2018 r.

Sekrety modlitwy serca

JACEK PRUSAK SJ

Gdziekolwiek jesteś, na ulicy, w szkole, w biurze, w pracy, możesz odmawiać: „Panie Jezu Chryste, zmiłuj się nade mną”. Modlitwa jest prosta, to my ją komplikujemy – uczą mnisi z góry Athos.

MÓWI SIĘ O NIEJ „ŚWIĘTA GÓRA”, „Republika Mnichów”, a nawet „Ogród Najświętszej Dziewicy”. Góra Athos jednym fascynuje, innych odstrasza, a dla prawosławia jest swoistą „ziemią świętą”. Wielu wschodnich chrześcijan określa ją mianem „płuc prawosławia”, gdyż stanowi monastyczne centrum bałkańskiego, rosyjskiego i arabskiego chrześcijaństwa. Na Athos żyje obecnie około 2 tysięcy mnichów. Góra jest też skarbnicą modlitwy serca, słynnej kontemplacji hezychastycznej (związanej z wyciszeniem), rozślawionej przez „Opowieści pielgrzyma” oraz „Filokalię”.

Francuski pisarz i filozof Alain Durel kilkakrotnie odwiedził górę Athos. Przez rok był nowicjuszem w klasztorze Stawronikita. W kilku swoich książkach opisał życie codzienne mieszkających tam mnichów, sekret ich modlitwy oraz piękno Świętej Góry, starając się wydobyć na światło dzienne tajniki modlitwy serca. Wydana niedawno

w Polsce książka „Mądrość mnichów z góry Athos” ma jednak inny charakter. Jak podkreśla sam Durel: „w tej książce zamierzam wprowadzić te nauki w życie, zaczynając od zamilknięcia i oddania głosu gigantom kontemplacji”.

Ikony duchowości

Swój cel Durel zrealizował, przedstawiając 392 apoftegmaty (sentencje i przykłady z życia) ośmiu współczesnych mnichów, mieszkańców Athos: Józefa Hezychasty (1898-1959), Efrema z Katunaki (1912-98), Porfiriusza Kawsokaliwity (1906-91), Paisjusza Hagioryty (1924-94), Hieromnicha Izaaka (1937-98), Petroniu (Tanase) z Rumunii (1914-2011) – oraz Bazylego z Iwironu i Tichona Stawronikity, którzy nadal przebywają na Athos. Od pierwszego Durel przyjął chrzest, a drugi towarzyszył mu duchowo przez ponad rok. Z kolei wszystkie sentencje ojca Petroniu zaczerpnął bezpośrednio od autora.



→ Chociaż niektórzy z bohaterów książki spędzili długi czas poza Świętą Górą (Paisjusz na Synaju, Hieromnich w Libanie, a Porfiriusz w Atenach), każdy jest ikoną duchowości atonickiej. Co nie mniej istotne, wszyscy oni przez wiernych prawosławnych są czczeni i uważani za świętych, a dwóch z nich – Porfiriusz oraz Paisjusz – zostało kanonizowanych przez Święty Synod Patriarchatu Konstantynopolańskiego. Pierwszy 27 listopada 2013 r., drugi – 13 stycznia 2015 r. Dwóch z nich było mnichami żyjącymi we wspólnotach (Petroniu i Tichon), jeden mieszkał w samym sercu Aten (Porfiriusz), a pozostałych pięciu to eremici. Poza Rumunem Petroniu i Libańczykiem Hieromnichem wszyscy to Grecy.

Przepustka

Ponieważ książka Durela nie jest traktatem czy podręcznikiem, tylko swobodnym „duchowym testamentem”, każdy odnajdzie w niej coś, co dla siebie uzna za cenne. Myślę jednak, że dla chrześcijan innych denominacji niż prawosławie książka Durela jest nie tylko przepustką do miejsca dla większości z nich niedostępnego, ale równocześnie praktycznym komentarzem do Modlitwy Jezusowej, czyli medytacyjnego powtarzania formuły modlitewnej zawierającej imię Chrystusa.

Katolikowi nie jest łatwo dostać się na Athos. Nie tylko bowiem potrzebuje zaproszenia, by otrzymać wizę na kilkudniowy pobyt, ale musi liczyć się z tym, że liczba przebywających tam jednocze-

śnie katolików i wyznawców innych religii nie może być większa niż dzieść osób. Poza tym kobietom nie wolno złać „klauzury” góry bez względu na wspólnotę, w której przyjęły chrzest.

Ważnym „dodatkiem” do prezentowanej książki jest więc wprowadzający esej o. Tomasza Grabowskiego OP („Wspomnienia z góry Athos”), który, dzieląc się wrażeniami ze swojego dwukrotnego pobytu wśród miejscowych mnichów, rozwiewa pewne, nie tylko katolickie, stereotypy związane z praktyką Modlitwy Jezusowej, np. że chodzi w niej o wzrost duchowy, naśladowanie mistyków lub uprawianie „chrześcijańskiej mantry”.

Bez presji

Warto więc pamiętać o radzie i przestrodze świętego ojca Porfiriusza: „Modlitwa nie ma się stać odrabianiem pańszczyzny. Wielu pochorowało się od modlenia, ponieważ robili to pod presją. Nie uciekaj się również do jakichś sztucznych zabiegów. Zupełnie nie potrzeba ani stołeczka, ani pochylecia głowy, ani też zamknięcia oczu. Wiele osób radzi: »Usiądź na małym taborecie, opuść głowę, postaraj się skupić...«. Ale to nie! Nie potrzeba żadnej specjalnej koncentracji, żeby recytować modlitwę. Nie jest też potrzebny żaden wysiłek, kiedy mamy Bożą miłość. Gdziekolwiek jesteś – na stołeczku, na krześle, w samochodzie, wszędzie, na ulicy, w szkole, w biurze, w pracy – możesz odmawiać modlitwę: »Panie Jezu Chryste, zmiłuj się nademną«, zupełnie spokojnie, bez presji,

bez przymuszania się. Nie przywiązuj się do jakiegos miejsca. Wszystko jest w miłości do Chrystusa” (apoftegmat 141).

Jak widać, modlitwa jest prosta – to my ją komplikujemy.

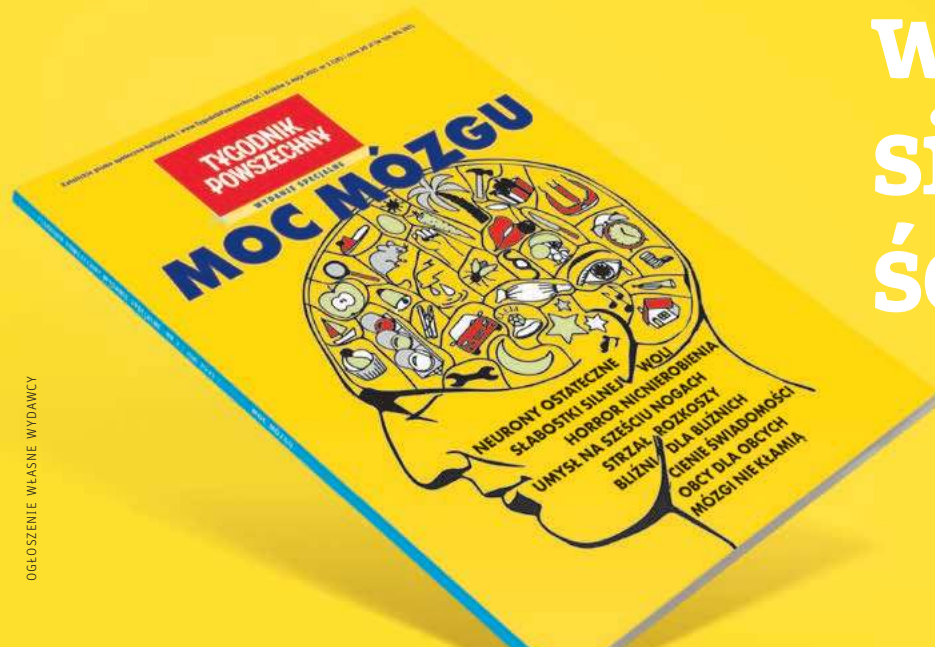
Pragnienie

Jest w tej książce także apel do katolików, którego nie można zbyć. „Dla czego współcześni ludzie zwracają się raczej w stronę buddyzmu lub sekt niż ku chrześcijaństwu?” – pyta ojciec Petroniu i stawia diagnozę. „Dzieje się tak z powodu wielkiej pustki duchowej, za którą po części odpowiedzialny jest Kościół łaciński. Pod wpływem pesymizmu augustyńskiego zniekształcił on przekaz Ewangelii w kierunku jakiegos odciesnionego moralizmu i jałowego intelektualizmu. Katolicyzm zagubił pojęcia ascezy i odpowiedzialności za zbawienie. To nie sama dusza musi zostać zbawiona, lecz cały człowiek, ciało i dusza (...). Istnieje na Zachodzie wielkie pragnienie Boga i widzimy w katolicyzmie pewien ruch zwrotny ku prawosławiu, na przykład ponowne odkrycie ikony, odnowę liturgiczną w niektórych wspólnotach czy też odkrycie Modlitwy Jezusowej” (apoftegmat 311). ©© JACEK PRUSAK SJ



Alain Durel
**MĄDROŚĆ MNICHÓW
Z GÓRY ATHOS**

przeł. Maria Dedio,
W Drodze, Poznań 2021



w głowie się nie mie- ści!

TYGODNIK
POWSZECHNY

„Tygodnik Powszechny. Wydanie Specjalne”
MOC MÓZGU – ostatnie dni w sprzedaży
– szukaj w kioskach i salonach prasowych
lub zamów na:
zamowienia@TygodnikPowszechny.pl

ZUZANNA

Radzik:

Rzeczy, rzeczy, rzeczy



RACZEJ GROMADZĘ. NIE BARDZO, ALE JEDNAK. Nie żebym miała jakieś poważne kolekcje. W końcu jako dziecko niedoboru lat 90. nawet karteczek na poważnie nie zbierałam, bo wstyd byłoby prosić rodziców o kasę na coś tak błędnego.

W poszukiwaniu bardziej ekonomicznego zbieraczego doświadczenia poszłam w kamienie. Te z wakacji, które można mieć za darmo. Wystarczy dostrzec w nich coś szczególnego, a stają się bezcenne. Wyłowione z jeziora, wykopane, znalezione na brzegu morza. Z odludnej plaży można też przywlec czarną boję i kawał czerwonej liny z supłem. Największe skarby. Ciekawe, czy tata potyka się jeszcze o nie w garażu.

Byłam przekonana, że znajduję cuda i skarby. Choć pewnie trochę kompensowałam brak okazałej kolekcji bardziej chodliwej natury. A tak, co mi wręczyli rodzice przy wyprawie z rodzinnego domu? Notatki ze studiów i kosze kamieni. I choć wydawało się, że dorosłym już naprawdę nie wypada, nie umiałam ich pożegnać. Bo co zrobić? Wystawić do śmietnika pod blokiem? Nic z tego, po wielu godzinach przeglądania i drobnej selekcji znalazły miejsce w łazience. Że niby dekoracja. A nie próba upchnięcia gdzieś w dorosłości trofeów dzieciństwa.

Zresztą, jakiego dzieciństwa? Z najdalszej podróży nie mam żadnej pamiątki, tylko książki do tamtejszej teologii i muszle znad oceanu. Rok temu znów nawiozłam muszli, nawet tych od zwykłych ostryg, bo ładne. A trawy z tamtej plaży walają się do dziś między papierami. Doszły do tego znów muszle brzytwy morskiej, po ostatniej wycieczce nad morze. Bo serio, wcześniej takich nie widziałam. I drewnianka, piórka...

A może to wciąż dziecięca kolekcja? W sumie trochę jak z dziecięcym zachwytem Dalii, mojej jerozolimskiej przybranej matki, która potrafi obudzić mnie o szóstej rano, bo zakwitło drzewo pod domem: „Zuzele, chodź, chodź. Musisz to zobaczyć!”. To ze spaceru z nią mam strąki chleba świętojańskiego zbierane z chodnika. Ona też zbiera garść muszli zawsze, gdy jesteśmy nad morzem. Pewnie gdzieś tu są.

Tylko jak to wszystko spakować? Zabrać zakurzone orle pióro znalezione na wiślanej wyspie pod Płockiem? Czy to mądre i czy wypada przeprowadzać się tak daleko z pudłem kamieni i muszli?

Na muszlach i kamieniach się nie kończy. Teraz mszczą się te rzeczy upchane po szufladach, w piwnicy. Choć i tak dwa

lata temu zrobiłam remanent i niczym Marie Kondo wpatrywałam się w nienoszone od lat sukienki, może nie dziękując im za lata służby, ale przekonując samą siebie, by je zwolnić z czekania, aż kiedyś znów będą pasowały. Posprzątałam też wtedy piwnicę, co przez lata było dla mnie nieosiągalnym symbolem posiadania czasu na przetracenie. I tak cały długi majowy weekend przeglądałam na wpół pełne puszki farby oraz inne starocie i rzeczy, których ranga spadała na tyle nisko, że tu zawędrowały.

Najbardziej nie lubię przedmiotów z limbo: ani potrzebnych, ani do wyrzucenia. Źle trafione zakupy, fatalne prezenty. Wyrzuty sumienia wypominające chwile konsumpcyjnej słabości czy bezzmyślności. Coś, co nigdy nie było potrzebne albo potrzebne być przestało. Z czym nie wiadomo, co zrobić. Marie Kondo chyba mówi, żeby te do oddania trzymać w jednym miejscu. Sprytnie, bo ją przeczesuję szufladę po szufladzie, półkę po półce.

Odtwarzacz muzyki sprzed 15 lat. Popsuty. 10 zeszytów z pięknymi okładkami, ale nie w takie linie, jak lubię. Książki kucharskie, które przestały zachwycać. Kolczyki, jakich już nie noszę. Pokrowiec na coś, czego już nie mam. Rzeczy, rzeczy, rzeczy.

Wyzwolenie przychodzi z mediów społecznościowych. Grupa „Uwaga, śmieciarka jedzie” istnieje w wielu miastach i śmigie. Czy masz 40 słoików na niedoszlę przetwory, nieskończoną w czasie remontu farbę, czy nienoszoną spódnice – tam mogą znaleźć nowego właściciela. Nie, to nie jest puszczanie w obieg śmieci, ale lekcja tego, że coś, co tobie wydaje się bezużyteczne, dla kogoś jest pomocne lub potrzebne. Choć czasem serio przecieram oczy ze zdumienia. Bez opłat, to warunek. Na śmieciarce oddałam już chyba wszystko, i co najlepsze, z lekkością i radością, że te nieoczywiste przedmioty nie znalazły się na śmietniku, tylko kogoś ucieszyły. Za każdym razem jakoś uwolniona i podekscytowana. Radość dawania nowego życia rzeczom.

Jak to wszystko spakować... rozmyślałam dalej nad dziełem śliwkowym od dziewczyny, która zabrała dwuletnią prenumeratę jednego z pism i piszczącą zabawkę dla kota.

©

W Sądzie Rejonowym w Ząbkowicach Śląskich | Wydział Cywilny pod sygnaturą I Ns 198/21 toczy się postępowanie z wniosku Grażyny Zakrzewskiej, Edwarda Tylnego, Marii Mielnik, Andrzeja Tylnego o stwierdzenie nabycia spadku po Zbigniewie Piotrze Zaborskim, synu Janiny oraz Piotra, zmarłym 19 lutego 2021 roku, ostatnio zamieszkałym w Stolicu.

Sąd wzywa wszystkich spadkobierców, aby w ciągu trzech miesięcy od dnia ukazania się niniejszego ogłoszenia zgłosili się do tutejszego Sądu i udowodnili nabycie spadku, gdyż w przeciwnym razie mogą zostać pominięci w postanowieniu o stwierdzeniu nabycia spadku.

WIELKI BUNT W MAŁEJ WSI

Apatyczne dotąd serbskie społeczeństwo zmienia się, a motorem zmian jest ekologia. Wspólne działania pomagają odbudować poczucie wspólnoty.

MARTA SZPALA Z SERBII

TRAFIĆ DO TOPLEGO DOLU NIE JEST ŁATWE. Wieś leży na odległych, południowych peryferiach Serbii, kilkanaście kilometrów od granicy z Bułgarią. Aby tu się dostać, jedziemy 30 km wąską drogą: po jednej stronie las i urwisko, po drugiej pionowe skały. Trzeba uważać, bo czasem odłamki odrywają się od nich i spadają na jezdnię. Z oddali słychać szum wodospadów, z których słynie okolica. Droga wprowadzie asfaltowa, ale dwa auta już się na niej nie wyminą. Telefony milkną – nie ma zasięgu.

W zielonej dolinie nad strumieniem schowały się domy, zbudowane z gliny, słomy i kamieni – jedynych dostępnych tu dawniej materiałów. Kiedyś ta wieś tętniła życiem, mieszkało w niej ponad tysiąc ludzi: górali produkujących kačaval, ser słynny na całe Bałkany. O dawnej świetności przypomina rozpadająca się szkoła i murowana cerkiew. Dookoła szczyty Starej Planiny, Starej Góry, znanej też jako Bałkan – łańcucha ciągnącego się aż do Morza Czarnego, od którego swoją nazwę wziął cały półwysep.

Dziś szkoła nie jest potrzebna, bo nie ma dzieci. Zresztą prawie nikogo już nie ma. Na stałe żyje tutaj 25 osób; najmłodszy mieszkaniec ma ponad 50 lat. Do niedawna wydawało się, że to miejsce jest skazane na wymarcie.

Los jednak zdecydował inaczej. Pewnego dnia cała Serbia dowiedziała się o ist-

nieniu tej górskiej osady. Stało się tak za sprawą inwestora, który chciał zabrać mieszkańcom to, co mają najcenniejsze – ich rzekę.

W imię postępu

Nie bez powodu formacja rządząca w Belgradzie od 2012 r. nosi nazwę Serbska Partia Postępu. Po dekadach zapaści gospodarczej, spowodowanej wojnami lat 90. XX w., trudną transformacją (a właściwie przejmowaniem państwowego majątku) i globalnym kryzysem ekonomicznym – po tym wszystkim takie hasła jak inwestor, nowe miejsca pracy czy modernizacja zamykają wszelkie dyskusje. A trzeba przyznać, że w ściąganiu inwestycji władze są skuteczne.

Złośliwi mówią, że inwestorów do Serbii przyciąga także i to, że nie trzeba spełniać wyśrubowanych norm dotyczących ochrony środowiska. O koszty społeczne i ekologiczne mało kto pyta – najważniejszy jest postęp. Mało kto zwraca też sobie głowę pytaniem lokalnych społeczności, czy chcą jakiegś inwestycji na swoim terenie. Po prostu pewnego dnia zjawiają się buldożery i w ten sposób mieszkańcy dowiadują się, że ich życie całkowicie się zmieni. Władza wie lepiej, co ludziom potrzebne. A że przy okazji zwykle korzystają biznesmeni powiązani z rządem, to już zupełnie inna historia.



Podobnie było w przypadku Toplego Dolu. O tym, że w ich wsi ma powstać mała hydroelektrownia, ludzie dowiedzieli się na początku 2019 r. – z chwilą, gdy inwestor przyjechał, by ogłosić rozpoczęcie budowy. Obiecał pracę i rozwój.

Na początku ludzie widzieli w tym szansę na uratowanie wsi. Ale, jak mówi Milan Pešić z ruchu Obrony Rzeki Starej Planiny, który oprowadza mnie po wsi, nikt nie wspomniął, że hydroelektrownie są w pełni zautomatyzowane, i że praca będzie tylko przez chwilę przy budowie (a i to pewnie nie dla ludzi ze wsi).

Co więcej, ciągnie Pešić, przemilczano skutki inwestycji dla Toplego Dolu i otaczającej go przyrody – czyli pozbawienie wsi dostępu do wody. Bo w warunkach bałkańskich mała hydroelektrownia to nie jest niewielki stopień wodny, generujący czystą i przyjazną środowisku energię. To coś zupełnie innego.



MILAN SIMONOVIC / MATERIAŁY PRASOWE OBRONIMO REKE STARE PLANINE

Mieszkańcy Starej Planiny i aktywiści usuwają rury z dna rzeki we wsi Rakita, 15 sierpnia 2020 r.

Osiemset projektów

Inwestycja w Toplim Dole, podobnie jak inne tego typu w regionie, to elektrownia derywacyjna. Oznacza to, że cały górski potok biegnący przez wioskę miałby zostać przekierowany do wkopanego w ziemię rurociągu o długości 2,5 km.

Jak tłumaczy mi Tibor Moldvai z serbskiego przedstawicielstwa Fundacji im. Bölla (związanej z niemiecką partią Zielonych), teoretycznie w pozwoleniach na takie projekty określa się minimalny przepływ wody w rzekach; ma to zapewnić ochronę życia biologicznego wód. W praktyce cała woda z potoków trafia jednak do rur, bo to pozwala generować większe zyski. Koryta rzek wysychają, rolnicy nie mają dostępu do wody, przy budowie wycinane są drzewa, ciężki sprzęt rozjeżdża zbocza gór i drogi – wylicza Moldvai.

W serbskich warunkach nikt nie jest zainteresowany, by kontrolować takie inwestycje. Na papierze wszystko wygląda

w porządku, bo powszechną praktyką jest staranie się o pozwolenie na budowę każdego elementu instalacji osobno, co umożliwia uzyskanie pozytywnej oceny oddziaływania projektu na środowisko.

Kolejny istotny element to kwestia skali. Aktywista Dragan M. Jonić opowiada mi, że w samym tylko Parku Przyrody Stara Planina miały powstać aż 63 takie instalacje – praktycznie co najmniej jedna na każdym potoku. Trudno sobie wyobrazić, jakie skutki miałyby to dla przyrody, która powinna być tutaj szczególnie chroniona przez państwo. W całej Serbii planowano zbudować ich ponad osiemset.

Ciemne strony zieleni

Dlaczego aż tyle? Odpowiedź jest prosta: budowa małych hydroelektrowni to w Serbii inwestycja bardzo lukratywna, a dodatkowo realizowana pod hasłem transformacji energetycznej i przejścia na

odnawialne źródła energii. Rzecz w tym, że hasła niewiele mają wspólnego z realiami.

W Serbii większość energii produkowana jest w przestarzałych instalacjach węglowych, a jakość powietrza należy do najgorszych w Europie. Władze zobowiązały się zwiększyć do 27 proc. udział odnawialnych źródeł w produkcji energii. Ale jak mówi mi Iva Marković z organizacji Prawo do Wody: system taryf gwarantowanych, który wspiera rozwój źródeł odnawialnych, został skonstruowany tak, że najbardziej opłacalne jest generowanie energii z małych hydroelektrowni. Co więcej, dodaje Marković, w przypadku paneli słonecznych i turbin wiatrowych ustalono limity energii, którą państwowy koncern energetyczny musi odkupić od producentów. W przypadku hydroelektrowni takich limitów nie ma.

Ważne są też koszty. Hydroelektrownia to inwestycja relatywnie niewielka ➔

→ i łatwa w realizacji – jej wartość oscyluje wokół miliona euro. Banki chętnie dają na to kredyty. Zysk jest gwarantowany, bo państwo musi odkupić potem energię po określonej cenie. Według Centrum Dziennikarstwa Śledczego Serbii jednym z istotnych beneficjentów tego systemu jest Nikola Petrović – kum prezydenta Aleksandra Vučića.

Tak znaczącego wsparcia jak hydroelektrownie nie mają np. panele fotowoltaiczne – one umożliwiłyby zwykłym ludziom produkowanie energii, ale to rozbiłoby monopol państwa i powiązanych z władzą biznesmenów.

Kwestia hydroelektrowni jest dobrą ilustracją tego, co się dzieje w całej Serbii, gdzie wąska grupa ludzi realizuje swoje przedsięwzięcia kosztem dobra wspólnego, a inwestorzy są właściwie bezkarni. Np. w Belgradzie planuje się budowę bloków mieszkalnych na terenach, gdzie pobiera się wodę dla całego miasta.

Nieufni wobec instytucji

Dragan M. Jonić mówi, że małe hydroelektrownie budowane są na terenach odludnych, często chronionych – tam, gdzie mało kto mógłby patrzeć inwestorom na ręce. Również w przypadku Starej Planiny zakładano zapewne, że wiekowi mieszkańcy nie będą protestować.

Nie przewidziano jednego – w trudnych górskich warunkach ludzie tworzą zwartą i solidarną społeczność. Jest ona dobrze zorganizowana: każda z osiemnastu górskich wiosek w tej okolicy ma swoją radę, a wspólnie tworzą one nieformalną reprezentację mieszkańców. Gdy inwestycja w Toplim Dole miała się już rozpoczynać, mieszkańcy wzięli sprawy w swoje ręce.

Wcześniej w innych miejscach próbowano blokować budowy, odwołując się do instytucji państwa i sądów. Ale nawet jeśli decyzje były dla mieszkańców korzystne, niewiele to zmieniało, a prace postępowały. Tak było w leżącej na skraju Starej Planiny wsi Rakita, gdzie też budowano hydroelektrownię. W Serbii instytucje państwowe bronią interesów polityków i inwestorów, a nie zwykłych ludzi – mówi mi jeden z aktywistów. Stąd obywateli nie mają zaufania do instytucji.

Również decyzja związku rad Starej Planiny, że mieszkańcy nie chcą na swoim terenie hydroelektrowni, została po prostu zignorowana. Ludzie zdecydowali więc, że jedynym wyjściem jest fizyczne blokowanie dostępu do rzek i stru-



Wyschnięte koryto rzeki Rakita po zbudowaniu elektrowni wodnej, wrzesień 2019 r.

mieni – i to nie tylko w Toplim Dole, ale też w innych wsiach, gdzie planowano podobne projekty.

Rzeki nie oddamy!

Tak zaczęła się obrona Starej Planiny. Obrona w sensie dosłownym: zablokowano drogi, a na moście w Toplim Dole zbudowano barykadę, której pilnowano dzień i noc przez wiele miesięcy. Na szlakach ustawiono straż. Na drogach dojazdowych stanęły tablice: „Inwestorzy, nie jesteście tu mile widziani”.

Milan Pešić z ruchu Obronimy Rzeki Starej Planiny opowiada, że gdy robotnicy z inwestorem, otoczeni przez ochroniarzy, kilkakrotnie próbowali przedrzeć się do wsi, dochodziło do rękoczynów. Kilka osób wylądowało w szpitalu, w sąsiedniej wsi znaleziono bombę, a jeden dom podpalono.

Mieszkańców wsparli byli wojskowi, którzy kiedyś służyli na posterunku w Toplim Dole, dziś opuszczonym. Niegdyś w pobliżu przebiegała pilnie strzeżona granica między blokiem wschodnim a Jugosławią. Mieszkańcy pogranicza byli przyzwyczajeni do zwracania uwagi na obcych. Teraz te umiejętności bardzo się przydały.

Starcia i protesty przyciągnęły uwagę mediów. W końcu nie codziennie można zobaczyć wiekowe kobiety, które pełnią dyżury na barykadach. Do wsi zaczęli ścigać ludzie z całej Serbii. W prorządowych mediach próbowano dyskredytować demonstrantów, twierdząc, że to terroryści i agenci zagranicy. Próbowano ich też zastraszyć, wytaczając im procesy cywilne. Lecz sympatia społeczeństwa była

po ich stronie. W końcu musiał się z nimi spotkać sam prezydent Vučić.

Mieszkańcy jednak nie wierzyli władzom – pozostali na barykadach aż do czasu, gdy inwestorowi wygasło pozwolenie na budowę.

Nauką i motywą

Dragan M. Jonić uważa, że protesty zakończyły się sukcesem także dlatego, że w walkę z hydroelektrowniami zaangażowali się naukowcy z Serbskiej Akademii Nauk, wcześniej niechętni krytykowaniu rządzących. Protestujących wsparł Ratko Ristić, dziekan Wydziału Leśnictwa z Belgradu. Dzięki temu łatwiej było przekonać opinię publiczną, że inwestycja naprawdę szkodzi środowisku i że nie jest to wymysł ekologów-terrorystów, stojących na drodze rozwoju.

Ostatecznie budowę hydroelektrowni zablokowano dzięki przyjęciu nowego planu zagospodarowania przestrzennego całej gminy Pirot, której podlegają wsie Starej Planiny. Plan zakłada zakaz budowy hydroelektrowni na terenie gminy przez kolejnych 15 lat.

Wprawdzie prezydent Vučić obiecywał mieszkańcom zablokowanie takich inwestycji na drodze ustawy, ale w serbskich regulacjach zwykle pojawia się furtka pozwalająca na samowolę władz i inwestorów. I tak, według obiecanej ustawy budowa hydroelektrowni miałaby być zakazana na terenach chronionych, chyba że przemawia za tym ważny interes społeczny. Iva Marković z organizacji Prawo do Wody wska-

zuje, że nie wiadomo, kto miałby definiować ten interes, a poza tym problem dotyczy nie tylko terenów chronionych.

Nie obyło się też bez dalszych radykalnych działań, tym razem we wsi Rakita. Choć różne instytucje uznały zbudowaną tam hydroelektrownię za nielegalną, nikt nie kwapił się z egzekwowaniem nakazu rozbiórki (to też typowe dla Serbii, gdzie pełno jest samowoli budowlanych). Choć wydobywanie rur z dna potoku nie jest możliwe bez ciężkiego sprzętu, mieszkańcy i aktywiści, zbrojni w motyki, na tyle naruszyli konstrukcję, że rzeka płynąca przez Rakitę stała się znowu wolna – o czym dziś mówią z dumą.

Prawo do czystej wody

Komentując protesty ekologów, premier Ana Brnabić stwierdziła, że pokazują one, jak bardzo Serbia się zmieniła: priorytetem nie są już miejsca pracy i płace, lecz środowisko naturalne. Tymczasem to problemy pierwszego świata, stwierdziła Brnabić.

Większość osób, z którymi rozmawiam, jest przeciwnego zdania. Często konstatują: jako społeczeństwo doszliśmy do ściany, nasz system trudno nazwać demokratycznym, państwo nie jest po naszej stronie, żyjemy w poczuciu bezsilności i braku wpływu na rzeczywistość.

Jednocześnie, jak tłumaczy mi Iva Marković, wielu Serbów podziela romantyczne przekonanie, że wszystko są w stanie znieść, gdy mają czyste powietrze, potoki i rzeki oraz ziemię, która ich wyżywi; to pozwoliło im przeżyć wojny i kryzysy. Teraz poczuli, że nawet to ktoś chce im zabrać. Podobnego zdania są mieszkańcy Toplego Dolu. – Niewiele mamy i nie-

wiele nam potrzeba, przeżyjemy bez pieniędzy, ale bez rzeki nie przeżyjemy – mówią.

Problem braku ochrony środowiska jest widoczny na pierwszy rzut oka, komentuje Iva Marković, i trudno go ignorować. W trzecim największym mieście Wojwodiny, ponad 70-tysięcznym Zrenjaninie, od 2004 r. woda w kranach nie nadaje się do picia ze względu na duże stężenie trującego arsenu. Także w całym regionie jakość wody pozostawia wiele do życzenia. Furorę w mediach społecznościowych zrobiło nagranie pokazujące, jak ze względu na wysokie stężenie metanu pali się woda płynąca z kranu.

Do tego dochodzi problem ścieków komunalnych. Zaledwie 14 proc. z nich trafia do oczyszczalni, pozostałe są wpuszczane prosto do rzek. Podobnie dzieje się ze ściekami przemysłowymi. A ponieważ stan wód w kraju jest coraz niższy, skutki są coraz bardziej dotkliwe. Przykładem rzeka Pek w zachodniej Serbii, która mieni się różnymi odcieniami czerwonego, a w najlepszych okresach jest szara i mętna. Mieszkańcy twierdzą, że za zmianę koloru wody odpowiada kopalnia miedzi w Majdanpeku, należąca do chińskiego inwestora. Czysta woda staje się w Serbii dobrem luksusowym.

Podobnie zresztą jak czyste powietrze. Zimą w Belgradzie i innych miastach trudno jest oddychać. Władze wolą utrzymywać mieszkańców w nieświadomości, mówi mi Nataša Rašković z 60-tysięcznego miasta Smederevo nad Dunajem. Nataša współorganizowała kampanię „Crveni bedževi” („Czerwone odznaki”), która miała zwrócić uwagę na problem zanieczyszczenia powietrza. Aktywiści

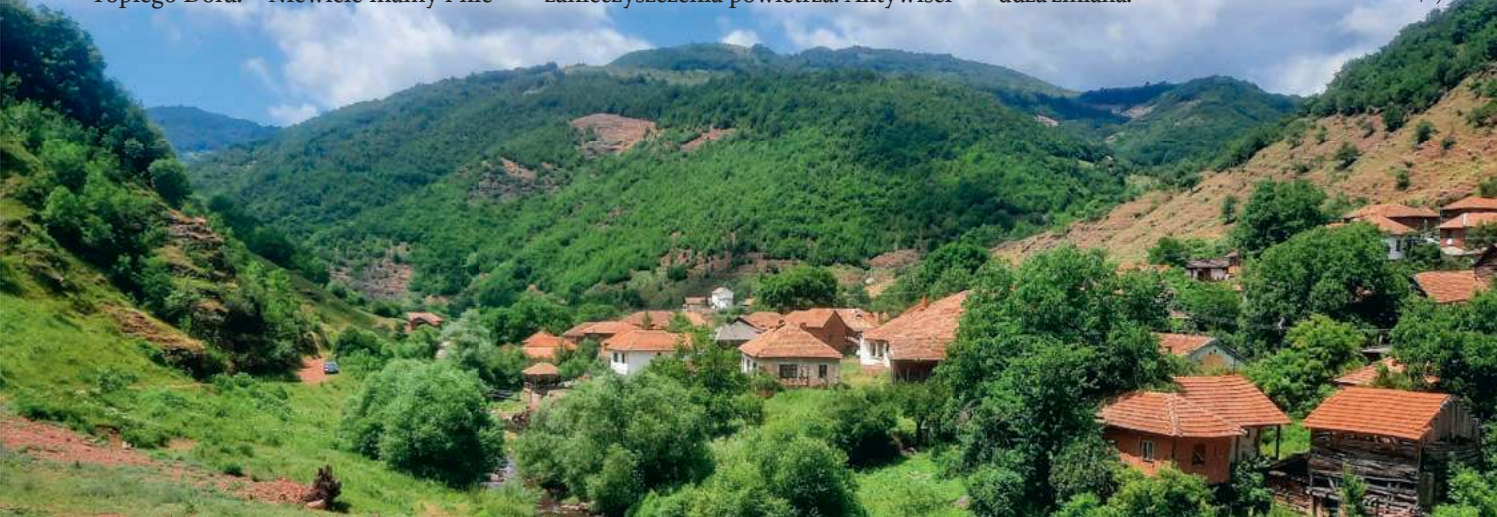
domagali się, by władze ustawiły w mieście czujnik monitorujący jego jakość. W końcu zrobili to sami.

Co tydzień protest

Sukces mieszkańców Starej Planiny, którzy obronili swoje góry, dodał wiatru w żagle ruchom protestu w innych częściach kraju. Fakt, że ktoś na dalekich serbskich peryferiach przeciwstawił się skutecznie inwestorom i władzom, tchnął w innych odwagę. Część aktywistów ze Starej Planiny wspiera teraz swym doświadczeniem innych. Dziś w Serbii nie ma właściwie tygodnia bez protestu: zawiązują się grupy i organizacje domagające się włączania lokalnych społeczności w podejmowanie decyzji, które ich dotyczą.

Igor Stojilovic z organizacji CRTA (wspiera ona lokalnych aktywistów w ramach kampanii „Działania obywatelskie na rzecz odpowiedzialności”) mówi mi, że Serbowie wiedzą, iż może nie są w stanie zmienić systemu politycznego, i nawet tego nie chcą, ale mogą żądać od samorządów i instytucji egzekwowania prawa. Coraz chętniej biorą udział w akcjach przeciw samowoli inwestorów czy zabudowywaniu terenów zielonych, manifestując w ten sposób, że to obywatele mają władzę.

Takie działania są też coraz bardziej skuteczne – udało się zablokować budowę kilku kolejnych małych elektrowni wodnych, upadł rządowy projekt budowy kolejki linowej na twierdzą Kalemegdan w Belgradzie. W apatycznym dotąd społeczeństwie, w którym raczej decydowano się na emigrację niż na działanie w obronie wspólnego dobra, to duża zmiana.



Nowa nadzieja na Bałkanach

→ Niszczenie środowiska to problem bardzo demokratyczny, dotyka wszystkich tak samo. Wśród obrońców Starej Planiny są przedstawiciele wszystkich opcji politycznych i ideowych – zarówno młodzi lewicowcy, jak też osoby przywiązane do wartości konserwatywnych. – Nie zgadzamy się w wielu sprawach – mówi mi Dragan – ale łączy nas wola walki o przyrodę i najbliższe otoczenie.

Podobnie heterogeniczne ruchy powstają w innych częściach Serbii. W kraju, gdzie władze lubią pogłębiać podziały społeczne i zarządzać poprzez konflikt, wspólne działania pozwalają odbudowywać poczucie wspólnoty.

Dotyczy to zresztą nie tylko Serbii, lecz całych Bałkanów. Podobny problem małych elektrowni wodnych występuje w Czarnogórze, gdzie takie inwestycje realizowała rodzina wieloletniego premiera i prezydenta Mila Đukanovicia. W Kosowie plany budowy małych hydroelektrowni w Štrpcach doprowadziły nawet do wspólnych serbsko-albańskich protestów – po raz pierwszy od wojny z 1999 r. Sprawa była niewygodna dla władz w Prisztinie i Belgradzie: trudno było im wpisać ten protest w tradycyjną narrację o etnicznych podziałach. W Albanii aktywiści walczą o ustanowienie parku narodowego obejmującego rzekę Vjosę, gdzie planowana jest budowa wielkiej hydroelektrowni.

Na początku lipca w Sarajewie aktywiści broniący rzek powołali platformę Brońmy Rzek Bałkanów. Inicjatorami były działaczki z Bośni i Hercegowiny. Iva Marković, która brała udział w ich spotkaniu, opowiada, że mimo różnic w ocenie przeszłości mieszkańcy Bałkanów dostrzegają, że mają podobne problemy – w tym problem słabych instytucji zawłaszczonych przez polityków, zainteresowanych pogonią za zyskiem. Aktywiści ze wszystkich państw chcą się wzajemnie wspierać.

W tym nowym zaangażowaniu wielu Serbów widzi szansę na zmiany polityczne w kraju, gdzie praktycznie nie ma opozycji, a media i instytucje służą rządzącym. Niektórzy działacze chcą wykorzystać swoją popularność i startować w wyborach lokalnych w Belgradzie w 2022 r.

Serbskie władze na razie nie zmieniły modelu postępowania: jeśli kontrowersyjne inwestycje nie budzą protestów, są kontynuowane. Podjęto też działania mające ograniczyć dostęp do informacji publicznych, gdyż w wielu przypadkach uzyskane tą drogą dane pozwalały zaskarżać decyzje dotyczące poszczególnych projektów. Ludzie powiązani z rządem tworzą własne organizacje ekologiczne, by wprowadzić zamęt w społeczeństwie.

Czekając na kolejne starcie

Tymczasem w Toplim Dole widać zmiany. Popularność tchnęła w górskie wsie nowe życie. Tym bardziej że gdy pandemia uniemożliwiła Serbom podróżowanie za granicę, masowo ruszyli zwiedzać góry Starej Planiny. Na wąskiej drodze do wsi robiły się korki. Wysiłkiem lokalnych aktywistów odnowiono cerkiew. Tradycyjne domy są remontowane. Powstają małe pensjonaty. Podobnie jest w sąsiednich wioskach.

Władze chcą wykorzystać tę sytuację we własnym stylu. Powstają plany wielkich inwestycji – w malowniczych górach można przecież zbudować luksusowe hotele, koniecznie z lądowiskiem helikopterów, bo przecież drogi są w fatalnym stanie. Większość ludzi, z którymi rozmawiałam, takich inwestycji nie chce.

– Turystyka to dla nas jedyna szansa, ale turystyka rozwijana z poszanowaniem przyrody i potrzeb mieszkańców – mówi Dragan M. Jonić. Ludzie nie chcą pracować w wielkich hotelach – chcą gościć turystów u siebie, proponować im lokalne jedzenie, kultywować własne tradycje.

Wizja rozwoju tego regionu generuje więc nowe konflikty. Jednak, jak mówi Milan Pešić: – Gdybyśmy nie obronili rzeki, nikogo już by tu nie było. A tak do wsi wróciła nadzieja. Mieszkańcy poczuli, że mogą mieć wpływ na swoje otoczenie.

Tymczasem Serbia szykuje się na kolejne starcie. Międzynarodowe koncerny chcą w żyznej dolinie rzeki Jadar uruchomić kopalnię litu – bardzo rzadkiego pierwiastka wykorzystywanego w nowoczesnym przemyśle. Mało kto wierzy w zapewnienia władz, że projekt zostanie przygotowany z poszanowaniem przyrody i potrzeb mieszkańców.

© MARTA SZPALA

Ostrzeżenie nadeszło za późno

ŁUKASZ GRAJEWSKI Z LIPSKA

W Niemczech spada poziom wody, ale nie skala problemów. Odbudowa miejsc, przez które przeszła powódź, potrwa wiele lat.

UWAGA! W NOCY I JUTRO RANO BURZE, ulewny deszcz, bardzo silny wiatr i lokalnie grad. Zabezpiecz rzeczy, które może porwać wiatr. Możliwe podtopienia – w Polsce alerty Rządowego Centrum Bezpieczeństwa wysyłane są od 2018 r. Taki esemes o zagrożeniu dostaje każdy posiadacz komórki znajdujący się na obszarze, którego dotyczy ryzyko. To rozwiązanie stosowane również w USA, Kanadzie czy Izraelu.

Właśnie w sprawie krótkich wiadomości ostrzegających przed niebezpieczeństwem toczy się w Niemczech gorąca debata. A dokładnie, chodzi o ich brak. W powodziach, które przetoczyły się niedawno przez zachodnie regiony Niemiec, zginęło ponad 170 osób, a kolejne 150 uważa się za zaginione. Szansa, że przeżyły, jest mała. Ponad 40 tys. ludzi zostało w różnym stopniu poszkodowanych.

„Zostałem bankrutem”

Mieszkańcy, którzy zderzyli się z żywiołem, powtarzają, jak bardzo zostali zaskoczeni przez wodę, która nagle zaczęła wdzierać się do piwnic, aby po chwili pojawić się także wyżej. Rainer Himmes z miasteczka Schuld w górach Eifel, pytany przez reporterów telewizji ZDF, wypowiada zdanie mantrę, typowe dla relacji świadków: „Tego sobie nie można wyobrazić”. Himmes zarabiał na życie, obsługując karuzele i goszcząc turystów, którzy przybywali do urokliwej doliny rzeki Ahr – to centrum turystyki winiarskiej w Niemczech.



CHRISTOF STACHE / AFP / EAST NEWS

Kancelarz Niemiec Angela Merkel i Malu Dreyer, premier Nadrenii-Palatynatu, rozmawiają z poszkodowanymi mieszkańcami podczas wizyty w zniszczonej przez powódź wsi Schuld w pobliżu Bad Neuenahr-Ahrweiler. Nadrenia-Palatynat, Niemcy, 18 lipca 2021 r.

Teraz mężczyzna stoi bezradny. Karuzelę, samochód, przyczepy kempingowe – wszystko zmiotła woda. Himmes i tak może mówić o szczęściu, bo jego dom stoi, podczas gdy tylko w tym jednym miasteczku, liczącym 700 mieszkańców, powódź zniszczyła kompletnie aż 50 budynków.

Na nagraniu, które Rainer Himmes wykonał swoim telefonem, widać to, co sam określa jako „niewyobrażalne”. Zamiast części miasteczka, obok którego płynie spokojna zazwyczaj rzeka Ahr, na nagraniu widać jedno wielkie koryto rzeki, której potężny prąd mieli i niesie dalej to, co napotka na drodze. „Zostałem bankrutem” – mówi Himmes. W tle słychać szloch przerażonych dzieci. Reporterom będzie potem pokazywać linię wody na wysokości około dwóch metrów; na taką wysokość wdarła się do jego domu.

Biurokratyczny gorset

Czy skalę katastrofy mogły zmniejszyć wysłane wcześniej ostrzeżenia? W Niemczech od lat promowano używanie specjalnej aplikacji ostrzegawczej, którą za instalowała jednak tylko niewielka część społeczeństwa. Choć o nadchodzących gigantycznych ulewach kilka dni wcześniej informowały unijne urzędy, to lokalne instytucje, politycy i media zbagatelizowały zagrożenie. Dodatkowo dopływy

Renu zaczęły wylewać w nocy. Zamiast uciekać, zdezorientowani i zaspani mieszkańcy rzucili się ratować dobytek.

Na pytania dziennikarzy, dlaczego w Niemczech nie ma takiego systemu jak np. w Polsce, politycy kluczą i mówią a to o kosztach, a to o skomplikowanej sytuacji prawnej, a to o ochronie danych osobowych. Analiza przyczyn katastrofy wskazuje na dobrze znane problemy Niemiec. Rozwój europejskiego lidera jest krępowany biurokratycznym gorsetem – przedkładaniem „Ordnungu” w papierach nad elastyczne i szybkie działania „tu i teraz”.

Niemcy mają swoje procedury i niezliczone urzędy z papierowymi formularzami, które wciąż trzeba dostarczyć pocztą albo ewentualnie faksem. A przed podjęciem jakiegokolwiek działania wszystko należy skrupulatnie kilka razy sprawdzić. W sytuacjach skrajnych takie podejście zamienia się w podparty urzędową nowomową impozybilizm. W przypadku kataklizmu brak funkcjonującego systemu ostrzegania kosztował życie kilkuset ludzi.

Oprócz zmarłych i zaginionych, prócz zniszczonych domów, uszkodzeniu uległy też drogi, kilkadziesiąt mostów, trąckie kolejowe i sieci energetyczne. Naprawa zniszczeń, ostrożnie szacowanych na miliardy euro, potrwa miesiące, a nawet lata.

Zadanie na lata

W najbardziej poszkodowanym powiecie Ahrweiler, który obejmuje winiarską dolinę Ahru i utrzymuje się w dużej mierze z turystyki, powódź to kolejny po pandemii dramat. Mieszkańcy mają za sobą trudny czas, gdy musieli liczyć straty spowodowane przez lockdowny. Teraz zamiast otwierać sklepy, hoteliki, restauracje i winiarnie, muszą mierzyć się z perspektywą kolejnego sezonu spisanego na straty.

„Jestem w nie swoich ubraniach i nie mogę wrócić do domu” – Hannelore Komischke z Erfstadt opisuje swoją sytuację dziennikarzom ZDF. W tym mieście w Nadrenii Północnej-Westfalii powódź doprowadziła do osunięcia się ziemi i stojących tam budynków. W ubiegłym tygodniu starsza kobieta wraz z wieloma mieszkańcami stanęła w kolejce po 200 euro, które urząd miasta wypłacał wszystkim zgłaszającym się – bez sprawdzania, czy ktoś został poszkodowany.

Politycy zapowiadają więcej. Ze środków landowych i federalnych uruchomiono już 400 mln euro na „natychmiastowe” wsparcie. Politycy nie mają wyjścia. Muszą pokazać, że przynajmniej po powodzi potrafią działać szybko i niebiurokratycznie. Od tego może zależeć ich przyszłość – za dwa miesiące wybory do parlamentu.

©

Licencja na włamywanie

AGATA KAŹMIERSKA I WOJCIECH BRZEZIŃSKI

Afera Pegasus może być wierzchołkiem góry lodowej. Na metody inwigilacji niegdyś dostępne tylko najbogatszym wywiadom stać dziś każde państwo. To szpiegostwo w abonamencie.

TRZECH URZĘDUJĄCYCH PREZYDENTÓW, trzech premierów, jeden król. Do tego siedmiu byłych szefów rządów, wielu ministrów, urzędników, działaczy związkowych, obrońców praw człowieka, naukowców i dziennikarzy. Łącznie około 50 tys. numerów telefonów. Wszystkie miały być inwigilowane przy pomocy programu Pegasus.

Gdy zaczęły się pojawiać pierwsze informacje na temat wielkiego dziennikarskiego śledztwa przeprowadzonego przez najbardziej szanowane redakcje na świecie, sygnalista Edward Snowden napisał na Twitterze: „Rzućcie wszystko i to przeczytajcie. Ten wyciek będzie tematem roku”. Nie sposób się z nim nie zgodzić. Gdy kilka lat temu wyszło na jaw, że Amerykanie podsłuchiwali kanclerz Angelę Merkel, wywołało to potężny zgrzyt na linii Waszyngton–Berlin i wielomiesięczne ochłodzenie relacji. Teraz przeciek może dotyczyć najbardziej wpływowych ludzi na świecie podsłuchiwanych przez około 40 państw, które były klientami izraelskiej NSO Group, twórcy Pegasus. A w tle są morderstwa, prześladowania i realne zagrożenie dla wolności.

Taki przypadek

Teoretycznie lista 50 tys. numerów, którą zdobyła organizacja Forbidden Stories, mogłaby nie mieć nic wspólnego z Pegasusem. Redakcjom, które opisały sprawę, NSO początkowo zagroziła nawet pozwami za „skandaliczne i odległe od rzeczywistości zniesławienie”. Dokładnie w ten sposób broniła się od lat. Np. gdy w 2016 r. pojawiły się oskarżenia o wykorzystywanie Pegasus do szpiegowania działaczy praw człowieka w Zjednoczonych Emiratach Arabskich i meksykańskiego dziennikarza, który został zamordowany. Groźby pozwów wróciły też trzy lata temu i dotyczyły redakcji drążących temat morderstwa dysydenta i publicysty Dżamala Chaszodżdżiego.

Teraz dowody są jednak jeszcze mocniejsze, ale przede wszystkim jest ich znacznie więcej. Analitycy Security Lab Amnesty International zbadali ślady w 67 telefonach, które znajdowały się na liście 50 tys. numerów. W 24 smartfonach znaleziono ślady Pegasus. W przypadku 13 kolejnych stwierdzono, że były celem ataków. Dwa spośród zaatakowanych telefonów należały do Szabolcsa Panyiego i Andrása Szabó, reporterów śledczych często zajmujących się korupcją rządu w Budapeszcie – a wśród państw, które kupiły Pegasus, wymieniane są Węgry. Inny należał do Hatice Cengiz, narzeczonej Chaszodżdżiego. Jako cel ataku wymieniany jest prezydent Emmanuel Macron i jego byli ministrowie – w Paryżu w tej sprawie zebrała się rada bezpieczeństwa, ogłoszono serię śledztw i zmianę protokołów obejmujących najważniejsze osoby w państwie.

NSO Group zmienia linię obrony. Twierdzi, że nie ma z listą nic wspólnego. Założyciel i prezes firmy Shalev Hulio oświadczył, że o całej sprawie dowiedział się miesiąc temu, gdy cztery osoby niezależnie od siebie poinformowały go, iż hakerzy próbują sprzedać listę rzekomo wykradzoną z cypryjskich serwerów firmy. Hulio oświadczył, że NSO nie ma serwerów na Cyprze ani listy „celów” klientów firmy. „Co więcej, nasi klienci nie są ze sobą w żaden sposób powiązani, każdy jest traktowany osobno, więc taka lista w ogóle nie powinna nigdzie istnieć” – tłumaczył, dodając: „To jak otwarcie książki telefonicznej, wybranie 50 tys. numerów i wyciąganie z tego jakichś wniosków”. Hulio podkreślał też, że każdy z klientów NSO śledzi rocznie średnio około stu celów. „Więc od samego początku naszego działania celów nie było łącznie z pewnością 50 tys.” – powiedział.

Dlaczego więc w połowie sprawdzonych urządzeń znaleziono ślady Pega-



susa? Dopytywany o to przez BBC News rzecznik firmy stwierdził, że musi to być „przypadek”.

Outsourcing inwigilacji

Pegasus to w zasadzie legalny wirus. Aplikacja ta, podrzucona na smartfona, może czytać wiadomości, przeglądać maile, ściągać zapisane zdjęcia, podsłuchiwać rozmowy, podglądać przez kamerę czy na żywo śledzić ruchy obserwowanej osoby za pośrednictwem GPS i innych czujników urządzenia. Szyfrowanie, jak to stosowane przez WhatsApp i Signal, nic nie daje, bo Pegasus rejestruje połączenia i treści wpisywane za pomocą klawiatury.

Program na urządzenie musi jednak najpierw trafić. I tu trwa niekończący się wyścig z producentami telefonów i firmami zajmującymi się cyberbezpieczeństwem. Wszystko opiera się na tzw.



LUDOVIC MARIN / AFP / EAST NEWS

Prezydent Francji Emmanuel Macron, Göteborg, Szwecja, listopad 2017 r.

exploitach, czyli niezalatanych dziurach w oprogramowaniu, przez które, jak przez wyrwę w murze twierdzy, można przejść niepostrzeżenie przez zabezpieczenia systemu operacyjnego. Najcenniejsze, tzw. exploity „dnia zerowego”, czyli luki, o których istnieniu nie wie jeszcze producent oprogramowania. Są one niezwykle wartościowym towarem na internetowym czarnym rynku. Niezależni hakerzy za znalezienie takiej dziury dostają miliony dolarów.

Pierwsze wersje Pegasus wykorzystywały dość prymitywne sposoby na przejęcie się do systemu. Najczęściej – sfabrykowane SMS-y czy wiadomości na komunikatorach zawierające link, pod którym kryło się złośliwe oprogramowanie. Dziś Pegasus jest w stanie wdrzeć się do smartfona, nawet jeśli użytkownik w nic nie kliknie. Przed takim atakiem w zasadzie nie ma obrony.

Kiedyś podobne możliwości miały jedynie największe i najbogatsze agencje wywiadowcze świata. Ich opracowanie kosztowało NSA, FSB czy brytyjskie GCHQ lata prac i setki milionów dolarów. Dziś takie możliwości może mieć każdy za kilka milionów. To szpiegostwo w abonamencie. *Outsourcing* inwigilacji.

Aktorzy ofensywni

Shalev Hulio i Omri Lavie znają się od dzieciństwa. 20 lat temu, tuż po zakończeniu obowiązkowej służby w izraelskiej armii założyli internetowy start-up. Poszczęściło im się. Ich aplikacja dla agencji marketingowych szybko przyniosła dwudziestolatkom małą fortunę. Gdy w 2008 r. wybuchł światowy kryzys, biznes padł. Ale na rynku popularny stawał się właśnie pierwszy iPhone, a oni mieli już kolejny pomysł – na oprogramowanie po-

zwalające zdalnie przejmować kontrolę nad smartfonem. Miało to służyć wsparciu technicznemu klientów sieci komórkowych. Gdy jednak w 2010 r. do młodych przedsiębiorców dołączył Niv Carmi, były agent Mosadu, szybko zaczęli się pojawiać nowi klienci – rządowe agencje ze świata. Formalnie zainteresowane były ściganiem pedofilów, handlarzy narkotyków i terrorystów. Pegasus, główny produkt NSO, teoretycznie do tego właśnie służy.

Firmy takie jak NSO Group to cyfrowi najemnicy, znani w branży jako „aktorzy ofensywni z sektora prywatnego” (PSOA). NSO ma konkurencję w brytyjsko-niemieckim Gamma Group, włoskim Memento Labs (znanym dawniej jako Hacking Team), DarkMatter ze Zjednoczonych Emiratów Arabskich czy zarejestrowanej na Cyprze Intelleksie. Mają się o co bić, bo rynek cyberszpiegostwa wyceniany jest na 12 mld dol. Tal Dilian, prezes Intelleksy, dwa lata temu opowiadał „Forbesowi”, że na rynku dostępne są także narzędzia pozwalające identyfikować twarz śledzonej osoby czy podsłuchiwać jej rozmowy. Są też programy „pozwalające w ciągu kilku minut zlokalizować każdy telefon w kraju”.

Większość z takich firm oferuje wielopoziomowy abonament. Źródła izraelskiego dziennika „Haaretz” twierdzą, że podstawowy poziom Pegasusu pozwala klientowi na jednoczesne śledzenie 25 urzędzeń jedynie na terytorium własnego państwa. Za pakiet dla bardziej wymagających trzeba dopłacić. Ile? W przypadku NSO nie jest to jasne, ale organizacja Citizen Lab dotarła do cennika innej izraelskiej firmy, znanej m.in. pod nazwą Candiru (jej oprogramowanie stosuje m.in. Uzbekistan, Arabia Saudyjska, Singapur czy Katar). Opcja podstawowa kosztuje 16 mln euro. Za dodatkowe 1,5 mln klient może śledzić kolejnych 15 urzędzeń i infekować telefony w jednym obcym kraju. Za kolejnych 5,5 mln może dodać 25 urzędzeń w nawet pięciu następnych państwach. Moduł wyprowadzający dane z Signala czy Vibera to kolejne 200 tys. euro od numeru. Wreszcie, za dodatkowych 6 mln Candiru oferuje narzędzie Sherlock, które najprawdopodobniej służy do „bezkliknięciowego” infekowania wybranych telefonów.

Wyśledzenie takich firm jest trudne, bo często korzystają z sieci spółek winduszek. Kiedy już uda się je zmusić

→ do odpowiedzi, zapewniają, że sprzedają swoje usługi jedynie rządowi i to wyłącznie w celu chwytania przestępców.

Według „Haaretza” NSO ma osobny zespół pracujący wyłącznie z państwami z regionu Zatoki Perskiej. Wszyscy jego członkowie posługują się paszportami państw innych niż Izrael. To najbardziej dochodowy dział, przynoszący setki milionów dolarów rocznie, ale nawet w wewnętrznej komunikacji firma nie posługuje się nazwami tych państw. Każde ma kryptonim: Arabia Saudyjska to Subaru, Bahrajn to BMW, a Jordania to Jaguar. Według „Haaretza” w ostatnich latach NSO podpisała kontrakty w Bahrajnie, Omanie, Arabii Saudyjskiej oraz emiratach Abu Zabi i Ras al-Chajma. „Produkt, który w Europie sprzedasz za 10 mln, w państwach Zatoki można sprzedać za dziesięć razy więcej” – mówił informator gazety, według którego NSO świadczy też usługi analityczne i przetwarza dane ze zhakowanych urządzeń. Ta usługa pojawiła się ponoć w ofercie po tym, jak klienci z Zatoki Perskiej doświadczyli problemu ze zbyt dużą ilością pozyskanych danych. Spenetrowanie urządzenia przy pomocy Pegasusa zajmuje zwykle góra kilka godzin.

NSO ma też mieć możliwość wyłączenia usługi w każdej chwili – tak jak np. w Meksyku, gdy wyszło na jaw, że Pegasus wykorzystano do inwigilowania dziennikarzy badających słynną sprawę uprowadzenia i zamordowania 43 studentów. Podobnych kroków, jak utrzymuje informator „Haaretza”, nie podjęto jednak w przypadku żadnego z arabskich klientów firmy. Program ma też automatycznie usuwać się z telefonu, który trafia do Izraela, Iranu, Rosji, Chin lub USA. Chodzi o próbę uniknięcia problemów z krajami, które bardzo surowo podchodzą do szpiegostwa na swoim terytorium, lub o uniemożliwienie państwom wrogim dostępu do technologii.

Po morderstwie Dżamala Chaszodźdżiego w 2018 r. i doniesieniach, że saudyjski wywiad śledził dysydenta przy pomocy technologii NSO, pracownicy firmy mieli, według źródeł „Haaretza”, protestować przeciwko wykorzystywaniu ich oprogramowania do przygotowywania zabójstwa. Kilka osób zwołniało się ponoć nawet z pracy. Prezes Hulio miał jednak w rozmowie z zespołem zaprzeczyć, jakoby firma była powiązana z tym zdarzeniem.



GERGELY BESENYEI / AFP / EAST NEWS

Węgierski dziennikarz śledczy Szabolcs Panyi. Jego numer znajdował się na ujawnionej liście telefonów, które rzekomo były celem oprogramowania Pegasus. Budapeszt, 20 lipca 2021 r.

Włamania bezkarne

NSO Group nie działa poza prawem. Licencji udzielił jej rząd Izraela. Na razie kancelaria premiera Naftalego Bennetta odmówiła komentarza. Jednak już wcześniej resort obrony zapowiedział, że cofnie licencje eksportowe wydawane każdej izraelskiej firmie, która sprzedaje je z naruszeniem zasad, „zwłaszcza w razie jakichkolwiek naruszeń praw człowieka”. Teraz przewodniczący komisji spraw zagranicznych i obrony Knesetu ogłosił, że powołuje specjalną komisję, która przyjrzy się zarzutom. Shalev Hulio w wywiadzie dla należącego do izraelskiej armii radia Galatz oświadczył, że cieszy się z tego, iż „firma będzie mogła oczyścić swoje dobre imię”. Co ciekawe, przekonywał też, że zarzuty pod adresem NSO to część większej kampanii oczerniania całego izraelskiego przemysłu cyberbezpieczeństwa. Powtórzył, że publicznie nie ujawni, kto jest klientem firmy, ale jednocześnie wszystkim rządowi, które będą tego oczekiwały, „zapewni pełną przejrzystość”.

W zeszłym miesiącu firma opublikowała pierwszy „raport transparentności”. W 32-stronicowym dokumencie twierdzi, że odrzuciła kontrakty warte łącznie ponad 300 mln dolarów, bo potencjalni kupcy nie trzymali się międzynarodowych standardów praw człowieka. Poinformowała również, że zerwała pięć z już podpisanych kontraktów z tego samego powodu. „Oddanie NSO dla sprawy praw

człowieka to *public relations*, a nie próba istotnej zmiany kursu. Ich niedawny raport transparentności czyta się jak broszurkę handlową” – stwierdziła jednak w rozmowie z Forbidden Stories Danna Ingletton, dyrektorka Amnesty Tech.

Security Lab Amnesty International ma dowody, że NSO było w stanie włamać się nawet na najnowsze iPhone’y z w pełni zaktualizowaną wersją systemu operacyjnego. Wykryło ślady włamań z lipca tego roku. „Niepokoją nas kwestie zarówno praw człowieka, jak i bezpieczeństwa, w tym szeroka proliferacja, która prowadzi do braku kontroli i nadzoru nad najbardziej agresywnymi systemami technologicznymi” – pisała w marcu Marietje Schaake, prezeska CyberPeace Institute i dyrektorka ds. polityki Cyber Policy Center Uniwersytetu Stanforda: „Działania NSO Group i innych firm nie mogą być objęte immunitetem i co za tym idzie – bezkarnością”.

W lutym tego roku Amnesty International doniosło, że aktywiści praw człowieka w Wietnamie byli atakowani przez oprogramowanie szpiegowskie pochodzące od nieznanej organizacji, której śledczy nadali kryptonim „Ocean Lotus”. Inne dochodzenia powiązały oprogramowanie FinSpy firmy Gamma Group z próbami monitorowania opozycjonistów przez rząd Bahrajnu. Zidentyfikowano też obecność oprogramowania na serwerach Turkménistanu. DarkMatter z kolei stworzyło własny komunikator, ToTok, który w rzeczywistości szpiegował użytkowników.

„Jeśli jestem producentem samochodów, a ktoś po pijanemu potrąci moim samochodem człowieka, to nie idzie się z pretensjami do producenta, tylko do kierowcy – broni się NSO Group w swoim nowym oświadczeniu. – Przekazujemy ten system rządowi. Robimy wszystko legalnie. Oskarżenia i wskazywanie palcem powinny być wymierzone w klienta”.

Analiza pochodzących z wycieku danych pozwoliła zidentyfikować co najmniej dziesięć rządów będących klientami NSO. Są wśród nich Azerbejdżan, Bahrajn, Kazachstan, Meksyk, Maroko, Rwanda, Arabia Saudyjska, Węgry, Indie i Zjednoczone Emiraty Arabskie. A lista ta z pewnością jest niepełna. Samo NSO przyznaje, że ma pozwolenia izraelskiego rządu na eksport swojego oprogramowania do łącznie 45 państw.

© AGATA KAŻMIERSKA
I WOJCIECH BRZEZIŃSKI



ATLANTA: JOURNAL-CONSTITUTION / ASSOCIATED PRESS / EAST NEWS

Upamiętnienie Gene'a Sillera, golfisty zastrzelonego w Pinetree Country Club w Kennesaw w stanie Georgia, 9 lipca 2021 r.

Nasza broń święta

MARTA ZDZIEBORSKA

W zmęczonych pandemią Stanach Zjednoczonych rozprzestrzenia się wirus przemocy – codziennie od kul ginie już 55 Amerykanów.

GENE SILLER NIE DOCZKAŁ SWOICH czterdziestych siódmych urodzin. Zaledwie cztery dni wcześniej, w sobotę 3 lipca, został zastrzelony na polu golfowym na przedmieściach Atlanty, stolicy stanu Georgia.

Można by powiedzieć, że golfista z Atlanty miał pecha: znalazł się w nieodpowiednim miejscu i czasie. Gdy około drugiej po południu szedł w stronę dzielnicy dołka (jedną rundę rozgrywa się na osiemnastu dołkach), zobaczył jadącego z naprzeciwka białego pick-upa. Prowadzący pojazd mężczyzna oddał w jego kierunku kilka strzałów i uciekł. Jak usta-

liła potem policja, przestępca nieprzypadkowo zareagował nerwowo na widok golfisty – w swoim aucie wioził ciała dwóch mężczyzn, których uprzednio uprowadził i zabił.

Bogu ducha winny Gene Siller zginął w klubie Pinetree Country Club, gdzie jako trener i dyrektor przepracował ostatnie dwa lata swojego życia. Na ukochane pole golfowe jeździł nawet w niedziele. Regularnie uczył gry swoich dwóch synów. Siedmioletni Beau i pięcioletni Banks przyzwyczaili się do tego, że tata nałogowo oznacza piłeczki ich imionami.

Krwawy lipcowy weekend

O historii golfisty z Georgii na początku lipca rozpisywały się najważniejsze gazety w USA. Gene Siller, przypadkowa ofiara, mógł wydać się uosobieniem amerykańskiego snu: studia na prestiżowej uczelni, żona, dwójka dzieci, oszczędności na koncie – słowem: dobre, ustabilizowane życie.

Mimo to, w ciągu zaledwie kilku sekund, stał się jedną z ofiar ponad pięciuset strzelanin, do jakich doszło w pierwszy weekend lipca. Te dwa dni, towarzyszące obchodom amerykańskiego Święta Niepodległości (4 lipca), zostały już okrzyknięte najbardziej krwawymi od początku tego roku. W czasie gdy miliony Amerykanów bawiły się na uroczystych paradach i rodzinnych piknikach, w całym kraju zginęły co najmniej 223 osoby, a 618 zostało rannych.

Do przemocy z użyciem broni palnej dochodziło w sytuacjach prozaicznych: na domówkach, podczas koleżeńskich sprzeczki w pobliżu myjni samochodowej, a nawet w wyniku kłótni ➔

→ nastolatków, która zakończyła się postrzeleniem czterech osób w wieku od 6 do 16 lat. To, jak niewiele potrzeba w Stanach, aby wyciągnąć broń, pokazuje wydarzenie z Teksasu: dwóch dwudziestolatków wygrażało tam pracownikowi McDonalda pistoletem, bo... do stali przesolone frytki.

W ten świąteczny weekend najbardziej brutalnie było na ulicach Chicago i Nowego Jorku – doszło tam do, odpowiednio, 69 i 29 strzelanin. W nowojorskiej metropolii, gdzie od zeszłego roku liczba incydentów z użyciem broni palnej wzrosła aż o 38 proc., niebezpiecznie bywa nawet na kultowym placu Times Square. Od maja doszło tam do dwóch strzelanin, w wyniku których raniono cztery osoby, w tym czteroletnią dziewczynkę.

W związku z gwałtownym wzrostem przestępczości gubernator stanu Nowy Jork Andrew Cuomo ogłosił na początku lipca stan wyjątkowy i zapowiedział, że na programy przeciwdziałania przemocy przeznaczy prawie 139 mln dolarów. „Obecnie więcej ludzi umiera od kul niż z powodu covidu” – alarmował gubernator, tłumacząc, że w całym stanie w weekend 3 i 4 lipca było 51 ofiar strzelanin. Z powodu covidu zmarło w tym czasie 13 osób.

Dwadzieścia tysięcy

Rosnąca liczba strzelanin w dużych miastach to część ogólnokrajowego zjawiska.

Według danych FBI w 2020 r. w Stanach odnotowano o 25 proc. więcej zabójstw z użyciem broni palnej niż rok wcześniej. Od kul zginęło niemal 20 tys. Amerykanów – to najwyższe statystyki od co najmniej dwóch dekad. Tegoroczne dane wyglądają równie przygnębiająco: do połowy lipca w całym kraju odnotowano 355 masowych strzelanin, czyli takich, w których ucierpiały co najmniej cztery osoby. Szacuje się, że od kul zginęło już prawie 11 tys. Amerykanów, średnio 55 osób dziennie.

Amerykańscy eksperci wskazują, że spirala przemocy z użyciem broni palnej zaczęła nakręcać się od kwietnia 2020 r., gdy w wyniku pandemii i wprowadzanych lockdownów pracę straciły miliony Amerykanów.

Skutki kryzysu epidemicznego najbardziej dotkliwie odczuły mniejszości etniczne, wśród których przemoc z użyciem broni palnej już wcześniej była sporym problemem. Szczególnie narażeni na zejście na złą drogę byli nastolatkwie

Broń palną ma już 39 proc. gospodarstw domowych

w USA, a do zakupowego boomu dochodzi po każdym większym ataku z jej użyciem.

z biednych dzielnic. Ze względu na pandemię stracili istotne wsparcie: skazani na naukę zdalną, nie mogli korzystać z zajęć sportowych w szkole oraz programów socjalnych i antyprzemocowych.

„Zlikwidujemy policję!”

Społeczne niepokoje czasów epidemii dodatkowo podsycała śmierć czarnoskórego George’a Floyd’a. Na fali gniewu po brutalnej interwencji policji w Minneapolis na ulicach wielu amerykańskich miast zapanował chaos. Przy okazji antyrasistowskich demonstracji dochodziło do zamieszek, grabieży sklepów, a także oddolnego demontowania pomników np. generałów Konfederacji z czasów wojny secesyjnej, którzy wspierali niewolnictwo.

Niektórzy eksperci wskazują, że w zaprowadzeniu porządku na ulicach nie pomagały postulaty uszczuplenia, a nawet zlikwidowania służb policyjnych. W wyniku nacisków ze strony antyrasistowskich aktywistów w ok. 50 miastach, w tym w Nowym Jorku, Los Angeles i San Francisco, obcięto środki na działanie policji i zredukowano jej szereg.

Dziś, ponad rok po rozpoczęciu protestów Black Lives Matter, lokalne władze robią krok w tył i po cichu zwiększają fundusze na walkę z przestępczością.

Mama kupuje spluwę

Nakręcający przemoc chaos siedl w parze z gwałtownym wzrostem sprzedaży broni palnej. Tylko w 2020 r. zakupiono ponad 23 mln sztuk broni, czyli 65 proc. więcej niż zwykle. Zakupową gorączkę wywołały nie tylko kryzys epidemiczny i antyrasistowskie protesty, ale także strach przed anarchią po listopadowych wyborach prezydenckich. Sytuacji nie ułatwiał ubiegający się o reelekcję Donald Trump, który już na długie tygodnie przed głosowaniem mówił o rzekomych fałszerstwach wyborczych i sugerował, że

w przypadku „skradzionego” wyścigu tak szybko się nie podda.

Wybuchowa pandemiczna mieszanka sprawiła, że swój pierwszy w życiu pistolet kupiła rekordowa liczba Amerykanów, w tym kobiety i mniejszości etniczne: Latynosi, Afroamerykanie i Azjaci. Według wycień dziennika „New York Times” świeżo upieczeni „rewolwerowcy” stanowili w zeszłym roku aż jedną piątą kupujących.

Na pierwszy w życiu zakup broni zdecydowała się także cytowana przez Agencję Reutera czarnoskóra Andreyah Garland z miasteczka Fishkill w stanie Nowy Jork. Matka wychowująca samotnie trójkę dzieci kupiła sobie strzelbę i zapisała się na kurs strzelecki. Jej nowym zwyczajem stały się wyprawy do popularnego supermarketu Walmart, gdzie kilka razy w tygodniu poluje na zapasy amunicji. Dziennikarzowi tłumaczyła, że odkąd w USA zapanowała „rewolwerowa gorączka”, półki z amunicją często świecą pustkami.

„Amerykanie uczestniczą we własnym wyścigu zbrojeń. Już na początku pandemii wykupowali broń palną tak samo chętnie jak papier toaletowy” – przekonuje cytowany przez „New York Timesa” Marqueece Harris-Dawson. Ten przedstawiciel rady miejskiej w Los Angeles wie, co mówi: w Kalifornii sprzedaż pistoletów w 2020 r. wzrosła aż o 65 proc.; podobnie jest w całych Stanach.

Jak zabić seksoholizm

Szacuje się, że broń palną posiada już 39 proc. amerykańskich gospodarstw domowych, a do zakupowego zrywu dochodzi po każdym większym ataku z jej użyciem.

Nie inaczej było w marcu tego roku, gdy świat obieży doniesienia o strzelaninach w salonach masażu w Georgii i supermarkecie w Colorado. Serwis CNN informował wówczas, że w ciągu zaledwie miesiąca o jedną trzecią wzrosła liczba wniosków o tzw. *background checks*, czyli wymagane przy zakupie broni przesiewanie przeszłości nabywców. Taką procedurę w marcu rozpoczęło ok. 4,7 mln Amerykanów.

A że pistolet w Stanach można kupić bardzo łatwo, pokazuje przykład 21-letniego Roberta Aarona Longa, który w salonach masażu w Georgii zabił osiem osób. Chłopak kupił broń tuż przed strzelaniną, a sama procedura zajęła mu zaledwie parę minut. Było to możliwe dzięki

stanowym przepisom, które zezwalają na taki zakup od ręki, bez kilkudniowego okresu oczekiwania, jaki obowiązuje np. w Kalifornii, Illinois czy na Florydzie.

Po aresztowaniu Longa w mediach zaoroiło się od spekulacji, czy gdyby w Georgii obowiązywały większe restrykcje, to może 21-latek zdążyłby ochłoniąć i porzucić swoje makabryczne plany. Tym bardziej że w dniu strzelaniny chłopak był w złym stanie psychicznym: noc wcześniej rodzice wyrzucili go z domu za to, że godzinami oglądał w internecie pornografię. Wychowany w konserwatywnej baptystycznej rodzinie, Long walczył z obsesją na temat seksu i spędził kilka miesięcy w ośrodku terapii uzależnień. Przekonywał potem policję, że nie bez powodu zaatakował salony masażu: według niego jest to siedlisko zła, które wiedzie innych na pokuszenie.

Złóż sobie karabin

W reakcji na tegoroczne strzelaniny prezydent Joe Biden mówi już o „epidemii przemocy” i podejmuje wysiłki, by ją zatrzymać. W ostatnich miesiącach zapowiedział m.in. walkę z nielegalną sprzedażą broni w dużych miastach, chce też karać autoryzowanych sprzedawców przemykających oko na przeświechtanie przeszłości kupujących; planuje również ukrócić handel tzw. bronią widmo. W tym ostatnim przypadku chodzi o dostępne na rynku zestawy do samodzielnej konstrukcji, z których można złożyć np. karabin maszynowy bez numerów seryjnych – i bez konieczności składania wniosku o *background check*.

Aby skuteczniej walczyć z przestępczością, prezydent Biden zachęca również władze lokalne do zatrudniania większej liczby policjantów i wprowadzania tzw. prawa czerwonej flagi. To obowiązujące już w 19 stanach przepisy, które umożliwiają sądom tymczasową konfiskatę broni należącej do osoby, która zostanie uznana za zagrażającą sobie lub innym.

Spór bez końca

W kwestii zwiększenia kontroli nad dostępem do broni palnej prezydent USA może jednak zaskakująco mało. Za wprowadzanie kluczowych restrykcji w tej sferze odpowiadają bowiem władze stanowe oraz uchwalający federalną legislację członkowie Kongresu. Ci ostatni pozostają głusi na apele, aby załatać luki prawne, dzięki którym przeświechtanie na-

bywców nie jest wymagane w przypadku sprzedaży online lub na targach broni.

Wprawdzie stosowna ustawa dotycząca tej kwestii została przegłosowana w marcu przez Izbę Reprezentantów, ale nic nie wskazuje na to, aby udało się to w Senacie. A to za sprawą republikańskich polityków oraz wpływowego w USA lobby na rzecz broni palnej, które od lat skutecznie blokuje wszelkie próby reform. Do rozszerzenia obowiązku przeświechtania nabywców nie doszło nawet po masakrze w podstawówce Sandy Hook w Connecticut w 2012 r., gdy dwudziestolatek zastrzelił sześć nauczycielek i dwadzieścioro uczniów pierwszej klasy.

Wysiłki na rzecz ograniczenia dostępu do broni palnej to w USA niekończąca się historia: podczas gdy aktywiści i politycy Partii Demokratycznej apelują o reformy, konserwatyści powołują się na prawo do samoobrony i wykorzystują fakt, że o wszystkim i tak zadecydują reprezentanci kilku słabo zaludnionych republikańskich stanów. Dzieje się tak, gdyż w Senacie do uchwalenia ustawy potrzeba poparcia 60 senatorów, czyli co najmniej dziesięciu Republikanów pochodzących ze stanów, gdzie dostęp do broni palnej jest uważany niemalże za rzecz świętą.

Grzywna dla szeryfa

Kult rewolwerów na amerykańskiej prowincji jest tak powszechny, że niektóre miasta i hrabstwa ogłaszają się mianem „sanktuariów drugiej poprawki”, chroniących posiadaczy broni przed restrykcjami federalnymi (druga poprawka do konstytucji interpretowana jest jako gwarancja do posiadania broni palnej przez obywatela). Ten swego rodzaju ogólnokrajowy ruch nasilił się, odkąd prezyden-

tem został Joe Biden, polityk Partii Demokratycznej – tylko w ostatnich miesiącach status „sanktuarium” ogłosiły władze Montany i Arizony.

„New York Times” alarmuje, że już co najmniej osiem stanów wprowadziło też specjalne wytyczne, które mają zniechęcać lub wręcz zakazywać policji stosowania przepisów federalnych, jeśli można zinterpretować je tak, iż naruszają drugą poprawkę do konstytucji. Np. w Missouri za stosowanie się do niektórych regulacji federalnych szeryfom i policjantom grozi 50 tys. dolarów grzywny (*sic!*).

To, jaką logiką rządzą się Republikanie i ich zwolennicy, pokazuje fakt, że gdy w USA dochodzi do masakry z użyciem broni palnej, konserwatywne stany dążą do poluzowywania restrykcji – argumentując, że trzeba zapewnić obywatelowi prawo do samoobrony. I tak w ostatnich miesiącach w Montanie zezwolono na noszenie pistoletów na kampusach uniwersyteckich, a w Teksasie umożliwiono przechowywanie broni w pokojach hotelowych.

Najgłośniejszym echem w Stanach odbiło się wprowadzenie przepisów umożliwiających noszenie pistoletów w miejscach publicznych bez odpowiedniego pozwolenia. Takie nowe prawo – uchwalone w tym roku m.in. w Teksasie, Iowa i Tennessee – przevorsowano wbrew oporowi wielu policjantów i szeryfów, którzy przestrzegają przed jeszcze większym wzrostem przemocy na ulicach.

A pomyśleć, że to wszystko dzieje się w kraju, gdzie nawet błaha kłótnia o przesolone frytki może doprowadzić do wygrazania bronią. Ameryce, już zmagającej się z rekordową falą zabójstw, nie wróży to dobrze.

© MARTA ZDZIEBORSKA

POŻEGNANIE

Zawiadamiam, że pogrzeb

Janusza Szubera

odbędzie się 2 sierpnia 2021 r. o godzinie 14.00 w Sanoku,
na cmentarzu Centralnym przy ul. Rymanowskiej.

Urna z prochami będzie wystawiona w kaplicy cmentarnej
od godz. 13.00, a o godz. 14.00 odbędzie się msza święta.

SIOSTRA GRAŻYNA JAROSZ

BITWA O WARSZAWĘ trwa od sześciu tygodni, gdy 10 września 1944 r. Armia Czerwona podejmuje ofensywę w celu zajęcia prawobrzeżnej części stolicy. Z obawy przed desantem Niemcy postanawiają odciąć powstańcom dostęp do Wisły.

12 września na południowym Powiślu, zwanym Czerniakowem, zaczynają się ciężkie walki. Dowodzący tu ppłk Jan Mazurkiewicz „Radostaw” koncentruje oddziały AK między ulicami Okrąg, Czerniakowską i Zagórną. W kolejnych dniach na lewy brzeg przeprawiają się z Pragi grupy żołnierzy 1. Armii WP. Okupiony wielkimi stratami desant nie poprawia położenia powstańców. Na końcu bronią ruin przy ul. Wilanowskiej 1 oraz Solec 53. W końcu 23 września Czerniaków pada. Powstańcy, którzy nie przeszli kanałami na Mokotów, nie przebili się do Śródmieścia lub nie przepłynęli Wisły, trafiają do niewoli. Niemcy mordują kilkuset rannych.

LATEM 2021 ROKU w parku między Czerniakowską, Wilanowską i Solcem pachną lipy. Na placu zabaw w stońcu jest niewiele dzieci. Ludzie gromadzą się raczej nad brzegiem Wisły, gdzie są stoiska ze street foodem i leżaki. W parku jest cicho i spokojnie. O historii tego miejsca świadczą nazwy alejek: imienia Zgrupowania AK „Kryśka” czy Andrzeja Romockiego „Morro”. Na ul. Okrąg 2, gdzie mieściło się dowództwo batalionu „Kryśka”, a potem sztab „Radostawa”, tablica opisuje historię budynku. Trochę dalej kamień w miejscu, gdzie 23 września padł Jerzy Gawin „Stoń” z batalionu „Zośka”, jeden z wielu.

CZYMŚ NIEREALNYM w taki dzień wydaje się to, co się tutaj dzieło. Trudno nałożyć siatkę relacji na park, kilka ulic, lodziarnię, sklep warzywny. Tylko starszy pan na ławce przygląda mi się, gdy stoję przed kolejnym pomnikiem, jakby chciał coś powiedzieć. Ale uśmiecha się tylko i znów opiera brodę na dłoniach, skrzyżowanych na łasce.

WŚRÓD TYCH, KTÓRZY TU MIESZKALI w czasie wojny, był Jacek Fedorowicz. Na Powiśle wrócił 20 lat później i zamieszkał wraz z żoną, malarką Anną Fedorowicz z domu Rytel (w rodzinie zwaną Hanką) – kilkaset metrów od piwnicy, w której się chronił. Zapytał ich o powstanie i jego wpływ na ich życie.

© PATRYCJA BUKALSKA

NASZE POWSTANIE

HANKA I JACEK FEDOROWICZOWIE:

Tutaj na każdym kroku coś się działo, patrzyliśmy na to oczami dzieci. I to wszystko wraca, do dziś.

HANKA FEDOROWICZ: Nie pamiętam, która to była rocznica. Wysłałam na późny spacer z psem, tu, do parku. Zaniemówiłam. Nawet teraz chce mi się ryczeć... Zobaczyłam mnóstwo światełek [było to upamiętnienie przygotowane przez Muzeum Powstania Warszawskiego – red.]. Zaczęłam chodzić od jednego do drugiego. To były nieregularnie ustawione, zbite z wąskich listewek krzyże, a pod nimi małe świece. Czasem podano nazwisko, pseudonim, czasem tylko „NN”.

JACEK FEDOROWICZ: Jedno światełko – jeden człowiek.

HF: Przedzierał się od szpitala przez Czerniakowską i dalej w kierunku Rozbratu. To miejsce krzyczało.

PATRYCJA BUKALSKA: W tym rejonie Powiśla doszło do niebywałego skondensowania tragedii: cywilów, powstańców desperacko broniących ostatnich pozycji z nadzieją na pomoc zza Wisły, żołnierzy armii Berlinga próbujących im pomóc.

Wszystko w obrębie kilku ulic. Pan tu wtedy mieszkał, jako siedmiolatek?

JF: Tak, ale nie byłem świadkiem tych ostatnich wydarzeń. Nie wiem, czy to przecucie, czy jakaś informacja sprawiła, że dorośli w mojej rodzinie uznali, iż nadchodzi koniec Powiśla i trzeba uciekać do centrum. Wyruszyliśmy 10 lub 11 września. Pierwszy postój mieliśmy w szpitalu, spędziliśmy tam noc przed przekroczeniem Rozbratu. Następnego dnia pięliśmy się pod górę ulicą Książęcą. Trasa,

która potem zajmowała mi parę minut, wtedy zajęła nam dobę. Podobno byliśmy ostatnią grupą cywilów, która opuściła Powiśle tą drogą.

Wyjaśnijmy, że jak na tamte warunki była to trasa komfortowa, regulowana przez powstańców. Wszystko robiliśmy na sygnał akowca, który stał na szczycie schodów i wołał: „Walcie na górę!”. Potem na wysokości placu Trzech Krzyży przeszliśmy przez Książęcą z jednej strony na drugą. Mieliśmy postój w sklepie spożywczym na rogu z Nowym Światem i potem biegliśmy, kryjąc się za barykadą. Mając może z metr wzrostu, jeszcze bardziej się kuliłem, bo szedł ostrzał z dachu BGK. Przebiegliśmy na plac Trzech Krzyży i poczuliliśmy, że jesteśmy w bezpiecznym świetle.

Przebiegał Pan za barykadą z mamą czy sam?

JF: Z mamą. Ona miała zdumiewająco optymistyczne usposobienie: gdy przebiegałem, nie mogła pohamować śmiechu. Według niej ten ukochany jedyny syn, kulący się przed ostrzałem, wyglądał przezabawnie (*śmiech*). Nie mogła uwierzyć, że coś tak małego jeszcze się kuli.

Prócz mamy był Pan z dziadkami.

W 1939 r. Pana ojciec bronił Gdyni i trafił do niemieckiego obozu jenieckiego.

JF: To była typowa podstawowa komórka społeczna inteligencji czasów okupacji, złożona z najstarszych dwojga, czyli



MACIEJ ZIENKIEWICZ DLA „JP”

Hanka i Jacek Fedorowiczowie w parku na Powiślu, Warszawa, lipiec 2021 r.

dziadków – dziadek był za stary, by iść do wojska – oraz ze słomianych wdów, których mężowie poszli na wojnę i siedzieli w obozach jenieckich, czyli mojej mamy i jej starszej siostry. Oraz służącej i mnie.

HF: Służącej?!

JF: Wtedy tak się mówiło i nie miało to negatywnego wydźwięku. Byliśmy wszy-

scy jak rodzina, dzieliliśmy się każdym kęsem jedzenia.

W tej Waszej drużynie każdy miał swój bagaż i zadanie.

Pan również?

JF: Tak, cały mobilny majątek rodzinny, czyli złote pięciorublówki, tzw.

świnki – najpewniejsza wtedy waluta – zmieścił się w mojej zabawce, małym piesku typu terier.

HF: Nie, to mój piesek był typu terier! Nie mogliśmy mieć takich samych zabawek! (*śmiech*)

JF: Ale są zdjęcia! Wyglądał jak biały terier! Ściszałem go kurczowo, a pomysł →

→ na ukrycie w nim pieniędzy okazał się skuteczny. Nieświadomy niczego wyniosłem je z powstania. One pozwoliły naszej rodzinie utrzymać się aż do zajęcia Warszawy przez Armię Czerwoną.

HF: Jedną z tych pięciorubłówek dostaliśmy jeszcze w prezencie ślubnym.

JF: W naszej historii jest mnóstwo takich zbiegów okoliczności. Choćby coś takiego: przez całe powstanie moja przyszła żona była zaledwie kilometr ode mnie. Tyle że dzieliła nas Wisła. A dziś mieszkamy od wielu lat, od 1965 r., w miejscu, w którym wtedy tak wiele się działo. Nie dlatego, że tak wybraliśmy.

HF: Przypadek zdecydował.

JF: Raczej spółdzielnia mieszkaniowa. Zaproponowała nam taką lokalizację. Zdumiewającą, bo okazało się, że nasze mieszkanie będzie na ulicy Okrąg, dwieście metrów od piwnicy, w której spędziłem pierwsze dni powstania, sto metrów od domu przy Wilanowskiej, gdzie w czasie okupacji mieszkała matka Jana Nowaka-Jeziorańskiego, a okresowo i on sam – kiedyś nam powiedział, że stąd wyszedł do powstania – i 250 metrów od miejsca, gdzie Jan Rocki, mój przyszły kolega w tygodniku „ITD”, omal nie został zamordowany w szpitalu powstańczym. Teraz po tym szpitalu nie ma śladu, jest tam Wisłostrada i nasz park. Tu na każdym kroku są takie myśli, wspomnienia, czyjeś opowieści.

Pani mieszkała z mamą na Saskiej Kępie. Mama była w AK...

HF: Oboje rodzice byli w AK, ale ojciec zmarł tuż przed powstaniem. Pamiętam, że na pogrzeb poszłam zapłakana, bo nie chciałam założyć takiego białego kapelusika typu piotruś, a mama wciskała mi go na głowę. Bardzo kochałam ojca. Całe życie mi go brak, a jednak tamtego dnia problemem był ten idiotyczny kapelutek...

Co działo się z Panią i mamą, gdy wybuchło powstanie?

HF: Mama przysięgała ojcu tuż przed jego śmiercią, że mnie nigdy nie zostawi samej, nie mogła więc iść do powstania. Zostałyśmy na Saskiej Kępie. Wydaje mi się, że mama miała do mnie o to ogromny żal.

Nie pamiętam, jak wyszłyśmy 1 sierpnia z domu... Pamiętam, że znalazłyśmy się w jakiejś piwnicy, gdzie był szpital polowy, w którym mama zaraz zaczęła pracę.



*Z pieskiem. Jacek, ok. 1941–1942 r.
Obok: Hanka (przed domem na Dąbrowieckiej), prawdopodobnie 1940–1941 r.*

Mój świat przedpowstaniowy to była ul. Dąbrowiecka do rogu ul. Obrońców, gdzie był sklep państwa Karbowiaków. Chodziłam tam po różne zakupy, głównie cukierki. To był jeden kierunek w moim świecie. Drugi to ul. Francuska, gdzie były różne sklepy i gdzie chodziłam z mamą.

W domu byłam bardzo kochana. Ojciec bardzo to okazywał, mama była bardziej powściągliwa. Lubili mnie sąsiedzi, przyjaźniłam się z innymi dziećmi. Jedną z moich koleżanek była Danusia, mieszkała w sąsiednim domu, jej mama, pani Marianowa, była tam dozorczynią. Danusia była od nas starsza i straszyla nas duchami. I to było fascynujące, wprowadzało takie napięcie. Nie to, że Niemcy, że bomby – to duchy były straszne! Taki był wtedy mój świat i moje, mimo wojny, szczęśliwe dzieciństwo.

JF: Trochę upraszczasz, przecież mieliście w domu skład broni i ty tę broń zobaczyłaś.

HF: Dzieci wiedzą więcej, niż sądzą rodzice. Rodzice byli zajęci chowaniem tej broni i widać nie sądzili, że mogę wstać w nocy i coś podpatrzeć. Wydaje mi się też czasem, że widziałam likwidację podziemnej drukarni na Francuskiej, ci akowcy tak bardzo się bronili... Ale przecież mama nie pozwoliłaby mi na to patrzeć, więc może to sobie wymyśliłam? Dziwne są wspomnienia dziecka, nie które rzeczy widzę tak wyraźnie.

Za to z całą pewnością pamiętam, że w tej piwnicy, gdzie był szpital, robiłam sobie z węgla, z takich płaskich brył węgla, własne miejsce oddzielone od reszty. W tej mojej wydzielonej części miałam

swój świat. Tak bezpieczny, jakbym go wyniosła z Dąbrowieckiej. I do niego zapraszałam inne piwniczne dzieci.

Mama była pielęgniarką?

HF: Wyszkoloną pielęgniarką instrumentariuszką, więc pracowała przy operacjach. Rzadko do mnie przychodziła, bo ciągle coś się działo, ciągle były krzyki. Miałam zabawkę, pieska – takiego, jak mówił Jacek. Jego przytulałam, miałam przygody. Też był wypełniony rodzinnymi cennosciami.

Którejś spokojniejszej niedzieli poszliśmy do kościoła na mszę. Było dużo ludzi. Nagle zaczął się nalot. Kościół się trząsł, sypało się szkło, zaczynała się panika. I wtedy... huknęły organy. „Boże coś Polskę” zaintonował Ignacy Dygas, śpiewak. Wspaniałym silnym głosem zapanał nad tłumem. Jacek mówi, że z powstania pamięta dźwięki. Ja też ciągle słyszę, jak śpiewa Dygas. Przed powstaniem my, dzieci, nazywałyśmy go Pan Zielony, nie wiem dlaczego. Jego śpiew zagłuszył bomby. Ludzie dołączyli do śpiewu, uspokoił się.

JF: Też mam łzy w oczach, to jest to patriotyczne wychowanie, które nam całe życie naznaczyło.

HF: Pamiętam rannego chłopaka, który jakimś cudem przeplątał Wisłę na naszą stronę. Był bardzo postrzelany, ludzie przynieśli go do szpitala. Modliliśmy się całą noc, ale nie przeżył. Pochowano go następnego dnia. Ten grób był, nie wiem czemu, taki piaszczysty. Nie wolno nam było tam chodzić, bo waliła „krowa” [niemiecka wyrzutnia raketowa – red.], ale mimo to my, dzieci, zanosiliśmy tam ja-

rzębiny, żeby nimi ozdobić tę piaszczystą górkę. Polubiłam tego chłopaka i czułam się z nim związana.

Szpital działał do końca walk?

HF: Wydaje mi się, że tak. Któregoś ranka ktoś zawołał: „Zobaczcie, idą!”. Wyrzeliśmy przez piwniczne okienka i to był widok niesamowity, jak z Szekspira, gdy idzie las [las Birnam w „Makbecie” – red.]. Szedł ku nam szary horyzont. Było w tym coś strasznego, złowieszczego.

Chodzi o Armię Czerwoną?

HF: Tak, mam taki kadr w pamięci: horyzont, który ku nam idzie. Bałam się. To był mój pierwszy wielki strach.

JF: „Czekamy na ciebie, czerwona zarazo / byś wybawiła nas od czarnej śmierci”...

...to fragment wiersza powstańca Józefa Szczepańskiego ps. „Ziutek”. Napisał go 29 sierpnia 1944 r., zginął kilkanaście dni później.

HF: Potem poszliśmy z mamą piechotą do Radości, tam byli przyjaciele, u których mogliśmy się zatrzymać.

JF: Jak słucham Hanki, uświadamiam sobie, że ludziom, którzy tego nie przeżyli, trudno uwierzyć, że w czasie powstania było wiele dni spokojnych, cichych, słonecznych. Wszystko zależało od tego, gdzie kto mieszkał. A parę ulic dalej mogło być piekło. U nas to piekło zaczęło się po 10 września, wcześniej było w miarę spokojnie.

Pamięta Pan pierwsze dni sierpnia?

JF: Pamiętam wybuch powstania. Godzinę szesnastą. Wiem, że oficjalna to siedemnasta, ale pamiętam szesnastą [w różnych częściach Warszawy do potyczek dochodziło wcześniej – red.]. Usłyszeliśmy strzały. Początkowo starsi byli niezdecydowani, czy schodzimy na stałe do piwnicy, czy tylko czasem będziemy tam schodzić. Stopniowo zamieszkaliśmy w piwnicy. Było spokojnie, ale też niespokojnie, bo od początku od strony ul. Frascati ostrzeliwano fasadę naszego domu przy ul. Czerniakowskiej 202/204. Organizowano przy oknach dyżury lokatorów, którzy ostrzegli osoby mogące wejść w strefę ostrzeliwaną. Pamiętam też, że na podwórku kopaliśmy studnię.



Jacek z mamą, Gdynia, 1947 r.

Jak potoczyły się losy Pana rodziny po przejściu do Śródmieścia?

JF: W Śródmieściu co i rusz uciekaliśmy do jakiegoś spokojniejszego miejsca, a za chwilę piekło nas doganiało. Nasz pierwszy przystanek był na ul. Żurawiej 1. Chwila spokoju i nastąpił atak. Udało nam się zwać na Wspólną, po czym nastąpiła pacyfikacja Wspólnej, tośmy uciekli na Kruczą. Mówię o odcinkach kilkusetmetrowych. Krucza była oazą spokoju, po czym znów uciekliśmy kawałek dalej, na Koszykową 39. Tam dotrwaliśmy do końca.

Tak jak Hanka pamięta kadr jak z „Makbeta”, tak ja pamiętam dźwięki. Może dlatego, że jako człowiek ze słabym wzrokiem, zezowaty, w okularach (*śmiesz obojga*), od zawsze byłem wyczulony na dźwięki. Tym, co wbiło mi się w pamięć, był dźwięk „krowy”.

HF: Wszyscy go pamiętamy, on budził niesamowite napięcie.

JF: Nie umiem powtórzyć tego dźwięku.

HF: To było takie piłowanie.

JF: Najpierw było jakby sześć nakręceń zegara – tak sobie to wyobrażałem jako dziecko. „Eins, zwei”... Potem kilka sekund, czyli całe wieki, ciszy. I grozy, bo wiedzieliśmy, że zaraz walnie, ale nie wiedzieliśmy, czy w nas. To było najgorsze.

Jako dorosły broniłem się przed wspomnieniami z powstania i nie chciałem także dowiadywać się więcej, cały organizm mi się przed tym bronił. Do tego stopnia, że dopiero teraz, na starość, przeczytałem o tej „krowie” i dowiedziałem się, że to, co zapamiętałem jako nakręcanie, to były wystrzały. Pociski wylaływały i za chwilę padały.

Lęk przed „krową” łączył się z lękiem przed zasypaniem...

JF: Obok lęku przed „Ukraińcami” to był mój drugi paniczny lęk w powstaniu. Nie tylko mój zresztą. Jeszcze na Czerniakowskiej, na początku piekła powieślańskiego, pocisk spadł na naszą oficynę i zmiotło cztery piętra. Za to na Żurawiej 1 w pewnym momencie łupnęło, zrobiło się ciemno, wrzask: „Zasypało nas!”. Ale okazało się, że nie. Strach jednak był cały czas, choć muszę powiedzieć, że w Śródmieściu mniejszy, bo tam była sieć przebić w piwnicy do piwnicy i można było się ewakuować w razie zasypania.

Zrobiło to na mnie wielkie wrażenie, bo starsi dokopali się do wody w dwie-trzy godziny.

Kolejnym wydarzeniem był powrót wujka Janusza Schmidta, 10 sierpnia. Wkrótce zginął i to dosłownie na mnie: wujek miał kawę – jeszcze była! – na górze schodów, gdy nagle coś łupnęło. Zdażył zbiec na dół i krzyknąć: wszyscy z piwnic na korytarz. Usiadł obok i osunął się na mnie. Myślałem, że to żart, a on umarł. Dostał chyba odłamkiem.

Jednak największe wrażenie w czasie powstania zrobiło na mnie inne wydarzenie. Zostało we mnie na cały życie.

Co się stało?

JF: Ktoś rzucił słowo „Ukraińcy” [tak określano zbiorowo żołnierzy z oddziałów w służbie niemieckiej, złożonych z byłych obywateli Związku Sowieckiego – red.]. W czasie powstania to była najgorsza wiadomość. Ktoś to powiedział i zapanował potworny strach. Byłem na trzecim piętrze, w naszym mieszkaniu, do którego czasem zaglądaliśmy. Widziałem tylko ręce na poręczy schodów, kogoś, kto wchodzi powoli, krok za krokiem. Ogarnął mnie śmiertelny strach. Byłem pewny, że nas wszystkich zabiją. A okazało się, że to nasi, akowcy. Ale ten strach pamiętam do dziś.

Potem ci akowcy mieli zbiórkę przy studni na podwórku. Jedna z dziewcząt schodziła z góry i była dumna, że ustrzeżliła Niemca. „No tak, ona dumna, że ustrzeżliła, a teraz na nas będą się Niemcy mścić” – kąśliwie skomentowała starsza lokatorka i to był już znak, że entuzjazm cywilów wobec powstania się skończył.

→ **Pan zapamiętał dźwięki, a Pani obrazy.**

HF: Dźwięku „krowy” nie dało się nie zapamiętać. A skoro mowa o obrazach: pamiętam piękne niebieskie niebo. Takie, które sugeruje radosne wakacje. Ten błękit był nie na miejscu. Do tej pory, gdy jest błękitne niebo bez jednej chmurki i słyszę samolot, wraca do mnie tamto.

Na Powiślu zamieszkali Państwo w 1965 r. A czy wcześniej, po zakończeniu wojny, był Pan w tej części Warszawy? Czy zachowało się coś z Pana domu?

JF: Trafiliśmy do obozu przejściowego w Pruszkowie, a stamtąd Niemcy wywieźli nas do Koniecpola. Koniec wojny zastał dziadków i mamę w Kielcach, skąd wyruszyli do Warszawy, żeby zobaczyć, czy coś zostało, i wykopać skrytkę w murze piwnicy, gdzie schowali resztki rodzinnej biżuterii. Po wywózce nędza była straszna, mama próbowała sprzedawać pod kościołem w Kielcach robione przez siebie kuleczki kakaowe, więc cokolwiek by znaleźli w Warszawie, byłoby cenne. Ta sprzedaż nie bardzo nam pomagała, bo mama rozdawała dzieciom te kuleczki za darmo.

W Warszawie przekonali się, że skrytka jest opróżniona. Nieprawdopodobnym zbiegiem okoliczności, stojąc w piwnicy, mama spojrzała w górę, zobaczyła stertę gruzów i szklankę z naszej szafy. Całą, niestłuczoną. Zachowała się też moja nadpalona książka „Doktor Dolittle”, którą bardzo lubiłem. Prawie tak jak „Kubusia Puchatka”.

Wracając do pytania: przed rokiem 1965 świadomie unikałem tego miejsca. Do dziś bronię się przed tymi wspomnieniami, przed którymi obronić się nie mogę – np. wchodzę Książęcą pod górę i przypomina mi się ostrzał. Tu na każdym kroku coś się działo i to wraca.

Jaki wpływ miało powstanie na Państwa dorosłe życie?

HF: Na moje miało wpływ bezpośredni, może dlatego, że miałam to akowskie obciążenie rodzinne. Właściwie odczuwałam to ciągle. Wielokrotnie musiałam zmieniać szkołę, bo mama szukała pracy. Zaliczyłam osiem podstawówek. Po jakimś czasie mama wyszła ponownie za mąż, też za akowca, który trafił potem, jak wielu jego kolegów, do Wronek, jednego z najcięższych komunistycznych



Hanka w Konstancinie, pierwsza połowa lat 50.

HANKA FEDOROWICZ:

Dzieci wiedzą więcej,
niż sądzą rodzice.
Moi, zajęci ukrywaniem
broni w schowku, w naszym
mieszkaniu, nie sądzili,
że mogę wstać w nocy
i coś podpatrzeć.

więzień. Otaczał nas coraz większy ostracyzm, sięgający nawet części rodziny. Jakbyśmy były na coś chore. Ojczym wyszedł dopiero po amnestii gomułkowskiej [połowa lat 50. – red.].

Oficjalnie usunięto Panią z liceum plastycznego w Warszawie za ekstrawagancki styl ubierania, w tym za czerwone pończochy, a w rzeczywistości za ojczyma akowca w więzieniu?

HF: Oficjalnie usunięto mnie, bo nie rozwijałam się artystycznie.

JF: Bzdura! Na szczęście liceum plastyczne w Gdyni Orłowie nie uznało tej opinii.

Na Wybrzeżu spotkała się Pani z Panem Jackiem, który zresztą też studiował tam, a nie w Warszawie, z powodów politycznych. Znów los rzucił Was blisko siebie.

JF: Nie zdawałam na uniwersytet w Warszawie, bo naiwnie myślałam, że schowam się w malarstwo. Że ucieknę w sztukę, której socjalizm nie będzie aż tak kontrolował.

Rzeczywiście naiwnie, bo sytuację Pana rodziny komunizm też mocno zmienił.

JF: Dziadek, Władysław Schmidt, po wojnie został dyrektorem oddziału Banku Handlowego w Gliwicach. Ale szybko zauważył zagrożenie związane z takim stanowiskiem i przeniósł się do Warszawy na posadę zwykłego urzędnika. Tuż przedtem, zanim zaczęły się aresztowania jego kolegów, przedwojennych bankowców. Tak dotrwał do emerytury. Dziadkowie, którzy w latach 1917-21 byli w Rosji i przedarli się do Polski przez Władywostok, umieli odczytywać pewne sygnały, że robi się niebezpiecznie.

Brat Pana babci miał mniej szczęścia: był lotnikiem w Polskich Siłach Zbrojnych na Zachodzie, po powrocie został aresztowany...

JF: ...i zamordowany na Rakowieckiej w 1952 r. Nazywał się Zygmunt Sokołowski.

Czy kiedy poznaliście się w Gdyni, rozmawialiście o wojnie i powstaniu?

JF: Tak, ogromne wrażenie zrobiła na mnie opowieść Hanka, jak po wojnie na tarasie dworca kolejki w Konstancinie zbierali się akowcy, znajomi jej rodziców.

HF: To były lata 1945-46 i przez chwilę wydawało się nam, że będzie spokój. Śliczny, stary, drewniany dworzec, z bufetem, za dworcem park z różanymi alejkami, wszystko miało bajkowy wdzięk. Było tam jeszcze przedwojenne kasyno, w którym urządzano charytatywne loterie fantowe. Raz wygrałam kurę i to tak rozbawiło ojczyma, że dał mi pieniądze na kolejny los, żebym wygrała kozę. „Masz szczęście, graj!” – śmiał się, a ja się bałam, że wylosuję tę kozę.

JF: Twój ojczym jeszcze nie siedział. Były złudzenia, że to będzie normalny kraj. Tylko tych akowców, o których mówiłaś, było coraz mniej.

HF: Coraz mniej ich przychodziło, bo ich kolejno wybijano.

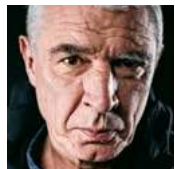
JF: To jeszcze jedna rzecz o Konstancinie: moja matka na pierwszym obiedzie jako narzeczona ojca była u przyszłych teściów w Konstancinie. A ja oświadczałam się Hance też w Konstancinie. Oboje mamy wspomnienia z tego drewnianego dworca.

©© Rozmawiała PATRYCJA BUKALSKA

ANDRZEJ

Stasiuk:

O wyższości minionego



REDAKTOR POZWOLIŁ MI WSPOMINAĆ w dalszym ciągu. To nie jest najgorsze wyjście z aktualnego impasu. Jeśli istnieją trzy stany skupienia myśli: przeszły, teraźniejszy i przyszły, to należy jednak wybrać ten pierwszy. Teraźniejszość jaka jest, każdy widzi. Przyszłość, jako podnieta dla ducha i ciała, już od jakiegoś czasu straciła swój niegdyśjszy powab. Zwłaszcza gdy się pomyśli, że będzie ona tylko mniej udaną kontynuacją dość słabej teraźniejszości. Dlaczego mniej udaną? Bo wszystko jest mniej udane. Nawet szczepionki, bo ludzie, w każdym razie ci obdarzeni światowym obyciem, większym krytycyzmem oraz ilorazem inteligencji, ich nie chcą. Muszą być gorsze. Ja natomiast – jako stary pierdoła i debil – zaszczepiłem się dwa razy i z wielką chęcią.

Niewykluczone, a nawet bardzo możliwe, że na skutek wspomnień. Po prostu pamiętam chłód dawnych gabinetów lekarskich. Z jakichś powodów zawsze były trochę chłodne. Pewnie – jak twierdziło wielu – były nieogrzone z tego powodu, że cały nasz węgiel wysyłaliśmy Roskom. No ale o tym dowiedziałem się później. Wtedy wchodziłem, pacholęcą się obnażalem i czułem tajemną rozkosz gęsiej skórki. Dłonie ówczesnych lekarzy też z jakichś względów były chłodne. Chłodne i suche. Ciepłe dłonie miały pielęgniarki. Wnętrza gabinetów były białe, a raczej żółtawe, trochę jak kość słoniowa. Zwłaszcza chłodnawe kaloryfery dość szybko nabierały tej barwy. To zapamiętałem. Leżanki miały ciemnozielone obicia z ciemnozielonej tzw. dermy. Też były lodowate w dotyku. Jak w autobusach. Lekarze byli raczej milkliwi. Rzadko gaworzyli do dzieci. Matkom udzielali krótkich napomnień albo pocieszeń oraz informacji, co i jak dawkować. Czyli chłód, autorytet, pewien rodzaj tajemnicy. Mnie się to podobało. Może i więcej ludzi umierało w tamtych czasach z powodów medycznych, ale umierali na pewno z większą ufnością. Tak, lubiłem to. Niewykluczone, że moja dziecięca osobowość była na wskroś autorytarna. Ale to było szczęśliwe pokolenie i nie znało słowa „trauma”.

Dzisiaj lekarze chyba tłumaczą w długich wywodach, na co ich pacjenci ewentualnie umrą albo nie umrą. Oczywiście połowa, jeśli nie większość, nic z tego nie rozumie. Traktuje jednak frajerską uprzejmość medyków jako zaproszenie do dyskusji jak równy z równym. Wracają potem z poważnymi minami, siadają bez zaproszenia i od razu: „Panie doktorze, czytałam/em w necie, że zdania na temat tego, co pan mówi o mojej śmierci albo odwrotnie, są całkowicie podzielone, a nawet sprzeczne z pana diagnozą...”. Dzisiejszy lekarz musi jednak zachować spokój i może tylko powiedzieć: „Chciałaby pani/pan o tym porozmawiać?”.

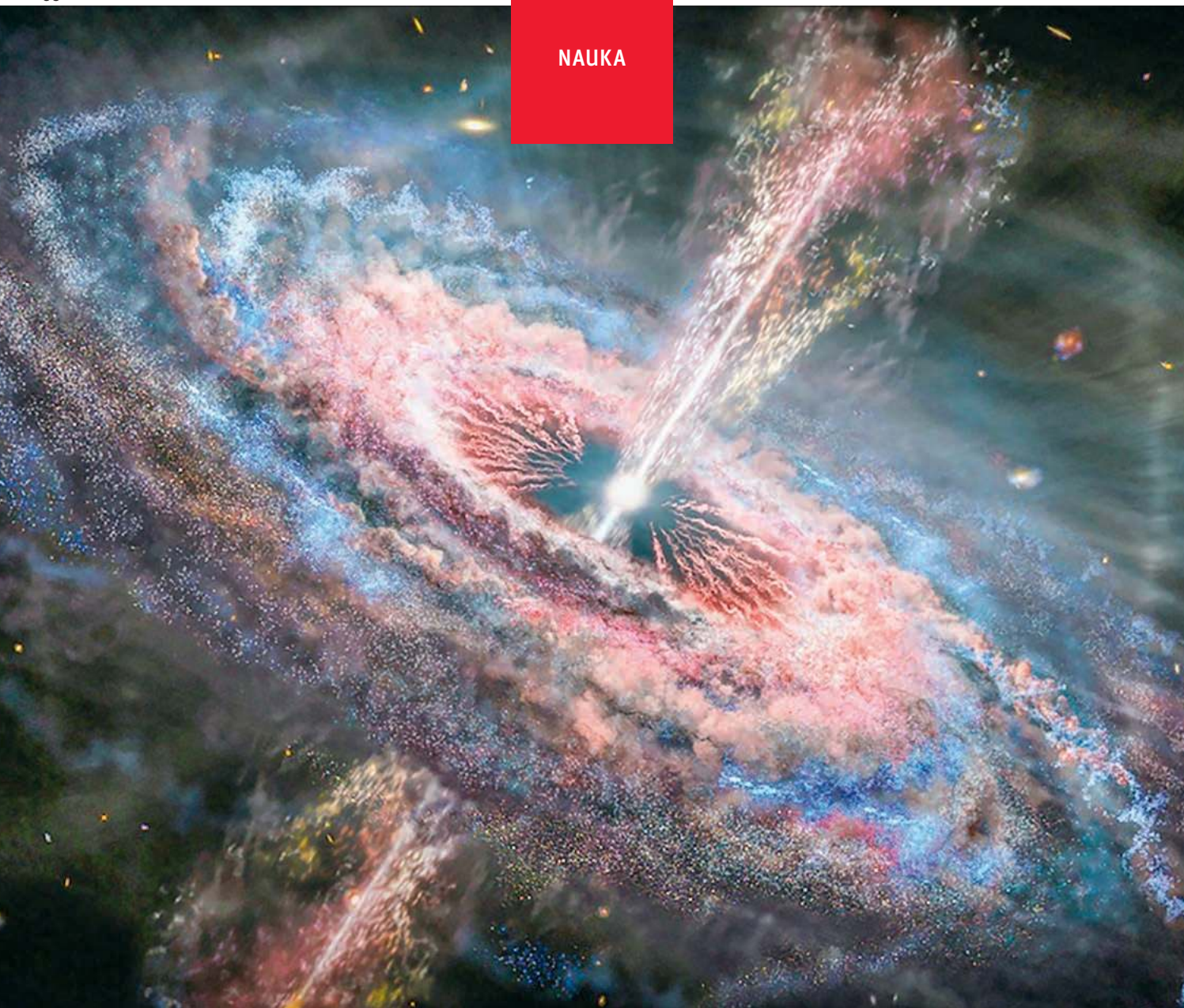
Oczywiście, że pamiętam swoje szczepienia. Najwspanialsze było na heine. Trochę się bałem po wcześniejszych ukłuciach. Ale tylko trochę. Zawsze lubiłem praktyczną medycynę. Lata później np. z ciekawością uczestniczyłem w operacjach weterynaryjnych na naszych zwierzętach. Innym razem, gdy byłem w wojsku, młodziutka siostra miała mi pobrać krew. Cała drżała. Ze współczucia, ale i z troski o samego siebie wyjąłem strzykawkę z rozdygotanych dłoni, naciągnąłem, ile tam trzeba było, i oddałem. Potrafiłem to robić z powodów, o których pisałem w jednym ze wcześniejszych wspomnień.

Tak więc bałem się, ale tylko trochę. Wtedy pani pielęgniarka powiedziała uspokajająco: „To tylko taka słodka herbatka”. Płyn był przezroczystry, ale rzeczywiście słodki. Nie wiedziałem, co to jest heinemedina, ale od razu polubiłem tę chorobę. Za smak i oczywiście za nazwę, która brzmiała tak egzotycznie i tajemniczo na tle swojskich, ponurych i siermiężnych błonnic, krztuśców i gruźlic. Heine była jak kolorowy znaczek z dalekiego kraju. Gruźlicę zresztą też pamiętam. Była ciekawa, różniła się tak od „słodkiej herbatki”, jak i banalnego zastrzyku. Zdaje się, że pani pielęgniarka coś wprowadzała pod skórę na lewym ramieniu, ale bezboleśnie. Czułem chyba drapanie, ale nie ukłucie, i za gruźlicę też byłem wdzięczny. Potem z fascynacją przyglądałem się okrągłemu znamieniu wielkości dwudziestogroszówki. Było jak cielesny stempelek, który miał mnie chronić przed nieznanym niebezpieczeństwem. Wierzyłem w nie, chociaż nie potrafiłem go sobie wyobrazić. Cudowna dziecięca naiwność bezpowrotnie minionych lat. Dziś jest to pieczęć w najlepszym wypadku Billa Gatesa, Światowego Żydostwa, jeśli nie samej Bestii.

Nie wiem, czy udało mi się Państwa przekonać o wyższości minionego. W każdym razie chciałbym zakończyć jakimś błyskotliwym cytatem. Na przykład z wielkiego urugwajskiego pisarza Juana Carlosa Onettiego, który wiele lat temu powiedział: „Wszystko wzięło w łeb, odkąd kobiety i wojskowi nauczyli się czytać”. Ale oczywiście wiem, że takich rzeczy nie powinno się powtarzać. Choć gdy kobiety i wojskowych zamienimy na ludzkość, alfabetyzację na dostęp do ogółu człowieczej wiedzy, to spostrzeżenie zachowuje swoją przenikliwość. ©

W Sądzie Rejonowym w Przysusze pod sygn. akt I Ns 88/21 toczy się postępowanie z wniosku Danuty Rak z udziałem Karola Wasiaka, Piotra Wasiaka, Henryki Paczkowskiej, Wandy Godzik, Tadeusza Wasiaka, Bohdana Wasiaka, Anny Mędra, Joanny Wasiak, Józefa Raka o zasiedzenie nieruchomości w msc. Wir gm. Potworów, składającej się z działek nr 920, 1866, 1867, przedstawionej na mapie przechowywanej w Starostwie Powiatowym w Przysusze za nr GK.111.6621.52.08.2021 przez Danutę Rak.

Wzywa się osoby zainteresowane, aby w ciągu trzech miesięcy od ukazania się ogłoszenia zgłosiły się i wykazały swoje prawa do nieruchomości, gdyż w przeciwnym razie sąd stwierdzi zasiedzenie, jeżeli zostanie ono udowodnione.



Wizja artystyczna kwazaru.

KOSMICZNA MEGAFAUNA

Wciąż niewiele wiemy na temat najjaśniejszych obiektów i największych struktur we wszechświecie. Niektóre z nich zdają się podważać podstawowe założenia kosmologii.

WOJCIECH BRZEZIŃSKI

CZASAMI DO NAUKOWCA UŚMIECHA się los. Czasami uśmiecha się sam wszechświat. W przypadku Alexii Lopez, doktorantki z Uniwersytetu Środkowego Lancashire, szeroki uśmiech kosmosu miał aż 3,3 mld lat świetlnych.

Astronomowie ochrzczili znalezisko „Wielkim Łukiem”. Ale przymiotnik „Wielki” nie do końca oddaje jego ogrom. Zagadkowa struktura złożona z galaktyk ciasno ułożonych w kształcie przypominającym uśmiechnięty emotikon jest tak wielka, że choć znajduje się ponad 9 mld lat świetlnych od nas, to gdyby była widoczna gołym okiem, miałaby rozpiętość dwudziestokrotnie większą od średnicy Księżyca w pełni. – Jej długość to jedna piętnasta odległości od Ziemi do krańca dającego się obserwować wszechświata – tłumaczy „Tygodnikowi” Alexia Lopez. – Jest naprawdę przeogromna.

Tak ogromna, że w zasadzie nie powinna istnieć. Odkrycie Lopez nie wpisuje się bowiem w to, co tradycyjnie zakłada się na temat wszechświata. – Standardowy model kosmologii jest zbudowany na pewnych założeniach. Jedno z nich mówi, że wszechświat jest jednorodny – materia jest w nim rozłożona równo. Na tym założeniu oparliśmy nasz model wszechświata wraz z jego matematycznymi podstawami – tłumaczy badaczka, dodając: – Takie struktury są więc wyzwaniem dla teoretyków.

Jasność bilionów Słońc

Wielki Łuk jest trzy razy większy od największych dopuszczalnych przez standardowy model kosmicznych struktur. Gdyby chodziło tylko o ten jeden łuk, pewnie udałoby się jakoś wybronić dotychczasowe modele. Odkrycie Lopez wpisuje się jednak w całą serię znalezisk, które pokazują, że wszechświat nie do końca wygląda tak, jak zakładaliśmy.

– Jedna taka struktura mogłaby być statystycznym przypadkiem, ale mamy ich coraz więcej – tłumaczy prof. Roger Clowes, promotor Lopez. – W 1991 r. odkryliśmy wspólnie z Louisem Campusano mierzącą 2 mld lat świetlnych Dużą Grupę Kwazarów, która była wówczas największą znaną strukturą we wszechświecie. W 2013 r. odkryliśmy jeszcze większą grupę. Obie znajdują się od nas w tej samej odległości i leżą obok siebie, jednak nie znaleźliśmy żadnego powiązania między nimi. Nikt jeszcze nie zdołał się przyjrzeć wszystkim podobnym

strukturom jako całości i sprawdzić, jak mają się do siebie, i czy rzeczywiście rzucają wyzwanie modelowi kosmologicznemu. Na razie traktowane są jak indywidualne ciekawostki.

Jednym z powodów jest to, że pomimo ogromnych rozmiarów podobne struktury są bardzo trudne do odnalezienia. Są po prostu zbyt odległe, a światło tworzących je galaktyk zbyt słabe, by można je wypatrzeć, po prostu celując teleskopem we właściwy wycinek nieba. W tym przypadku pomogły jeszcze bardziej odległe obiekty, które posłużyły za rodzaj kosmicznych latarni morskich – kwazary.

– Ich światło bywa bardzo pomocne. Podświetlają położoną między sobą a nami materię – tłumaczy Lopez.

Same kwazary skrywają przed naukowcami wiele tajemnic. Może się to wydawać zaskakujące, bo trudno we wszechświecie o zjawiska bardziej widowiskowe. Nazwa „kwazar” jest zbitką słów „*quasi-stellar radio source*”, czyli „quasi-gwiazdowe źródło radiowe”. Gdy w początkach epoki radioastronomii w latach 50. XX w. naukowcy zaczęli odkrywać pierwsze z tych obiektów, przypominały im gwiazdy, ale w rzeczywistości różnica między kwazarem a gwiazdą jest tak wielka, jak między zapaloną zapalką a eksplozją bomby wodorowej. Dziś kwazary zalicza się do tzw. aktywnych jąder galaktyk.

Ponieważ należą do najjaśniejszych obiektów we wszechświecie, astronomowie mogą je obserwować z ogromnych odległości. Badacze z Europejskiego Obserwatorium Południowego w marcu odkryli kwazar P172+18, którego światło wyemitowane zostało 780 mln lat po Wielkim Wybuchu – ok. 13 mld lat temu. Tyle czasu musiało ono podróżować do nas, pokonując trudny do wyobrażenia dystans (także ze względu na to, że wszechświat stale się rozszerza).

Przeciętny kwazar jest 27 bilionów razy jaśniejszy niż nasze Słońce i generuje tysiąckrotnie więcej energii niż wszystkie 200 mld gwiazd w naszej Drozdzie Mlecznej. Jednocześnie w sercu każdego kwazaru czai się prawdziwy potwór – supermasywna czarna dziura o masie miliona Słońc. Otacza ją dysk akrecyjny, czyli wielka chmura gazu i pyłu. Znajdujące się tam cząstki, uwięzione grawitacją kolosa, zderzają się ze sobą niezliczoną ilość razy, co sprawia, że temperatura dysku rośnie do milionów stopni. – Podobne

czarne dziury znajdują się w centrach większości galaktyk, w tym w centrum Drogi Mlecznej – mówi prof. Carolin Villforth, badaczka czarnych dziur z Uniwersytetu Bath. – Nasza czarna dziura jest mało aktywna, ale w przypadku kwazarów do czarnej dziury wpada ogromna ilość materii.

Ewolucja galaktyk

Niektóre supermasywne czarne dziury, jak znajdujący się w centrum naszej Drogi Mlecznej obiekt Sagittarius A*, są stosunkowo ciche. Ale kwazary dosłownie krzyczą w przestrzeni.

– Materia tworząca dysk akrecyjny rozgrzewa się do ogromnych temperatur i emituje mnóstwo promieniowania – tłumaczy prof. Villforth. – Ma ono mnóstwo efektów. Oświetla pobliskie chmury gazu, które także zaczynają pod jego wpływem emitować promieniowanie. Żeby lepiej wytłumaczyć, jak aktywne są te obiekty, trzeba zrozumieć, że masa supermasywnej czarnej dziury, jeśli pominiemy ciemną materię, zazwyczaj stanowi mniej niż 1 proc. masy galaktyki, w której się znajduje. Aktywne jądro galaktyki może emitować sto czy tysiąc razy więcej promieniowania niż wszystkie gwiazdy.

Dlaczego jednak takie zjawiska pojawiają się w jednych, a nie w innych galaktykach? Kluczem do rozwiązania zagadki może być to, że większość kwazarów znajduje się bardzo daleko – obserwujemy ich stan sprzed miliardów lat. Możliwe więc, że kwazar jest po prostu jednym z etapów ewolucji, który przechodzi wiele, jeśli nie większość, galaktyk.

– Żeby powstał kwazar, musimy mieć ogromny dopływ gazu do czarnej dziury. W typowym kwazarze to masa rzędu jednej masy Słońca na rok – opisuje prof. Villforth. – W skalach astronomicznych to może nie brzmieć imponująco, ale kwazar istnieje bardzo długo, potrzebuje więc mnóstwa masy. Żeby powstał, coś musi spychać gaz w stronę środka galaktyki, a to nie jest proste, bo w galaktykach wszystko pozostaje w ruchu. Obiekty nie mają tendencji do opadania w stronę ich centrów. Jednym z proponowanych rozwiązań jest to, że kwazary tworzą się w tak zwanych galaktykach spiralnych z poprzeczkami, które jak lejek kierują gaz w stronę ich centrów. Inną możliwością jest to, że powstają wskutek zderzeń galaktyk – dodaje Villforth. ➔

→ Z czasem chmury gazu otaczające czarne dziury mogą stopniowo się przemieszczać, a kwazary przygasać. Można by powiedzieć, że umierają z głodu. Nasza wiedza na temat ewolucji galaktyk nadal jest jednak skromna. Astronomowie wiedzą więcej o Wielkim Wybuchu niż na temat tego, w jaki sposób tworzyły się pierwsze gwiazdy czy czarne dziury. Badanie starożytnych kwazarów może tutaj pomóc. Ekstremalna ilość energii, którą emitują, powinna mieć wpływ na to, w jaki sposób przebiega ewolucja galaktyk. Promieniowanie podgrzewa znajdujący się w galaktykach gaz, ale jego ciśnienie może też wypychać go poza obręb galaktyk. Taka galaktyka nie mogłaby już tworzyć nowych gwiazd.

Jest jednak fundamentalny problem z obiektami otaczającymi aktywne jądra galaktyk. Kwazary są tak jasne, że przyćmiewają całe swoje kosmiczne sąsiedztwo. Badanie otaczających je skupisk gazu i gwiazd przypomina szukanie światełek latających przy latarni morskiej. Tu astronomom pomaga jednak to, że niektóre kwazary są jeszcze dziwniejsze i jeszcze bardziej tajemnicze od standardowych.

Pierwsza na trop zagadki trafiła w 2014 r. Stephanie LaMassa pracująca w Space Telescope Institute w Baltimore. Przeglądając dane z badania Sloan Digital Sky Survey, natrafiła na dwa zdjęcia, które powinny pokazywać ten sam obiekt. Na zdjęciu wykonanym w 2000 r. widać standardowy kwazar oświetlający przestrzeń wielkimi snopami światła. Ale na kolejnym, wykonanym zaledwie dziesięć lat później, po kwazarze nie było śladu. Na zdjęciu była standardowa dziesięciokrotnie bledsza galaktyka. Jeden z najjaśniejszych obiektów we wszechświecie zdawał się po prostu wyłączyć w mgnieniu kosmicznego oka. To powinno być niemożliwe. Kwazary z wiekiem tracą moc, ale proces ten trwa setki tysięcy lat. „Nie ma mowy, aby akrecja mogła zatrzymać się tak szybko” – mówił magazyńcy „Quanta” Paul Green z Harvard-Smithsonian Center for Astrophysics: „To nie ma fizycznego sensu”.

Gasnące kwazary

Wszechświat niewiele sobie robi z naszego poczucia absurdu. Wkrótce astronomowie, przeszukując archiwalne dane, odkryli setkę kolejnych „kwazarów

Teleskop Jamesa Webba,
który wkrótce
trafi na orbitę, pomoże
nam głębiej spojrzeć
w przeszłość.

MARCOS DEL MAZO / GETTY IMAGES



o zmiennym wyglądzie”. Niektóre przygasały nie w ciągu dekady, a kilku miesięcy. Inne najpierw gasły, a potem zapalały się ponownie. Jakie zjawisko może w pół roku wyłączyć najsilniejszy reflektor wszechświata? Tu hipotez jest wiele. Pewników brak. Początkowo LaMassa podejrzewała, że winna jest chmura pyłu, która przeszła między nami a kwazarem i chwilowo zablokowała jego światło, ale modele komputerowe pokazały, że do uzyskania podobnego efektu potrzebny byłby niezwykle złożony układ wielu chmur znajdujących się na linii Ziemia-kwazar jednocześnie. To wydawało się mało prawdopodobne, a proces przesłaniania galaktyki zajęłoby zdecydowanie dłużej niż dekadę.

Inną hipotezą jest to, że oryginalny, jasny obiekt nie był wcale kwazarem, a jedynie jego sobowtórem. W 2015 r. Andrea Merloni z Instytutu Fizyki Pozaziemskiej im. Maksa Plancka w Niemczech zasugerowała, że mogła to być gwiazda, która przeszła zbyt blisko czarnej dziury i została rozerwana, tworząc jasny rozbłysk. Inni uczeni twierdzili, że rzekome kwazary były w rzeczywistości potężnymi supernowymi (wybuchającymi gwiazdami). Tylko w takim razie, dlaczego niektóre z takich domniemyanych sobowtórów wracały potem do kwazarowej jasności?

– Dysk akrecyjny kwazara jest otoczony ogromną strukturą gazu i pyłu przypominającą kształtem obwarzanka

– tłumaczy prof. Villforth. – Zazwyczaj widzimy kwazary na jeden z dwóch sposobów. Centralnie, przez dziurę w tym torusie, albo z boku, przesłonięte przez pył. Ta struktura jest tak ogromna, że nie powinna zmieniać się w ludzkiej skali czasu. Jednak te obiekty zachowują się właśnie tak, jakby przechodziły z jednego typu do drugiego. Nie wierzymy, żeby faktycznie dochodziło do reorientacji tej chmury pyłu, bo to po prostu nie ta skala czasu, ale sądzimy, że z jakiegoś powodu dochodzi w nich do ekstremalnego spadku aktywności dysku akrecyjnego. Z ekstremalnych poziomów promieniowania do czegoś, co w zasadzie jest nieaktywne – dodaje badaczka.

Zespół, w skład którego wchodzi prof. Villforth, stworzył nową metodę namierzania takich zmiennych kwazarów. Ich cechy dają astronomom ogromną szansę. Kiedy kwazar z jakiegoś powodu przygasa i przestaje przyćmiewać otoczenie, możliwe staje się oszacowanie, jak jego aktywność wpływa na kształtowanie się galaktyki. Badacze sądzą, że kwazary są kluczem do zrozumienia tego, dlaczego wszechświat jest dziś taki, jaki jest.

– Przyglądając się jedynie bliskim galaktykom, nie dowiemy się, jak przebiegała ewolucja wszechświata – tłumaczy Lopez. – Bardzo ważne jest to, by szukać obiektów jak najdalszych, bo im dalej patrzysz, tym bardziej cofasz się w czasie. Jeśli wszechświat rzeczywiście jest jednorodny, to powinien być jednorodny wszędzie, także w przeszłości. Dlatego studiowanie tych obiektów jest dla nas kluczowe.

Na razie ogranicza nas technika. Prowadzone dziś obserwacje są już na krawędzi możliwości instrumentów, jakimi dysponują astronomowie. Wkrótce mogą jednak dostać do rąk nowe narzędzia, które pomogą wyjaśnić część zagadek wszechświata i zapewne postawić przed nami wiele nowych. Wielokrotnie opóźniany Kosmiczny Teleskop Jamesa Webba, zaprojektowany do studiowania kosmosu w podczerwieni, ma trafić na orbitę jeszcze w tym roku.

Astronomowie liczą na to, że dzięki niemu uda się spojrzeć dalej w mroki kosmicznej przyszłości. I wyjaśnić raz na zawsze, skąd wzięły się gwiazdy, galaktyki – i my sami.

© WOJCIECH BRZEZIŃSKI

Wojny w rodzinie

ŁUKASZ KWIATEK

W Parku Narodowym Loango w Gabonie doszło do skoordynowanych napaści grupy szympanсів na stado goryli. Ofiarami były młode.

PIERWSZY Z DWÓCH ATAKÓW OPISANYCH właśnie w „Scientific Reports” przez Larę Southern i współpracowników miał miejsce 6 lutego 2019 r. późnym popołudniem. Grupa 18 szympanсів odbywała wtedy rutynowy patrol – zapuszczała się na granice swojego terytorium w poszukiwaniu intruzów z sąsiedniego stada szympanсів, z którym, tak jak to zwykle bywa u tych małp, utrzymywała wrogie relacje. Zamiast jednak na obce szympanсы, patrol natrafił na stadko goryli nizinnych, złożone z potężnego dorosłego samca (tzw. srebrnogrzbiety), trzech samic i dziecka.

Początkowo małpy jedynie wrogo na siebie wokalizowały, ale wkrótce doszło do rękoczynów. Srebrnogrzbiety zaatakował jedną z samic szympanсів i poważnie ją zranił, a wtedy na ratunek rzuciła się jej dziesiątka towarzyszy. Osaczony goryl zdołał się uwolnić, ale w tym czasie jeden z szympanсів dopadł młode. Dołączyły do niego inne samce. Chwilę przyglądały się malcowi, po czym jeden z nich najwyraźniej zatłukł go na śmierć. Gdy obserwatorzy opuszczali miejsce bitwy, zwłokami bawiła się młodociana szympanсica. W walce ze srebrnogrzbietym ranne zostały jeszcze dwa dorosłe osobniki.

Do drugiego starcia doszło 10 miesięcy później. 27 szympanсів z tego samego stada podczas patrolu natknęło się na siódmkę goryli, z jednym dorosłym samcem i jednym niemowlęciem. Tym razem dramat rozegrał się w gęstych zaroślach i koronach drzew, więc obserwatorzy nie byli w stanie śledzić całej dynamiki interakcji. Odnotowano jednak, że

walki zaczęły się, gdy srebrnogrzbiety oddalił się od pozostałych członków swojej grupy – co mogło mieć zresztą związek z zauważeniem przez niego podążających za szympanсami ludzi, do obecności których goryle nie były przyzwyczajone. Po odejściu najgroźniejszego przeciwnika kilkoro dorosłych szympanсів zaczęło pościg za gorylicą z niemowlęciem i w końcu najwidoczniej ją dopadło – jeden z nich dał się później zauważyć z martwym ciałem w dłoniach. Młode miało potężną ranę na brzuchu. Po jakimś czasie niemal całe zwłoki zostały pożarte.

Jak wyjaśnić to, co dwukrotnie zaszło między szympanсami i gorylami? Agresję międzygatunkową zwykle klasyfikuje się jako drapieżnictwo albo konkurencję o zasoby. Wiemy, że różne społeczności szympanсів regularnie polują – także na inne naczelne, czasem nawet przy użyciu broni. Np. w 2007 r. Jill Pruetz opisała polowania szympanсів z Senegalu na żyjące w dziuplach małpki – szympanсы dobierały się do ofiar z pomocą specjalnie przygotowywanych włóczni. Celem polowań zawsze jest jednak mięso – zdobycie mięsa wywołuje w stadzie poruszenie, dochodzi także do jego podziału. Osobnik, który dopadnie ofiarę, jest nagabywany przez pozostałe małpy i pewnie by uniknąć konfliktu, oddaje im część łupu, zgodnie z panującą w stadzie hierarchią.

Opisane starcia wyłamują się z tego schematu – wprowadzie w drugim przypadku kilka szympanсів posiliło się zwłokami zabitego niemowlęcia goryla, ale były to osobniki o niskiej randze. Arystokracja zupełnie nie była zaintereso-

wana posiłkiem. Poza tym przed zdarzeniem nie dało się także słyszeć typowych wokalizacji, którymi szympanсы oznajmują rozpoczęcie polowania i nawołują o wsparcie.

Bardziej prawdopodobne, że atak był wynikiem rywalizacji o zasoby. Szympanсы i goryle mogą zajmować nachodzące na siebie terytoria, a ich dieta pokrywa się nawet w 50-80 proc., co potencjalnie stanowi poważne zarzewie konfliktu – i jeśli to wyjaśnienie jest poprawne, prawdopodobnie do tego rodzaju starć dochodzi częściej. Ciekawe jednak, że choć szympanсы regularnie walczą np. z pawianami, z którymi także rywalizują o zasoby i czasem zabijają ich młode, to ich interakcje z gorylami jak dotąd opisywano wyłącznie jako pokojowe. Nawet członkowie tej samej społeczności z Parku Narodowego Loango widziani byli w przeszłości, jak spokojnie żerowali obok goryli. Lecz te obserwacje prowadzono w miesiącach, w których pożywienia dla jednych i drugich małp było pod dostatkiem – a w grudniu i lutym, gdy doszło do starć, sytuacja wyglądała znacznie gorzej.

Wreszcie oba ataki miały miejsce, gdy szympanсы odbywały patrole – a podczas nich często dochodzi do podobnych starć, obejmujących także dzieciobójstwo, tyle że w obrębie gatunku. Najczęściej zdarzają się one, gdy jedna z grup szympanсів ma dużą przewagę liczebną. Nie da się więc wykluczyć, że goryle po prostu znalazły się w złym miejscu i złym czasie, przez co padły, jak piszą autorzy pracy, przypadkową ofiarą ksenofobicznej natury szympanсів. ©P



Stado goryli nizinnych (*Gorilla gorilla gorilla*). Na wolności żyje ok. 300 tys. osobników tego podgatunku.

TERRY WHITTAKER / FLPA / BE&W

ŻYWE DUSZE

SWIETŁANA ALEKSJEWICZ, PISARKA, LAUREATKA NAGRODY NOBLA:

Kiedy człowiek przystępuje do spowiedzi,
duchowny jest pośrednikiem pomiędzy nim a Bogiem.
A kim ja jestem, że tak otwarcie pytam moich bohaterów o najcięższe wspomnienia?

MAŁGORZATA NOCUŃ: Pamiętam Pani łązy, kiedy w 2015 r. ogłoszono werdykt Akademii Szwedzkiej: „Nagrodę Nobla w dziedzinie literatury otrzymuje Swietłana Aleksijewicz”.

SWIETŁANA ALEKSJEWICZ: Tak. Płakałam, ponieważ praktycznie wszyscy bohaterowie moich książek już nie żyli i nie mogli się ze mną cieszyć.

Od wielu lat powstają spektakle teatralne na podstawie książki „Wojna nie ma w sobie nic z kobiety”. Reżyserzy proszą, abym na premiery zapraszała bohaterki opowieści. Biorę więc słuchawkę, wykręcam zapisane w notesie numery. „Oj, mama już nie żyje”; „Babcia już odeszła”. To samo dotyczy „Czarnobylskiej modlitwy”. Jej bohaterowie przyjęli duże dawki promieniowania, umarli przedwcześnie. Odeszli nawet ludzie, których wspomnienia zawarłam w książce „Ostatni świadkowie. Utwory solowe na głos dziecięcy”. Podczas II wojny światowej byli dziećmi, ale nie unieśli tego bólu. Może ich dziecięcą psychikę narażono na zbyt duże traumy.

Na wieść o Noblu myślałam także o mamie i tacie. Moich rodziców już ze mną nie ma. Ich życie było jak cała radziecka epoka. Ciężkie.

Ale nagrodzie towarzyszyło też uczucie szczęścia.

Cieszę się, że udało mi się spotkać bohaterów moich książek, wysłuchać ich, ocałić świadectwo radzieckiej epoki.

Lata 70. Kupuje Pani duży szpulowy magnetofon, prosi o urlop w magazynie „Niemen”, pożyczka pieniądze od przyjaciół pisarzy i wyrusza w podróż po Związku Radzieckim. Będzie Pani słuchać wojennych opowieści kobiet. Chyba uprzedzano, że to szaleństwo?

Tak. I pytano: „Swieta, jeszcze jedna książka o wojnie? A po co? Przecież są ich miliony”. Urodziłam się trzy lata po wojnie, w ukraińskim Stanisławowie (dziś Iwano-Frankiwsk), ale dzieciństwo i wczesną młodość spędziłam na wsi. Tata wrócił z wojny, przeszedł w stan spoczynku i postanowił, że przeprowadzimy się na Białoruś.

Dużo czasu spędzałam z babcią. Na radzieckich wsiach żyły niemal wyłącznie owdowiałe kobiety. Siedziały na ławeczkach przed domami i nieustannie wspominały wojnę. Osiągnęłam już wiek, w którym odbiera się świat świadomie, rozumie się emocje. Ich opowieści były najmocniejszymi z usłysanych przeze mnie historii. „Dopiero co się pobraliśmy, spędziliśmy ze sobą trzy noce i Iwanek poszedł na front. Więcej go nie zobaczyłam” – mówiła jedna. Były schorowane i bardzo zmęczone. Miały masywne, spracowane dłonie.

Pochodzę z rodziny nauczycieli. W domu było mnóstwo książek, ale milczały o takich historiach. Jako młoda dziewczyna przeczytałam reportaż „Ja ze spalonej wsi” białoruskiego pisarza Aleksa Adamowicza. I wtedy wszystkie te kobiece opowieści do mnie wróciły.

Nie podobała się Pani oficjalna wersja historii.

Nie miała nic wspólnego z tym, co usłyszałam od świadków: kobiet i dzieci. Ze wspomnień dzieci przebiegała nie tylko ogromna trauma, ale także niezrozumienie świata, w którym nagle się znalazły. Śmierci, bólu, sieroctwa.

Kobiety wspominały wojnę inaczej niż mężczyźni.

W opowieściach mojego taty czy weteranów, których zapraszano do naszej szkoły na „spotkania z młodzieżą”, obecne były zwycięstwo i patriotyzm. A ja pytałam kobiety: „A jak było na wojnie?”, „A czy strasznie jest umierać?”, „Jak to jest zabijać?”. Oczywiście potrzebowałam czasu, by odrzec ich opowieści z banału. Z tego, co zwykli mówić w audycjach radiowych i podczas szkolnych akademii. Na początku i one opowiadały o patriotyzmie i zwycięstwie, ale kiedy pytałam o ich uczucia i przeżycia, zmieniały ton.

Czasem przychodziłam do domów, w których walczył i mąż, i żona. Kiedy tylko przekraczałam próg, mężczyzna prosił kobietę, żeby zajęła się czymś →

SWIETŁANA ALEKSJEWICZ jest białoruską pisarką, w 2015 r. otrzymała Literacką Nagrodę Nobla. W wydawnictwie Czarne ukazały się m.in.: „Wojna nie ma w sobie nic z kobiety” (2010), „Czasy secondhand. Koniec czerwonego człowieka” (2014), „Cynkowi chłopcy” (2015), „Czarnobylska modlitwa. Kronika przyszłości” (2018).



→ w kuchni, i zaczynał swoją opowieść. Mówił: „Nasz pułk, o takim a takim numerze”, „nasz dowódca, o takim a takim nazwisku”. Kobiety koncentrowały się na uczuciach. Zrozumiałam, że te wszystkie pułki, ci wszyscy dowódcy są jak piasek. Ulotne, mijające. Sens stanowią jedynie ludzkie przeżycia.

„Czy strasznie jest umierać?”.

To chyba naiwne pytanie?

Byłam młoda, nieopierzona. Później zrozumiałam, że takie pytania trzeba zadawać, ale nie należy czynić tego wprost. Choć być może właśnie to pytanie je ujmowało? Bo odpowiadały mi trochę jak dziecku. Były już dojrzałymi, a nawet starzejącymi się kobietami, a ja przypominałam im ich młodość. W czasie wojny miały tyle lat, co ja. Udało się nam rozmawiać szczerze. Mówiły o lęku. Najbardziej bały się, że śmierć przyjdzie o brzasku. Padnie rozkaz: „Do boju!”. Zaraz mogą cię zabić w walce, a tu przecież kwiaty rosną. Cudowne przebiśniegi! Świat o poranku jest piękny. Rosa, słońce wschodzi. Boisz się, że widzisz to wszystko po raz ostatni w życiu. Mężczyźni nie mają takich wspomnień.

Z czasem wchodziłam w świat weteranek coraz głębiej. Zrozumiałam, jak okrutna była ich wojna. Nie było w niej żadnego bohaterstwa ani patriotyzmu.

Opowiadały historie, którymi wcześniej z nikim się nie dzieliły?

„A wiesz, opowiem ci, jaką sobie sukienkę uszyłam – powiedziała jedna z nich. – Bo podczas wojny wychodziłam za mąż. Przez trzy miesiące, w wielkiej tajemnicy, w naszym oddziale zbieraliśmy bandaże. To było przecież zabronione! Bandaży, jak wszystkiego, brakowało. No ale skąd było wziąć biały materiał na suknię?”.

Jedną ze swoich bohaterek zapytałam: „Co jest na wojnie najstraszniejsze?”. A ta się zaczyna śmiać. Mówi: „Oj, ty, ty. Miałam nadzieję, że nie zadasz mi tego pytania! No cóż może być najstraszniejsze? Przez cztery lata chodzi się w męskich majtkach! I to jest najstraszniejsze. Przecież nie dawali nam kobiecych majteczek, miałyśmy wielkie majty, aż do kolan, w dodatku kilka numerów za duże. Wieczorami, kiedy w namiotach rozbiegałyśmy się do snu, patrzyłyśmy jedna na drugą i zaczynałyśmy się śmiać. No, jak to tak? Poszłyśmy na wojnę umierać

za ojczyznę i w takich okropnych majtkach umrzemy?”. Podobnie mówiły o miesiączce. Podczas wojny nie dostawały przecież żadnych opatrunków. Była w tych opowieściach prawda i ironia. To było prawdziwe ludzkie życie.

Jak zaczyna Pani rozmowę?

Przychodzę jak człowiek do człowieka. Jestem szczerą. Siadam, zaczynam mówić i słuchać.

A co robi Pani z emocjami bohaterek? One w Pani zostają.

Nie raz wracałam do domu zalana łzami. Te opowieści są tak przejmujące. Kiedy rozmawiałam z weterankami, na końcu pytałam, ile miały lat idąc na front. Odpowiadały: siedemnaście, osiemnaście. Jedna miała piętnaście. W sztabie, podczas werbunku, skłamała, że jest starsza. Moja wnuczka ma piętnaście lat. Patrząc na nią i próbując sobie wyobrazić, że ma iść na front. Jak to?

Kiedy człowiek przystępuje do spowiedzi, duchowny jest pośrednikiem pomiędzy nim i Bogiem. A kim ja jestem, że tak otwarcie pytam moich bohaterów o najcięższe wspomnienia? Tłumaczę to sobie następująco: „Postępuję tak, mając na uwadze dobro”. Chcę swoich bohaterów zrozumieć. Chcę uczynić z ich opowieści problem intelektualny. Filozoficzny. Pytałam: „Dlaczego tak postąpiłeś czy postąpiłaś?”. Moi rozmówcy płakali i opowiadali o doznanych cierpieniach. Chciałam zrozumieć, jaki był sens tych cierpień i traum. Tak, zagłądałam do ludzkiej duszy. Moim celem nie było epatowanie przemocą. Koszmarnymi wspomnieniami. Mogłam ich umieścić w książkach o wiele więcej.

Śmierć, ból, cierpienie – tego jest w Pani książkach i tak najwięcej.

Mimo wszystko starałam się zachować równowagę. Jeśli złych emocji jest zbyt dużo, książka na tym traci. Zawsze szukam odpowiedzi na pytanie: „Jak pozostać człowiekiem w nieludzkich czasach”.

Ważne było dla mnie opisanie i piękna, i śmierci. Pamiętam młodą dziewczynę, która w czasie wojny służyła jako sanitariuszka. Podczas jej dyżuru umierał wojskowy w randze kapitana. Lekarze poprosili ją, by często do niego zaglądała. Nadchodząca noc mogła okazać się krytyczna. Dziewczyna stanęła przy łóżku kapitana,

czule się do niego zwracała. „Mój ty miły”. On powiedział: „Tak dawno nie widziałem żony. Proszę, rozepnij guziki fartucha, pokaż mi piersi. Chciałbym jeszcze zobaczyć kobiece piersi”. Była przerażona, uciekła. Po dwóch godzinach znów pojawiła się przy jego łóżku. Pochyliła się, zobaczyła, że umarł. Miał uśmiechniętą twarz. To opowieść o spotkaniu kobiety i mężczyzny, pragnieniu bliskości.

Jedna z moich bohaterek opowiedziała taką historię: po ogłoszeniu zwycięstwa jej oddział wystrzelał w powietrze wszystkie znajdujące się w składzie amunicji naboje. Kobiety myślały, że nigdy nie będą już potrzebne. Przyjechała inspekcja. Zapowiedziała, że za zużyte niezgodnie z przeznaczeniem naboje będą musiały zapłacić karę. A one się śmiały: „Przecież wojny już nigdy nie będzie. Po takiej strasznej wojnie kolejna nigdy nie nadejdzie”. Szczerze w to wierzyły.

Wspomniany Aleś Adamowicz był Pani nauczycielem?

W redakcji „Niemna” poproszono mnie o przeprowadzenie z nim wywiadu. Rozmawialiśmy o jego dzieciństwie, dorastaniu, o jego książkach. Zastrzegł, że konieczna będzie autoryzacja rozmowy. Po kilku dniach wziął do ręki tekst, spojrzął na mnie zdziwiony i powiedział: „Nie muszę niczego poprawiać”. Zaprzyjaźniliśmy się. Powiedziałam mu, że nagrywam wojenne wspomnienia kobiet. Zdradził, że sam o tym myślał, ale wraz z Daniilem Graninem, rosyjskim pisarzem, zajął się opracowywaniem „Księgi blokady” i przy pomocy „ludzkich głosów” dokumentują oblężenie Leningradu w czasie II wojny.

Spotykaliśmy się i rozmawialiśmy. Poruszaliśmy tematy filozoficzne: wojna, człowiek, sens życia. Adamowicz myślał po europejsku. Zupełnie nie przypominał znanych radzieckich pisarzy. Umówiliśmy się, że mojej książki o weteranach nie będzie czytał we fragmentach. Poczeka, aż ją skończę. Po lekturze powiedział: „Jak dobrze, że nie zabrałem się za pisanie tej książki!”. Zapytałam dlaczego. „Świetlano, nawet by mi do głowy nie przyszło pytać o takie rzeczy! Jako mężczyzna nawet bym się nie domyślił, że można rozmawiać o bieliźnie, nagich piersiach. To świat kobiet”.

A co go interesowało?

Najważniejsze były fakty. Przebieg bitwy, liczba rannych oraz zabitych. W „Ja

ze spalonej wsi” i „Księżde blokady” znalazło się dużo odautorskich komentarzy. Powiedziałam mu, że to najsłabsza strona jego twórczości. Zdziwił się. Odparłam, że opisywane przez niego historie nie potrzebują komentarzy. Na przykład taka opowieść: Adamowicz znalazł dziennik chłopczyka, który podczas wojny został na świecie sam. Umarła jego babcia, mama, siostra i brat. Tuż obok chłopczyka mieszkała kobieta, mówiono, że prowadzi nielegalne interesy. Chyba kradła. Z jej mieszkania dochodził przyjemny zapach. Chłopczyk czuł, że kobieta smaży kotlety. Przez dwa dni się męczył: ukraść kotlet i zjeść? Czy nie kraść? Nagle pismo w dzienniku chłopczyka staje się niewyraźne. Nie wiemy, co się z nim dzieje. Zjadł kotlet i zachorował, bo wygłodniały żołądek otrzymał zbyt ciężkostrawny pokarm? Umarł z głodu?

Po podobnych opowieściach w książkach Adamowicza zaczynały się dywagacje na temat roli rosyjskiej inteligencji. Jakie ma tradycje i jaką siłę. Ale przecież historia o kotleciku mówi o wiele więcej. Dla tego tak interesuję się szczegółami.

Przerywa Pani swoim rozmówcom? Mówi: „Nie, to nieprawda”, „To kłamstwo”, „Przecież to nie mogło się wydarzyć”?

Spotkałam kobietę, która służyła w oddziale partyzanckim. Kiedy Niemcy dowiedzieli się, że „poszła do lasu”, aresztowali jej matkę. Szukając partyzantów prowadzili przodem ich aresztowanych rodziców. Partyzanci, broniąc się, często zabijali własnych ojców i matki. Ta kobieta opowiadała: „Strzelałam i tylko patrzyłam, czy gdzieś tam na horyzoncie nie miga mi biała chusteczka. Moja mama nosiła taką chusteczkę na głowie. Prosiłam też kolegów i koleżanki z oddziału, żeby pamiętali o mojej mamie, o jej białej chustce”. Ale jej mamę zabito. Kobieta na chwilę zamilkła. Po czym powiedziała: „Kiedy braliśmy do niewoli niemieckich żołnierzy, to ich tak zwyczajnie nie zabijaliśmy... My ich dźgałaliśmy nożami, widłami. Chodziłam i patrzyłam, jak z bólu rozrywają im się oczy”. Przerwałam: „Ależ co pani mówi?”. A ona: „A ty nie masz prawa mnie osądzać. Nie masz prawa nic mi mówić. Nie zamordowali ci mamy, ani braciszka, ani siostrzyczki. Zgłoście twoje zachowanie w Komitecie Centralnym Partii”.

Zrozumiałam, że rzeczywiście nie mogę osądzać wspomnień składających

Kiedy rozmawiałam z weterankami, na końcu **pytałam, ile miały lat idąc na front.**

Odpowiadały: siedemnaście, osiemnaście. Jedna miała piętnaście. Moja wnuczka ma piętnaście lat. Patrę na nią i próbuję sobie wyobrazić, że ma iść na front. Jak to?

się na moje teksty. Mogę je tylko redagować, bo nie może znaleźć się w nich cały ten brud, całe zło.

Trudna rola.

Przypomniała mi się jeszcze jedna kobieta. Poszła na zwiady z grupą koleżanek. Spotkały dwóch młodziutkich Niemców, zawiązał się między nimi pewien rodzaj relacji. Zobaczyli, że są do siebie podobni, mają te same problemy i potrzeby. Wspólnie siedzieli przy ognisku, przyrządzali jedzenie. W końcu kobiety zrozumiały, że muszą Niemców zabić, nie przedrą się z nimi przez wieś. Ci chłopcy zaczęli płakać. I co robi moja bohaterka? Mówi najpierw jednemu z nich: „Pójdziemy po chrust”. Idą do lasu, zebrali chrust, on kroczy przodem, ona za nim. I go zabija. To samo czyni z drugim. Kończy opowieść, spogląda na mnie i jest przekonana, że dokonała „wielkiego czynu”. A ja patrzę na nią przerażona. Nic jej nie mówię. Nie czynię żadnych wyrzutów. Z wieloma moimi bohaterkami się zaprzyjaźniłam, z nią – nie. Nie chciałam, by miała poczucie, że ją osądzam, więc czasem do niej dzwoniłam, zapraszałam na kawę.

Trzeba wziąć pod uwagę piekło, przez które to pokolenie przeszło. Wpływ radzieckiej propagandy. Nie można tak łatwo zapytać: „Jak mogłaś tak postąpić?” albo stwierdzić: „Jesteś potworem”. Na wojnie dzieje się wiele rzeczy, których nie rozumiemy. Podzieliłam się swoimi refleksjami z Adamowiczem. Przyznał, że miał podobne doświadczenia. Spotkał się z pewnym profesorem, który podczas blokady Leningradu kradł swoim dzieciom chleb. Dzieci umarły. Adamowicz też chciał w pierwszej chwili zapytać: „Jak

mogłeś?”. Ale widział przed sobą złamanego, nieszczęśliwego mężczyznę. Doszliśmy do wniosku, że nie mamy prawa sądzić swoich bohaterów. Możemy jedynie pomóc im w opowiedzeniu ich historii, aby pozostawili po sobie prawdę swojego czasu, a nie „prawdę”, o której pisze się w książkach.

W „Czarnobylskiej modlitwie” opisuje pani Ludmiłę, bohaterkę -Antygonę. Każda decyzja, którą podejmie, będzie zła. Ludmiła jest w ciąży, jej mąż, strażak, został silnie napromieniowany. Leży w szpitalu i umiera. Pomimo ostrzeżeń lekarzy Ludmiła go odwiedza. Nie uda się jej donosić ciąży.

Pytałam ją: „Lusia, o czym ty myślałaś?”. Ona odpowiadała: „Myślałam, że moje ciało chroni moje dziecko. Jest tam, w środku, bezpieczne”. Ludmiła była przekonana, że najwyżej ona umrze, ale dziecko przeżyje.

Ciało męża Ludmiły spalało promieniowanie, które przyjął. Żadne lekarstwa nie były w stanie ukoić bólu. Ale nocą naciskał dzwonek, którym przywołuje się pielęgniarki, w ten sposób wzywał Ludę na seks. Luda prosiła mnie o zachowanie anonimowości. Oczywiście się zgodziłam. Wyobraziłam sobie, co pomyślą o niej obywatele Związku Radzieckiego. On wyglądający jak potwór, napuchnięty jak beczka i ten seks... Przecież to jest straszne.

Kiedy kończyłam pracę nad książką, w „Komsomolskiej Prawdzie”, gazecie o dużym zasięgu, opublikowałam jej fragmenty. Przytoczyłam historię Ludy, ale jej nazwisko nie padło. Pewnego dnia dzwoni telefon. To Luda. Pyta, dlaczego jej opowieść jest anonimowa. Powiedziałam jej, że o to prosiła i że ja i tak bym się nie odważyła użyć jej imienia i nazwiska. „Przecież twoja rodzina... Co oni na to wszystko powiedzą?”. Na to Luda: „Ja tak bardzo cierpiałam i on tak bardzo cierpiał, ja tak bardzo go kochałam i on tak bardzo mnie kochał. Niech moje nazwisko ukaże się w druku”. Do dziś trudno mi zrozumieć tę odważną decyzję.

Dzieje kobiet radzieckich to przemilczana historia. Opisano historię mężczyzn. Ukazano ich emocje.

Tak. Żyjemy w męskim świecie. Zajmuję się oddawaniem głosu kobietom. Gdyby „Wojna nie ma w sobie

→ nic z kobiety” ukazała się w 1955 r., nie odniosłaby sukcesu. Ludzie byli pogrążeni w traumie, żałobie. Opowieści o kwiatkach, piersiach, majtkach wyzwalałyby w nich tylko agresję. Ale bohaterstwo jest ulotne, ważne są emocje, to one z nami zostają. W czasach radzieckich życie ludzkie nie miało wartości, liczyło się tylko dobro państwa. Kobiety spoglądają na świat przez pryzmat emocji. Uczą humanizmu.

Czuje się Pani emigrantką?

Nie chciałam opuszczać Białorusi. Długo przeżywałam, że nie mogę wrócić do kraju. Ale już się uspokoiłam, wyciszyłam. Zrozumiałam, że w ojczyźnie nie pozwoliłby mi pracować. Najpierw aresztowaliby wszystkich moich przyjaciół, potem mnie. Na emigracji uda mi się zrobić więcej.

O czym Pani teraz pisze?

Planowałam wydać książkę o miłości i śmierci, ale tym razem to nie ja, a historia zdecydowała o wyborze tematu. Pracuję nad książką o naszej białoruskiej rewolucji. Oddam głos uczestnikom ubiegłorocznych protestów.

I znów będzie to opowieść o kobietach?

Białoruskie kobiety ocaliły nas od rozlew krwi. Nieprzypadkowo wkładały białe sukienki, trzymały w dłoniach kwiaty. Zresztą gdyby polityką zajmowali się jedynie mężczyźni, ten konflikt skończyłby się drugim Tiananmenem.

Niedawno nagrywałam kobietę, której córkę zranił granat. Cudem odnalazła swoje dziecko w szpitalu. Lekarz powiedział do niej: „Niech ją pani szybko stąd zabierze. Przychodzą do nas służby, rannych demonstrantów, w ciężkim stanie, gdzieś wywożą. Nie wiemy, co się z tymi ludźmi dzieje”. Moja bohaterka wywiozła córkę do Kijowa.

„Czasy secondhand” nie chcą się skończyć. Kraje poradzieckie pogrążają się w autorytaryzmie.

Przywódcy wielu państw Europy Wschodniej rekrutują się z pokolenia „czerwonych ludzi”, ale zmieniło się społeczeństwo. Jest otwarte, tęskni za wolnością. Dużo krwi przelano, nasz kraj na długo pogrąży się w mroku, ale wierzę, że spotkam się z panią na Białorusi. Jak pani tylko przyjedzie, proszę do mnie zadzwonić.

© Rozmawiała MAŁGORZATA NOCUN

Kultura w domu zachodzącego słońca

IGNACY DUDKIEWICZ

Kiedy walczyłem, żeby mnie wypuszczono z izolacji w DPS-ie, to najbardziej chodziło mi o teatr. Grupa miała warsztaty, rozwijała się, tworzyła spektakl, kto inny miał moją rolę. A ja chciałem grać!

NAZYWAM SIĘ PAWEŁ ILECKI. NAPIsałem na Facebooku, że nie rozumiem. Jako mieszkańcy Domu Pomocy Społecznej zostaliśmy zaszczepieni w grupie „0”. Byliśmy po obu dawkach, pracownicy też. Nawet poczekałem miesiąc, aż nabierzemy odporności. Nie mogłem się nadziwić, że wciąż nie możemy wychodzić. Odezwały się media. Kiedy w środę na pierwszej stronie „Gazety Wyborczej” ukazała się moja wypowiedź, to już w piątek było zebranie i pani dyrektor powiedziała, że otwierają. Wcześniej nawet rozważałem, czy nie dzwonić na policję, że ogranicza się moją wolność. Dopiero by była awantura. Ale miałem motywację. Chciałem grać, sprawdzić się, dowiedzieć, czy dobrze interpretuję kwestie, czy dobrze się ruszam. Tego mi brakowało najbardziej.

Teatr Bezdomnych

Dwadzieścia trzy lata byłem w kryzysie bezdomności – na ulicy i w schroniskach. Upadłem w roku 1996. W 2006 r. zrobiłem detoks, zacząłem terapię, warsztaty rozwoju osobistego, znalazłem pracę w ochronie. Brat mnie namówił, żebym kupił laptopa, zacząłem korzystać z internetu. Ukrywałem, że jestem bezdomny. Pisałem felietony literackie dla „Newsweeka”, bywałem gościem w Superstacji. Na Sympatii poznałem kobietę, zaiskrzyło, zamieszkałem u niej. Wydawało się, że będzie lepiej. Ale znów zaczęło się walić. Powtórka, ulica po raz kolejny.

Teraz wyszedłem już na pewno. Mam 645 złotych zasiłku (70 proc. mi zabierają), dodatek pielęgnacyjny, finansowo się nie martwię, bo mam

małe potrzeby: internet, kawa i tytoń. W 2017 r. trafiłem do Kamilińskiej Misji Pomocy Społecznej, która była dla mnie domem wschodzącego słońca. Tam wszystko się zaczęło na nowo. Gdyby nie zachęty, które tam słyszałem, naciski wręcz, to pewnie bym tam tkwił, prowadził bibliotekę, doczekał miejsca w DPS-ie i siedział w nim do końca życia bez celu. Bo DPS to dom słońca zachodzącego – nastawiony na vegetację, bez aktywności, bez kroków do przodu, jakby już nie było dokąd iść. A przecież jest.

W Misji słyszałem: „Pan zobaczy, pan pojedzie, dostaliśmy zaproszenie, będzie nas pan reprezentował”. Pojechałem w jedno i drugie miejsce, poznałem ludzi, w tym profesora Ryszarda Szarfenberga, zacząłem działalność naukową, teraz piszę doktorat w Instytucie Etnologii i Antropologii Kulturowej Uniwersytetu Warszawskiego. To moja *alma mater* – koleżanka z roku jest już tam profesorem emerytowanym, a profesor Wasilewski rozpoznał mnie po 40 latach! Udało mi się kilka razy spotkać z promotorką mojej pracy magisterskiej, profesor Zofią Sokolewicz. Nadrobiłem zaległości. Piszę o bezdomności – czy to wybór, czy konieczność. Chcę przeprowadzić 100 wywiadów, mam 13. Promotor mówi, że wystarczy 70, ale ja chcę 100. Tylko pandemia nie pozwala.

Potem przyjechała Ania Maria Szufa, która szukała chętnych do Teatru Bezdomnych. Myślałem, że nigdy nie stanę aktorem. Ale poszedłem z ciekawości naukowej, panie socjalne mnie namówiły, że ładnie mówię, mogę zobaczyć, jak to wygląda. Ale Ania nie dała mi obserwować. Warsztaty, ruch



ANDRZEJ BANAS / POLSKA PRESS

Paweł Ilecki. Kraków, 10 lipca 2019 r.

sceniczny, emisja głosu, gra ciałem, improwizacja... Wciągnąłem się.

Spodobało mi się i życie akademickie, i teatr, bo obie te przestrzenie to *never-ending story*: człowiek nigdy nie dojdzie do perfekcji, ciągle się musi rozwijać.

Zaliczyłem dwa miesiące prób w Akademii Teatralnej, gdzie szykowaliśmy spektakl „Love Summit. Warsaw” w reżyserii Marii Malinowskiej. Tam dziewięć aktorek, absolwentek Akademii... Bałem się, że będą zadzierać nosa. Gdzie tam, przeciwnie! Cały czas mnie wspierały, pomagały, czułem ich opiekę. Pracowaliśmy po siedem godzin dziennie, z weekendami. Pamiętam, jak kiedyś podzieliłem się tym, że po tylu próbach wciąż czuję treść. Kilka studentek, które nie grały w tym spektaklu, spojrzało na mnie dziwnie, jakby chciały zapytać: „Taki stary aktor i ciągle ma treść?”. Żeby one wiedziały, że dopiero drugi rok grałem... Na początku spektaklu jest film, dopiero później wchodzimy na żywo. Sala była pełna, my w kostiumach, ale w trakcie filmu szybko pobiegliśmy do łazienki zapalić. Drzwi się otworzyły, wszedł Wojciech Malajkat. Stał, popatrzył i powiedział: „Aktorzy. Macie szczęście, bo jakby to byli studenci...”.

Tak zostałem mianowany na aktora przez samego rektora.

Od dymu z komina

Potem tworzyliśmy następne teatry. Mąż Ani, Jerzyk, jest opowiadaczem, zaczęliśmy więc robić teatr opowieści. Wystąpiliśmy kilka razy, każdy ze swoją opowieścią. To zupełnie inny sposób grania. Potem zobaczyliśmy próbę teatru Ma(g)daleny, który w formie spektaklu pokazuje opresję wobec kobiet w przestrzeni publicznej. Martyna Markiewicz zgodziła się z nami popracować i stworzyć z nami Teatr Uciśnionych. Nasz spektakl pokazywał opresję wobec osób w kryzysie bezdomności: sceny wyrzucania z tramwaju, z galerii, nieudzielenia pomocy przez pogotowie... Na koniec: bardzo drastyczna scena pobicia, skopania i podpalenia osoby bezdomnej. Nie ma tekstu, tylko emocje, gesty, odgłosy. Zawsze jest cisza na sali, gdy do ludzi dociera, co zobaczyli, że to naprawdę się zdarza. Całość trwa piętnaście minut, ale potem gramy drugi raz – i wtedy osoby z publiczności mogą przerwać i wejść w rolę osób w pierwszej wersji obojętnych, by zmienić bieg wydarzeń. Jest w tym dużo im-

prawizacji. Mam nadzieję, że po pandemii wrócimy też do tego spektaklu.

Bo ja się napalam na każdą środę, kiedy mamy warsztaty! Zawsze jest coś nowego, ja tym żyję. Teatr odkrył przede mną inne sfery rzeczywistości.

Dopiero pięć lat temu dowiedziałem się, że mam aspergera. To wiele wyjaśnia. Wiele razy robiłem ten błąd, że chciałem żyć tak jak wszyscy – dom, praca, rodzina, znajomi i koniec. I to nie wychodziło, zawsze się rozpadało. W końcu zacząłem inaczej, jak w tym wierszu Staffa: „Budowałem na piasku / I zwało się. / Budowałem na skale / I zwało się. / Teraz budując zaczęć / Od dymu z komina”. Moim dymem z komina jest idea, by zmienić wizerunek osób w kryzysie bezdomności. Więc muszę sam działać, pokazywać, że taka osoba może pisać doktorat, prowadzić seminaria, wykłady, być pracownikiem naukowym, aktorem teatralnym, twórcą kultury. Niesamowicie się z tym czuję.

I nie tylko ja. Inne osoby z Teatru Bezdomnych – jest nas około dziesięciu – mówią to samo. Przy pierwszej premierze – „Zaczarowanym imbryku” – myślałem, że nie damy rady. Grupa zróżnicowana, sześć osób w kryzysie bezdomności, dwie



JUSTYNA ROJEK / EAST NEWS

Próba spektaklu „Straż! Straż!” Teatru Bezdomnych, na podstawie prozy Terry’ego Pratchetta. Teatr Baza na Mokotowie. Warszawa, 9 lipca 2021 r.

→ mieszkające wciąż w przestrzeni publicznej... Jak to ma wyjść? Na próby generalne zaprosiliśmy znajomych, na sali było dwieście miejsc. Wiedzieliśmy, że trochę osób przyszło, ale ile? Na profesjonalnej scenie tego nie widać. Mieliśmy dusze na ramionach – tyle razy się posypaliśmy, to pewnie i teraz się nie uda. My, bezdomni, zagramy spektakl? Ale kurtyna ruszyła, zapaliły się światła i poszło. Niewiele pamiętam. Ale była pełna sala, owacja na stojąco, trzy razy bisowaliśmy piosenki. Wchodziliśmy na scenę jako osoby bezdomne, a schodziliśmy jako aktorzy.

Oferta pomocowa dla osób w kryzysie bezdomności opiera się głównie na zasobach: ktoś był tokarzem, to próbuje się znaleźć mu pracę w zawodzie. Nie myśli się o tym, że to już raz nie wyszło, ktoś właśnie z tego życia wpadł w bezdomność. Czasem trzeba pracować na brakach – na tym, czego ludzie nie mają. To pozwala robić kultura. Zaangażowanie w nią daje cel, pomaga walczyć z uzależnieniem, bo się wie, że jak się zapije, to na próbę się nie dotrze. Pomaga nauczyć się spędzać wolny czas.

To nie musi być teatr. Może być rękodzieło, muzyka, zawody sportowe... Chodzi o podniesienie poczucia własnej wartości, odzyskanie godności. Wiele osób w kryzysie uważa, że się nie nadaje. A trzeba spróbować. Osoby, które zapierały się rękami i nogami przed udziałem w teatrze bezdomnych, świetnie sobie radzą. Zaczynają wierzyć w siebie. Później już wchodziliśmy jak przecinak w każdą inicjatywę, z poczuciem, że skoro raz się udało, to uda się znowu. Przez lata większość z nas była odrzucana, czuliśmy niechętny wzrok na ulicy, byliśmy wyrzu-

cani z różnych miejsc. A teraz jesteśmy aktorami. Gramy w teatrze. Nie jesteśmy tacy najgorsi. Coś warto robić. Kolegę, który dorabia grając w przejściu podziemnym, przechodzień rozpoznał, mówiąc: „Widziałem pana w teatrze, pan jest aktorem”.

Pandemia wszystko to utrudniła. Nie przerwała całkiem prób, zespół mógł działać, przygotowywać kolejny spektakl. Ale mnie uwięziła.

Przez ogrodzenie

W czerwcu 2020 r. trafiłem do DPS-u i próby się dla mnie skończyły. Moim światem był tylko tapczan: na nim spałem, odpoczywałem, rozmawiałem, pisałem. Wcześniej się nawet zastanawiałem, czy nie biorę na siebie za dużo. Jestem rzecznikiem prasowym w Europejskiej Sieci Przeciwdziałania Ubóstwu, działam w ATD Czwarty Świat, prowadzę zajęcia, uczestniczę w konferencjach naukowych, piszę książkę, udzielam się w Żywej Bibliotece, brałem udział w projekcie Otwarta Kuchnia Miejska, gram w teatrze w kilku formach i zespołach... Ale gdy nie mogłem wychodzić, to wszystkiego zaczęło mi brakować.

Wyjścia tylko na dziedziniec. Posiłki przynoszono nam do pokoju. I tak dziewięć miesięcy. Wiedziałem, że reszta zespołu się rozwija, uczy nowych rzeczy. A ja nie.

Staraliśmy się hakować system. Prowadziliśmy nagrania przez internet, nagrywałem swoje kwestie na dyktafon, żeby zrobić spektakl jako słuchowisko. To pozwala jeszcze mocniej wejść w tekst, każde zdanie można powiedzieć na tyle sposobów... Próby trwały miesiąc. Nasz

spektakl „Straż, straż!” według Terry’ego Pratchetta zrobiliśmy w wersji wideo. Też wziąłem w tym udział. Reżyser przyjechała z kamerą, dostałem zgodę, tylko jedna pani pilnowała, żebyśmy się nie zbliżali do siebie, bo byliśmy niezadowoleni. Przebrałem się w kostium i gralem. Filmowany byłem między szczebelkami w bramie. Przechodnie się odwracali i pewnie się zastanawiali, co to za gość w hełmie, nagołennikach i zbroi wydiera się do kamery i wymachuje rękoma.

To było ogromne wyzwanie – zagrać bez kolegów, w innej przestrzeni, niemal monolog roli. Działaliśmy tak, jak się dało, żeby Teatr Bezdomnych przetrwał pandemię. Wciąż nie zagraliśmy „Straży...” dla całej widowni. Była tylko otwarta próba, po której nanieśliśmy poprawki. Czekamy na premierę. Pracowaliśmy nad tym prawie rok, nie chcemy tego zmarnować.

Powstał kolejny spektakl – cztery etiudy w różnych konwencjach. Nie mogłem w tym brać udziału, ale po wyjściu dostałem rolę konferansjera, jakoś poszło. Bo w marcu tego roku zacząłem wychodzić. Od razu zrobiłem trzy rzeczy: oddałem na uczelni książki, które przetrzymałem osiem miesięcy, poszedłem na spotkanie ruchu ATD Czwarty Świat i poszedłem robić teatr. Muszę tylko uprzedzić z dwudniowym wyprzedzeniem, gdzie idę. W środy to mam wręcz abonament na wyjścia na próby.

Będziemy też znów chodzić do teatru. Kiedyś interesowała mnie w nim fabuła. A teraz, gdy chodziliśmy całą grupą, to pół na pół – śledzę fabułę, ale też obserwuję, jak oni to grają, podpatruję warsztat.

Jakoś przetrwałem. Uznałem, że w izolacji nadrobię zaległości w lekturach i co się uda, to przeniosę do internetu. Ale to nie to samo. To inne zajęcia ze studentami. W DPS-ie zresztą nie bardzo rozumieli, co robię. Kiedyś w trakcie spotkania nagle ktoś przyszedł mi mierzyć temperaturę. Tu włączone wideo, siedzę w słuchawkach... Mówię: „Przepraszam, mam konferencję”. Pracownikom to nie przychodzi do głowy. Mają podejrzenie, że tu tylko ludzie starsi, chorzy, nieaktywni.

Pasja tworzenia wygra

W wielu przypadkach to niestety prawda. Nawet w izolacji ciągle byłem zajęty. Przykro było patrzeć na mieszkańców, którzy nie mają takich odskoczni.

Widziałem smutne, zawiedzione, zgorzkniałe twarze ludzi, którzy czekają na śmierć, bo już nie mogli nawet czekać na odwiedzin, które zostały zawieszone. Wielu z nich nie wiedziało, co się stało, dlaczego bliscy przestali przychodzić. I tak dzień po dniu: śniadanie, obiad, mierzenie temperatury, kolacja, kąpiel, gołębnie i telewizja.

Kultura? Przed pandemią było tego więcej: przychodziły zespoły, były slajdowskie. Potem mniej i tylko online. Ale były spotkania muzealne, prowadziła je online animatorka z Muzeum Narodowego, zająć z Instytutu Wzornictwa Przemysłowego. 40 lat temu byłem tam kustoszem, więc mieliśmy o czym pogadać.

Ale mało kto był tym zainteresowany – było nas parę osób. Książki też mało kto czyta, internetu nie używa niemal nikt. Zaproponowałem stworzenie teatru opowieści, nie było chętnych. Chciałem pokazać, jak to wygląda, wyjaśniałem, że nie chodzi o opowiadanie życiorysu, zachęcałem, by spróbować. Nie chwyciło. Może teraz będę mógł zaprosić ekipę na występ i sam wystąpię. Pokażę, że proszę, też mieszkam tutaj i występuję – to może coś ruszy.

Zawsze jest cisza na sali,
gdy do ludzi dociera,
że to, co zobaczyli, naprawdę
się zdarza. Potem gramy
drugi raz – i wtedy osoby
z publiczności mogą przerwać
**i wejść w rolę, by zmienić
bieg wydarzeń.**

To kluczowa różnica: popatrzeć na coś, a coś współtworzyć! Ale w tym domu zachodzącego słońca większość myśli, że nie ma nic do powiedzenia. To nieprawda. Tylko celu brakuje. Tak samo było w Teatrze Bezdomnych, ale udało się to zmienić. Liczę, że i tutaj się w końcu uda i to mimo tego, że większość mieszkańców jest schorowana. Zgodę na wychodzenie – niezależnie od pandemii – dostało tylko 12 osób na 80.

Próbuję, choć słyszę, że tu nie pasuję. Robię swoje. To jest dla mnie dobre, świetnie się z tym czuję, więc nie przejmuję się, gdy słyszę, że jestem zbyt aktywny.

W DPS-ie boją się rozgłosu, najbardziej by chyba chcieli, aby wokół domu było po prostu cicho. Lecz ja robię to dla siebie. Kiedyś zagraliśmy dla trzech osób, ale i tak warto. Każde wystąpienie to okazja, by coś zmienić, poprawić, rozwinąć się. Moja opowieść, z którą występuję, też się zmienia i zmienia. To jest ciągle tworzenie. Żal mi, że tak wiele osób rezygnuje z czegoś, co daje satysfakcję i staje się celem życia.

Ciągle szukam odpowiedzi na pytanie, dlaczego to tak wygląda. Może i ja bym tak żył, gdyby nie ten kupiony laptop, gdybym nie poznał internetu, gdyby mnie w Misji nie wypychano do działania, gdybym nie trafił do Teatru? Ale dziś już nie umiem inaczej.

Pandemia z tą pasją życia i tworzenia nie wygra. © IGNACY DUDKIEWICZ

Tekst został napisany na konkurs i nagrodzony II nagrodą w kategorii Reportaż w konkursie „Kultura w pandemii – pandemia w kulturze” zorganizowanym przez Stowarzyszenie Autorów ZAiKS, Towarzystwo Dziennikarskie i Collegium Civitas.

Autor jest redaktorem naczelnym Magazynu Kontakt (www.magazynkontakt.pl).

„Tygodnik Powszechny” dostępny dla osób niewidomych i słabowidzących!

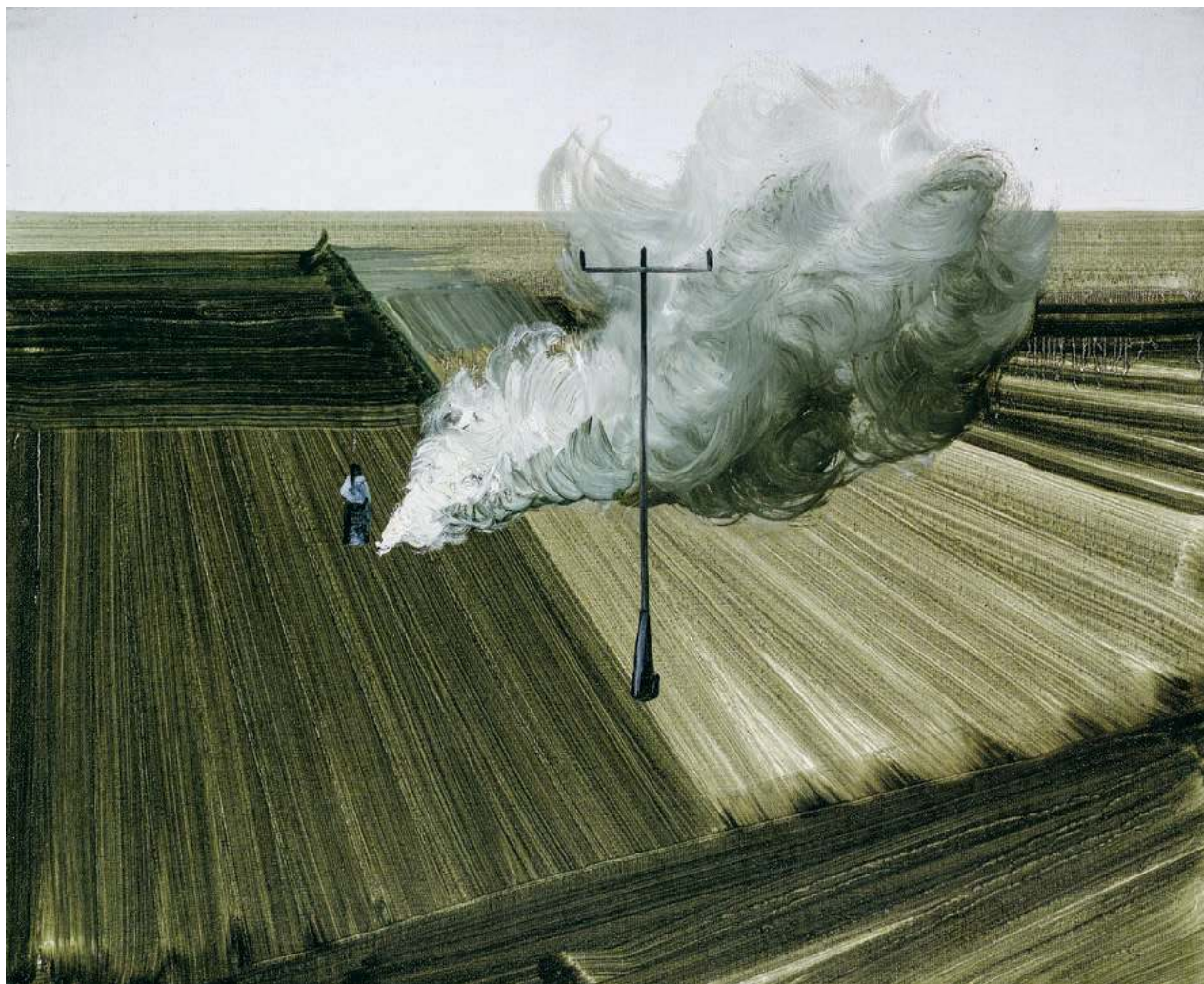
Rejestracja w internetowym kiosku Stowarzyszenia „De Facto” umożliwia bezpłatną lekturę „Tygodnika Powszechnego” osobom z orzeczeniem niepełnosprawności z tytułu wzroku.

Serdecznie prosimy Państwa o przekazanie tej informacji bliskim, przyjaciółom lub sąsiadom, którzy mogą być zainteresowani czytaniem naszego pisma w takiej formie.

Więcej informacji na
powszech.net/dostepny

DE
STOWARZYSZENIE
FACTO

TYGODNIK
POWSZECHNY



MATERIAŁY PRASOWE MUZEUM POLIN

Pejzaż z pamięci

PIOTR KOSIEWSKI

Dla niektórych może to być stwierdzenie obrazoburcze, ale Wilhelm Sasnal jest najbardziej arcypolskim z żyjących dziś twórców.

W WARSZAWSKIM MUZEUM POLIN można oglądać pierwszy od ponad dekady obszerny pokaz dzieł Wilhelma Sasnala w Polsce. „Taki pejzaż” dotyka kwestii kluczowych dla naszej pamięci i tożsamości. Na wystawie znalazło się blisko 60 prac powstałych w latach 1999–2021.

Muzeum poświęcone dziejom polskich Żydów zostało zbudowane na terenie założonego przez Niemców, a potem przez nich unicestwionego warszawskiego getta. Żydzi, Holokaust i antysemityzm

to bardzo ważny temat w twórczości Sasnala. Jak sam podkreśla, wziął się on z poczucia winy i chęci własnego uporania się z przeszłością. Nie jest to jednak wystawa o relacjach polsko-żydowskich.

Puste miejsca

Prace Sasnala często mają źródła w filmie, fotografii, komiksie, wreszcie w twórczości poprzedników. Wykorzystują pojedyncze zdania, rysunki czy kadry. Może to być fragment dialogu w postaci komiksowych „dymków” z opo-

wiadań Tadeusza Borowskiego. Mogą to być puste pejzaże zapamiętane z „Shoah” Claude’a Lanzmanna – namalowane grubymi, wyrazistymi pociągnięciami drzewa i gdzieś w oddali niewielkie postaci ludzi. Na wystawie są też obrazy, które są wynikiem własnych doświadczeń, jak z podróży rowerem latem 2016 r. przez Majdanek, Sobibór, Bełzec. To właśnie ten porzucony rower stoi w pustej, bezludnej przestrzeni dawnego obozu koncentracyjnego.

Wszystkie pominięcia, uszkodzenia, zatarcia, tak częste w obrazach Sasnala, poświadczają kaleki status naszej pamięci. Trudności, jakie sprawia nam przeszłość, niemalże zawsze doświadczana niepełnie, fragmentarycznie. Zwłaszcza ta, o której chciałoby się zapomnieć, wymazać. A jednak nie można. Nietzsche w „Genealogii moralności” przekonywał: „Wypala się ogniem, co ma zostać w pamięci: tylko to, co nie przestaje b o l e ć, zostaje w pamięci”.



MATERIAŁY PRASOWE MUZEUM POLIN

*Wilhelm Sasnal, Shoah (Las), 2003, olej na płótnie, kolekcja prywatna
Po lewej: Wilhelm Sasnal, Kraków–Warszawa, 2006, olej na płótnie,
kolekcja Zachęty – Narodowej Galerii Sztuki, Warszawa*

Malarstwo i pamięć

Wystawie w POLINIE towarzyszy „Ilustrowany przewodnik”. Niezwykły, bo w całości narysowany przez malarza. Informacje o niektórych pracach dopełnił komentarzami, m.in. o okolicznościach ich powstania. Jednak uważniej przyglądając się samym przedstawieniom prac, można dostrzec zmiany, korekty, uzupełnienia w stosunku do oryginałów. Cytaty z opowiadania Borowskiego zostały uzupełnione krajobrazem z drugiego płótna. Oba stały się jednym dziełem. Z kolei portretowi tłumaczki z filmu Lanzmanna towarzyszy druga postać. Jakby Wilhelm Sasnal chciał na nowo opowiedzieć te historie.

Są tu portrety związanego z ONR-em ks. Stanisława Trzeciaka czy biskupa Aloisa Hudala, który po II wojnie światowej pomagał nazistom w ucieczkach do Ameryki Południowej. Ale też płótna powstałe na podstawie obrazów Edgara Degasa, jednego z najwybitniejszych malarzy,

a jednocześnie antysemitę. Czy o jego poglądach należy zapomnieć, patrząc na kolejne fenomenalne przedstawienia tancerki? A może nie wolno tego zrobić? Tylko czy można wtedy z niezmaconym podziwem oglądać obrazy Degasa?

Sasnal opowiada nie tyle o przeszłości, co o stosunku do niej, o społecznych relacjach, lękach i mniej lub bardziej świadomym wypieraniu niewygodnych faktów. O niepokojach, wręcz strachu, który towarzyszy ich przypominaniu, jak w obrazie, w którym nad pejzażem unosi się słowo-tytuł wydanej w 2008 r. książki Jana Tomasza Grossa.

Jaka tożsamość?

Przeszłość u Wilhelma Sasnala nie ogranicza się do problematyki żydowskiej. W 2003 r. powstał jeden z najbardziej niezwykłych jego obrazów – portret Gabrieli Narutowicza. Przypomina oficjalne wizerunki z dwudziestolecia międzywojennego. Twarz w ujęciu na trzy czwarte,

ciemny garnitur, biała koszula, krawat. Obraz jest niemalże monochromatyczny, o bardzo ograniczonej kolorystyce, a postać wygląda, jakby przezielała spod warstwy brudu. Jakby ten portret był już nikomu niepotrzebny, nic już nie znaczący, zalegał w kącie zapomnianej rupiecarni. A przecież przedstawia jedną z najważniejszych postaci w polskich dziejach ubiegłego stulecia.

Sasnal zarazem przypomina, że są granice: nie wszystko można namalować, a zwłaszcza – nie wszystko można pokazać. W 2010 r. stworzył portret Adolfa Hitlera, który jest obecny na wystawie w Muzeum POLIN, ale w dość nieoczekiwanej formie. Cała postać została zamazana grubymi warstwami farby, a do obrazu przybito w poprzek listwę, jakby artysta chciał dodatkowo przekreślić wizerunek.

Pamięć, to co uznajemy za ważne z przeszłości, ma kluczowe znaczenie dla naszej tożsamości. Malarz odczytuje ją na własnych warunkach, ale też zaprasza odbiorców do szukania własnych odpowiedzi. Sprzyja temu sam kształt wystawy, sposób zawieszenia obrazów, a także aranżowania, całkowicie na nowo, galerijnej przestrzeni – to dzieło Johanny Meyer-Grohbrügge. Ściany pokryto srebrną, lekko matową okleiną, w której odbijają się prace Sasnala i postacie zwiędzających – to bardziej zarysy lub cienie. Całe pomieszczenie zostało jakby odrealnione, poszczególnie wątki wystawy nieustannie się przenikają – przygotował ją Adam Szymczyk, jeden z najwybitniejszych nie tylko w Polsce kuratorów.

Nie sama przeszłość jest tam jednak obecna. Nie mniej istotnym wątkiem jest stosunek do Innego. Stąd obraz „Murzynek Bambo”, wprost odnoszący się do słynnego wiersza Juliana Tuwima. Jak podkreśla malarz, dla niego ten utwór nie miał rasistowskich konotacji (jak dla wielu innych osób zapewne), jednak kontekst społeczny, sens, jaki nadano określeniu „Murzyn”, wymusza zmianę języka. Podobnie jak w przypadku innej grupy – Romów. Nieprzypadkowo na wystawie znalazł się obraz namalowany według bardzo pięknego zresztą płótna Maksymiliana Gieryskiego „Obóz Cyganów” (1867–1868). Zebranie w jednym miejscu tych wszystkich wątków jest ważne, bo jak podkreśla Adam Szymczyk w tekście towarzyszącym wystawie, na „wszelkie formy nacjonalistycznego bądź religijnie motywowanego odrzucenia Innego” ➔

→ trzeba spojrzeć inaczej, nie przeciwstawiać jednych wykluczanych drugim i „nie kłócić się o wyłączność poszczególnych wyzwoleńczych narracji”.

Pejzaż

Pytania o polskość dotyczą również przywołanego w tytule wystawy pejzażu. Szczególnego, bo utożsamianego z polsnością – w XIX wieku stworzono jego archetypiczne wyobrażenia: rozległych pustkowi, pól pociętych drogami, nieużytków, leśnych kniei. Do dziś one na nas oddziałują. Poprzez nie patrzymy na krajobrazy za oknami samochodu czy pociągu.

Sasnal jest dziś postrzegany jako malarz historyczny. Nieoczywisty, bo w odróżnieniu od wielu innych współczesnych twórców nie realizuje projektów poświęconych przeszłości. Jego prace są przede wszystkim reakcjami na konkretne wydarzenia, lektury, miejsca. Nieprzypadkowo w POLINIE znalazły się bardzo ostre w wymowie antyfaszystowskie grafiki – dochód z ich sprzedaży wsparł działalność Stowarzyszenia Nigdy Więcej, zajmującego się przeciwdziałaniu rasizmowi, neofaszyzmowi, ksenofobii i dyskryminacji.

Uderzające, jak obrazy Sasnala poświęcone przeszłości są niemalże wyprane z koloru, z którego zresztą malarz w ogóle korzysta oszczędnie. Wystawa w Muzeum POLIN umocni ten jednostronny wizerunek malarza, ale jak on sam niedawno mówił w rozmowie dla „Tygodnika Powszechnego”: „Może gdybym funkcjonował tylko w Polsce, to taki odbiór byłby uciążliwy. Tak jednak nie jest”. Cóż – tu mamy wystawę dla nas, Polaków.

© PIOTR KOSIEWSKI

Wilhelm Sasnal **TAKI PEJZAŻ**, Warszawa, Muzeum Historii Żydów Polskich POLIN, wystawa czynna do 10 stycznia 2022 r., kurator Adam Szymczyk.

W zapasowym świecie

ANITA PIOTROWSKA

Jeśli coś nas ocali – zdaje się mówić Jan Jakub Kolski – to wsłuchiwanie się w głos dzieci, pielęgnowanie kultury protestu, wpatrywanie się w to, co pozostało nietknięte.

MAŁE DZIECI TO NIE ŚMIECI!” – SKANDUJĄ wychowankowie domu dziecka w proteście przeciw budowie nowoczesnej zapory. Planowana akcja spowoduje zatopienie okolicznych terenów, a w konsekwencji zamknięcie ośrodka i rozdzielenie jego mieszkańców. To samo zacne hasło zdaje się przyświecać najnowszemu filmowi Jana Jakuba Kolskiego.

„Republika dzieci” reprezentuje bowiem odradzający się u nas (wreszcie!) gatunek filmów dla młodego widza; zresztą kino reżysera „Jańcia Wodnika” zawsze było jakoś dzieckiem podszyte. Tym razem realizm magiczny stał się podstawowym budulcem świata przedstawionego, w dodatku spajającym ważne treści ekologiczne i humanistyczne. Pytanie tylko, czy ta chwila piękna, acz rozwleczone w czasie ekobaśń przemówi do tych, o których opowiada.

Film Kolskiego posiada wyśmienity koncept wyjściowy. Zimową porą 1903 r. zabiera nas do dworu w Łusławicach, gdzie Jacek Malczewski (w tej i zarazem niejedyną rolę zacinający się znajomo Łukasz Simlat) oplakuje swoje straty. Oto z płócien artysty poznikały nagle wszystkie mitologiczne stwory: fauny, nimfy, utopce, strzygi; podobny los spotkał obrazy innych młodzińskich mistrzów. Ów bestiariusz „na gigantycie” zawędrował aż do współczesności, w rejony Gór Stołowych, gdzie trwa właśnie upalne lato i miłośnicy się wspominają na początku sierociniec.

Uciekinierzy nie zamierzają szybko wracać – mają do spełnienia misję. Chciałyby pomóc dzisiejszym dzieciakom, zapraszając je do zbudowanej na mokradłach w głębi lasu tytułowej republiki, czyli utopijnej oazy korcakovskiej demokracji. Jest wśród nich pastuszek Tobiasz (Mateusz Grys) i jego anioł stróż Rafał (Andrzej Grabowski).

Ten ostatni lubi sobie co prawda pociągnąć z buklaka, lecz ma złote serce i bezpośrednie połączenie z Panem Bogiem. Czasami bez odbioru.

Właściwie mamy tu wszystko, czego kinu *fantasy* potrzeba: niezmiernych bohaterów, równie bajeczną przyrodę, cudowne uzdrowienia i wymyślne maszyny, baśniową muzykę Adriana Konarskiego wzbogaconą brzmieniem etno zespołu Dikanda i ekstatyczne rytualne tańce, a do tego szczyptę mięsistego naturalizmu. I jeszcze, niczym u Borgesa, wszyscy tutaj coś intensywnie śnią, dlatego trudno czasem rozstrzygnąć, kto w czym śnie przebywa, i tym samym, jaki porządek narracyjny w danym momencie rządzi. Ludzkich dzieci? Malarskich dziwadeł? A może młodej dyrektorki domu dziecka (Karolina Rzepa), czyli zimnej karierowiczki, którą czeka wewnętrzne przebudzenie?

Jednakże przy całym imaginacyjnym i wizualnym rozmachu trudno byłoby stawiać „Republikę dzieci” w jednym rzędzie z filmami takiego np. Guillerma del Toro, twórcy pamiętnego „Labiryntu fauna”. Mimo imponującego jak na polskie warunki scenograficzno-kostiumowego wypasu i aktorskiej plejady (Krzysztof Globisz, Olgierd Łukaszewicz, Marian Opania), najmniej przekonuje właśnie światotwórstwo Kolskiego, bo ten zaczarowany świat, ładnie sfotografowany przez Michała Pakulskiego, co chwila zostaje przykryty publicystyką, dydaktyką i przyciężkim humorem.

Świetnie, że dzieciaki dowiedzą się z tego filmu, kim był Malczewski i bohaterowie jego obrazów. Fantastycznie, że wizyta w kinie może stać się okazją do rozmowy o maksisprawach. O dobrodziejstwie, jaką są pozostałości dziewiczej natury, i o kosztach cywilizacyjnego postępu. Wreszcie – o spr-

**RADIO
KRAKÓW**

Co wtorek o godz. 14.30
na antenie Radia

Kraków goszczą dziennikarze „Tygodnika
Powszechnego”.

Słuchaj nas w Małopolsce:

Kraków – 101,6 FM | Nowy Sącz – 90,0 FM

Krynica Zdrój – 102,1 FM

Rabka Zdrój – 87,6 FM | Tarnów – 101,0 FM

Zakopane – 100,0 FM | Andrychów – 98,8 FM

Gorlice – 97,4 FM | www.radiokrakow.pl



MATERIAŁY PRASOWE TVP

Kadr z filmu „Republika dzieci”

wujących władzę złodowaciałych sercach, które roztopić mógłby jedynie dźwięk fletni Pana. Ale przez ten nadmiarowy dyskurs „Republika...” gubi rytm i rozpada się na różnego kalibru sceny, ewidentnie pomyślane, ażeby uczyć, bawić, wzruszać albo zachwycać. Wizja, w której mali wygnańcy ruszają wspólnie do „zapasowego świata” (czyli do rzeczywistości alternatywnej, gdzie schronić się można po wielkiej katastrofie) i przepływają przez oświetlane pochodniami jaskinie, z pewnością urzeka poetycką urodą. Brakuje za to dwóch składników dla gatunku *fantasy* esencjonalnych, a mianowicie angażującej na sto procent przygody i dotknięcia tajemnicy.

Jeśli coś nas ocali – zdaje się mówić Kolski – to wsłuchiwanie się w głos naszych dzieci, pielęgnowanie kultury protestu, intensywne wpatrywanie się w to, co pozostało nietknięte, uczenie się nazw dzikich roślin i zwierząt. Jednakże słuszny bunt mieszkańców pewnej placówki opiekuńczo-wychowawczej także nie przekonuje do końca. Młodzi mówią dorosłymi frazami, to znów czuje się w ich wypowiedziach pewną kokieteryję wobec widza młodszej generacji. Wygląd też dzieciaki

mają cokolwiek uproszczone: nietwarzowe okulary, brzydkie ubrania – ot, stereotypowi podopieczni „biduła”. A przecież realizm magiczny też domaga się solidnie ugruntowanej rzeczywistości.

Jeśli sama „Republika dzieci” coś metaforycznie ocala, jest tym z pewnością przepysznym dolnośląskim krajobraz. Nie mogło się rzecz jasna obejść bez „drony” – choroby wielu polskich filmów, które coraz częściej przypominają klipy promujące z lotu ptaka walory turystyczne regionu. Serce jednak rośnie na widok cudem ocalonego mostu kolejowego nad Jeziorem Pilchowskim. W jednej ze scen uciekinierzy z domu dziecka przeprawiają się nim na drugą stronę, zanim zostanie wysadzony przez saperów.

Nie da się zaprzeczyć: ten film powstał ze szczerzej tęsknoty za jakimś „światem zapasowym”, w którym nie niszczy się bezmyślnie naturalnego czy kulturowego dziedzictwa. Żeby jeszcze opowiadał o tym z trochę większym wyczuciem i samodyscypliną. ©

REPUBLIKA DZIECI – reż. Jan Jakub Kolski. Prod. Polska 2021. Dystryb. TVP. W kinach od 30 lipca.

WARTO ZOBACZYĆ

1. Zappa



Dokumentalny, reż. Alex Winter, Wielka Brytania/USA 2020, Canal+ Dokument, 3 VIII, 20.00 W kooperacji z rodziną muzyka powstał portret

skupiony nie tylko na działalności artystycznej, lecz także na jego poglądach, poczuciu humoru i wyobraźni. Buszując w przebogatych archiwach, twórca filmu widzi w Zappie przede wszystkim niestrudzonego amerykańskiego buntownika, który doczekał się kultowego statusu.

2. Wind River. Na przekłętej ziemi



Thriller, reż. Taylor Sheridan, Kanada/USA/ Wielka Brytania 2017, Player, Cineman

Westernowa sceneria, kryminalna intryga i emocje wy-

kraczające poza gatunkowe schematy – to wszystko zawarte jest w opowieści o morderstwie dokonany na dziewczynie z rezerwatu. Zagadkę próbują rozwikłać agentka FBI i tropiciel dzikich zwierząt, a za kamerą po raz pierwszy stanął scenarzysta „Sicario”, zgarbiając m.in. nagrodę za reżyserię w Cannes.

3. Odgłosy robaków – zapiski mumii



Dokumentalny, reż. Peter Liechti, Szwajcaria 2009, Ninateka, mdaq VOD, CDA Premium

Takie filmy nazywa się „mockumentami”, bo grani-

ca między faktem i fikcją została tu całkowicie zatarta. Ale nie dla zgrzywy. Liechti odtwarza stan umysłu kogoś, kto nie mogąc udźwignąć ciężaru życia zdecydował się na gest ostateczny. Narracji „zza grobu” towarzyszą obrazy dzikiej natury – źródła refleksji i jedynego świadka ludzkiej udręki. Europejska Nagroda Filmowa dla najlepszego dokumentu.

4. Patria



Serial, tw. Aitor Gabilondo, Hiszpania 2020, odc. 1-8, HBO GO Na podstawie powieści Fernanda Aramburu powsta-

ła jedna z ciekawszych produkcji telewizyjnych o waśniach etnicznych. Baskijski separatyzm kładzie się cieniem na przyjaźni dwóch kobiet, kiedy mąż jednej z nich ginie w zamachu ETA. Jak poradzić sobie ze stratą, a jednocześnie z nienawiścią do jej sprawców? Rozciągnięta na 30 lat historia opowiada o osobistych kosztach politycznego konfliktu.

JAN

Klata: Bitwy narracji



ZAPRAWDĘ, RACJĘ MA NOBLISTKA: KTO snuje narrację, ten ma władzę. W razie wątpliwości proszę pokazać Litwinom fragment „Krzyżaków” z bitwą pod Grunwaldem. Szok i niedowierzanie. Super-produkcja na książkowych faktach au-

tentycznych oparta, Sienkiewicz opisał, jak było, ludzie na pamięć w kolejnych pokoleniach wykuli, w 1960 r. sfilmowali... natomiast litewscy inteligenci A.D. 2021 niewzruszenie sceptyczni. No i co zrobisz? Nic nie zrobisz. Pokazuję im dwa nagie grunwaldzkie miecze, a oni nie wiedzą, co to. Kto jak kto, ale bracia Litwini? Pytają: gdzie Witold, przecież to on wygrał bitwę pod Żalgirisem? Całe szczęście, że w Klajpedzie nie ma już Niemców, bo oznajmiliby, że w bitwie pod Tannenbergiem tryumfowali Ludendorff i Hindenburg, i to w 1914 r., a generalnie

przecież dyskusję toczyliśmy w hanzeatyckim mieście Memel na terenie Prus Wschodnich... Ale z braku Niemców oglądamy „Krzyżaków” w gronie unijnym, w lipcu, prawie rocznicowo. Tak czy owak, Jagiełło ponadczasowo pobożny, piękny i rezolutny, Teutoni butni, natomiast współcześni Litwini przed ekranem z lekka dotknięci.

Miliony Polaków nie mogą się mylić, mimo że największy *blockbuster* polskiej kinematografii nie przekonał sojuszników spod Grunwaldu/Żalgirisu. Pokazują mi Matejkę – przecież ten naprawdę wiedział, jak było. Kto w centrum obrazu? Kto zabija krzyżackiego wodza? Gdzie się podziewa Jogaila? Gdzie poza kadrem niemal. Sienkiewicz *versus* Matejko – oto pojedynek tytanów narracji 2021.

A *propos* tytanów narracji: *tour operator* Łukaszenka pędzi tysiące imigrantów z Afryki i Bliskiego Wschodu na litewską stronę, w związku z czym Estonia przekazała 100 km drutu kolczastego do izolacji granicy z Białorusią. Na Litwie nikt nie produkuje tego strategicznego surowca, ale chyba będą musieli zacząć. Natomiast nasz rodzimy czuły narrator, strategiczny minister Kaczyński, ostrzy ząbki na TVN24. Przepchnie jakąś ustawę, przejmie stację przy pomocy Obajtka, pozostanie mu tylko znalezienie nowego Sienkiewicza i Matejki, a jakiś Grunwald sam się napatoczy. Wieczność czeka. ©

Lektor: Odzyskanie przeszłości



■ Natalia Ginzburg
SŁOWNIK RODZINNY
Przełożyła Anna Wasilewska,
Wydawnictwo Filtry,
Warszawa 2021, ss. 321.

WYDAWAŁOBY SIĘ – jeszcze jeden portret rodziny ułożony ze strzępów wspomnień. Ciepły, choć zupełnie niesentymentalny, czasem bardzo zabawny. Ojciec – furiat i nieco męczący tetryk mający na każdy temat zdecydowane zdanie, matka – cokolwiek oderwana od życia, z okrucichów rzeczywistości budująca własny świat, w którym czuje się bezpiecznie. Piątka rodzeństwa, w tym dwaj bracia, którzy w młodości wciąż się tłuką. Przyjaciele domu (niektórzy za

granicą), zwariowana służąca myśląca rodzajnikami żeński i męski. No i w ogóle język – wewnętrzny kod rodzinny, ów tytułowy słownik, oparty na słyszanych od dzieciństwa zwrotach i powiedzeniach, których podwójny sens odczytać mogą tylko wtajemniczeni. Wchodzimy w tę opowieść jakby od środka, toczy się ona po kole, więc i efektownej puenty nie będzie – wyjdziemy tak, jak weszliśmy, niespodziewanie i w trakcie toczącej właśnie rozmowy.

A więc wszystko to znamy? No, nie do końca. Bo w tym prywatnym i pozornie nieuporządkowanym trybie Natalia Ginzburg (1916–1991), świetna pisarka włoska, opowiedziała nie tylko dzieje własnej rodziny, ale i kawał historii. Rodzina jest włosko-żydowska i mocno lewicowa, akcja zaś toczy się za rządów Mussoliniego, podczas II wojny i tuż po niej. Jak przypomina w posłowie tłumaczka: „To czasy początków, a potem triumfu faszyzmu, wprowadzenia ustaw rasowych, prześladowania Żydów, aresztowań i zesłań za prowadzenie działalności antyfaszystowskiej, a następnie czasy ruchu oporu i wyzwolenia”. Apodyktyczny ojciec to profesor Giuseppe Levi, anatom i histolog, wybitny uczony, wychowawca trojga laureatów Nobla. Niemal każde z nazwisk, które

jakby przypadkiem padają, jest znaczące. Są tu twórcy włoskiej socjaldemokracji i antyfaszyści. Jest rodzina Olivettich (imperium maszyn do pisania, a potem komputerów). Są pisarze, wydawcy, intelektualisci, jak Cesare Pavese, Giulio Einaudi, Felice Balbo (nie mylić z Italem!), żyjący na emigracji we Francji Nicola Chiaromonte i Andrea Caffi, skazany na wieloletnie więzienie Vittorio Foa. Do więzienia trafia też, choć na krótko, profesor Levi, a mąż autorki, Leone Ginzburg, zostaje po wkroczeniu Niemców zamordowany. Wszystko to w „Słowniku rodzinnym”, wydanym w 1963 r. i nagrodzonym prestiżową Premią Strega, się znalazło, ale bez patosu ani martyrologii. Natalia Ginzburg znalazła inny sposób, by wskrzesić przeszłość. Niespodziewany i znakomity. ©

PAWEŁ

Bravo: Bez słodzenia



KOŃCZĘ POWOLI TEN ROK – MÓWI MI PAN Jurek, pszczelarz miejski, którego mam zaszczyt być sąsiadem i zachłannym klientem. – Pszczoły już wybierały, co było do wybierania, z ważniejszych pożytków zostaje jeszcze nawłóć, ale nie

chcę ich na nią wypuszczać, będą potem zbyt zmęczone.

Koniec lipca to jeden z kilku ulubionych momentów w roku, kiedy udaję się do niego sprawdzić, jak smakuje świeży lipowy miód, i kupić solidny zapas. Nie wyobrażam sobie bez niego przetrwania zimy z ustawicznymi przeziębieniami. A jednak będę musiał sobie to wyobrazić. W tym roku bowiem warszawskie pszczoły nie dały lipowego. Drzewa, owszem, zakwitły, ale było w owym czasie tak sucho, że praktycznie nie nektarowały.

Na pociechę pszczoły pana Jurka na Wilanowie dopadły gdzieś – być może na tych samych lipach – spadź, z której zrobili ciemny miód o smaku mocno podpalanego toffi, rodzynek i suszonych fig. Tyle dobrego może powstać dzięki obecności mszyc, którym ludzie raczej nie poświęcają ciepłych myśli. W cyrkularnej ekonomii wszechświata nasze rozróżnienia na korzyść i stratę są jak żalosne klapki na nasze mętne, krótkowzroczne ślepia.

Ale żeby zdobyć lipowy, muszę szukać w regionach, gdzie pogoda może była lepsza. Sęk w tym, że potrzebuję do pszczelarza mieć elementarne zaufanie, wynikające z pobieżnej choćby znajomości – analogiczne do tego, jakim obdarzam rzeźnika, od którego biorę mięso. Trochę rozumiem tych najbardziej szalonych wegan, którzy miodu do ust nie wezmą. Jeśli się tylko miało okazję patrzeć z bliska na hodowlę pszczół, nawdychać się tych przenikliwych zapachów, obserwować, co się dzieje z tą tajemniczą wydzieliną, to nie ma się wątpliwości, że jest to twór wybitnie zwierzęcy. Nie uśmiecha mi się go kupować od byle kogo.

Czy dobrze dba o rodziny, czy ma czysto i czy ma w miarę po kolei w głowie? Może to nie gra roli i można być dobrym rzemieślnikiem wierząc w gusła, ale jednak poczułem skurcz w żołądku, kiedy rok temu czytałem, jak szef specjalistycznego instytutu – komentując podobny problem z brakiem miodu lipowego na Lubelszczyźnie – na równi z innymi przytacza teorię, że to wieże 5G i ich rzekome promieniowanie zniechęcają pszczoły do pracy. Trzeba to dopiero zbadać, sugerował, choć jedyne, co jest tu warte zbadania, to kręte ścieżki, którymi kłamstwo i manipulacje zagnieżdżają się w głowach.

Głupota łatwo przestaje być sprawą czysto prywatną, stan upowszechnienia logiki okazuje się mieć ważniejszy wpływ na kondycję państwa niż, dajmy na to, PKB *per capita* czy liczba czołgów gotowych do walki. Ten rok, który z punktu widzenia pszczelarza już powoli zmierza do końca, ale dla większości z nas ledwo przeszedł przez półmetek, może nas



ADOBE STOCK

doświadczyć nawet ciężiej, niż pamiętny 2020. Przekonujemy się, jak bardzo umowa społeczna – to niewidzialne spoiwo, któremu rzadko poświęcamy namysł – może obrócić się w pył nie z powodu immanentnego zła czy hobbesowskiej skłonności do wzajemnego mordu, tylko z powodu zabobonu, który daje łatwe alibi wygodnemu egoizmowi.

Nie ma w tej chwili ważniejszej dla Rzeczypospolitej sprawy jak osiągnięcie względnego przynajmniej bezpieczeństwa w obliczu choroby, która rozpręga procesy, rozkłada instytucje i niweczy interesy. Bezpieczeństwa niewymagającego żadnych poświęceń poza dwukrotnym podciągnięciem rękawa. Żadnego pójścia w okopy, oddania połowy majątku czy przyjęcia pod dach rodziny wypędzonych. Każdy może sobie żywić wszelkie strachy, jakie chce.

Demokracja liberalna jest wszak „zimnym” ustrojem, który nie wnika zbyt głęboko w przekonania i mowę, wymaga jedynie – jak kiedyś rzymska religia udziału w obrzędzie – podtrzymania czynem umowy społecznej.

W normalnych czasach ten czyn to głównie rzetelne płacenie podatków i roztropny udział w wyborach. Nikt nie pisze peanów na cześć skarbowki, ale jest oczywiste, że za niepłacenie podatków jesteśmy karani. Dlaczego przymus szczepień i represje dla opornych nie weszły jeszcze pod obrady Sejmu i nie zostały przyjęte w ponadpartyjnej ugodzie? Nie mamy dziś ważniejszej dla stanu demokracji kwestii niż szczepienia – ani bełkot ministra Czarnka, ani zakusy na prywatną telewizję, ani nawet kaganiec zakładany sędziom nie są tak jawnym zagrożeniem i tak bezczelnym skokiem na wspólne dobro jak odmowa szczepień. Władza ma swoje powody, by nie decydować się na szybkie rozwiązania w stylu francuskim (albo jeszcze ostrzejsze). Czy jednak ci, którzy mienią się od niej lepsi, głośno mówią, że są gotowi dać jej w tym względzie *carte blanche* i nie wykorzystywać napięć, jakie z tego wynikną?

© P

Kłopot z miodem w kuchni jest oczywiście ten, że tężeje, i aby go wykorzystać do sosów, trzeba przywrócić mu płynność, ogrzewając – nie dotyczy to akacjowego, ale ten akurat najbardziej pasuje mi do jedzenia z jogurtem, nie do gotowania. Chyba że potrzebujemy mocnego efektu karmelizacji (ten gatunek ma dużo cukru). Np. w prostej, ale bezbłędnej polewie do pieczonych pomidorków cherry: w dwóch łyżkach płynnego miodu rozkręcamy dwa ząbki czosnku przecięnięte przez praskę, dodajemy łyżkę octu balsamicznego i powoli łączymy z 5 łyżkami oliwy. To powinno nam wystarczyć na polanie ok. 0,5 kg pomidorków cherry, przeciętych na pół i ułożonych ciasno w brytfance rozciętą stroną do góry – a wcześniej posypanych solą i suszonymi ziołami (tymianek, cząber, lebiodka albo za'atar). Pieczemy je w niezbyt gorącym piekarniku (150 st. C) przez co najmniej trzy kwadranse, aż ładnie się nam zmarszcza, a polewa skarmelizuje.

SORRY, CANADA!

Legendarna kanadyjska uprzejmość to nie stereotyp, lecz sposób na życie. Dobre maniery i gotowość do przeproszania pomagają zróżnicowanemu społeczeństwu trzymać się razem.

JOANNA GIERAK-ONOSZKO

WPIERWSZYCH DNIACH PO PRZEPROWADZCE DO TORONTO uczyłam się poruszać po centrum, które obejmuje nie tylko zwykłe naziemne ulice. Pod wieżowcami pokrytymi szkłem i pod starymi ceglanyimi domami istnieje PATH, płatanina podziemnych korytarzy pełnych sklepów, knajpek i punktów przesiadkowych pomiędzy metrem, tramwajami i autobusami. Zabłądzić łatwo, dlatego w kamienicy, w której wówczas mieszkaliśmy, portier zagadnął, czy bez trudu udało mi się trafić pod właściwy adres.

– Przepraszam, ale ciągle jeszcze uczę się siatki połączeń, więc tym bardziej cieszę się, że tu dotarłam.

– Zaczynasz zdanie od „przepraszam” i narzekasz na transport publiczny. To znaczy, że jesteś już chyba prawdziwą Kanadyjką! – puścił do mnie oko, a ja szybko nauczyłam się obowiązujących zasad:

Kiedy tramwaj zahamuje i objuczona siatkami wpadasz na współpasażera, to on pierwszy mówi „przepraszam”.

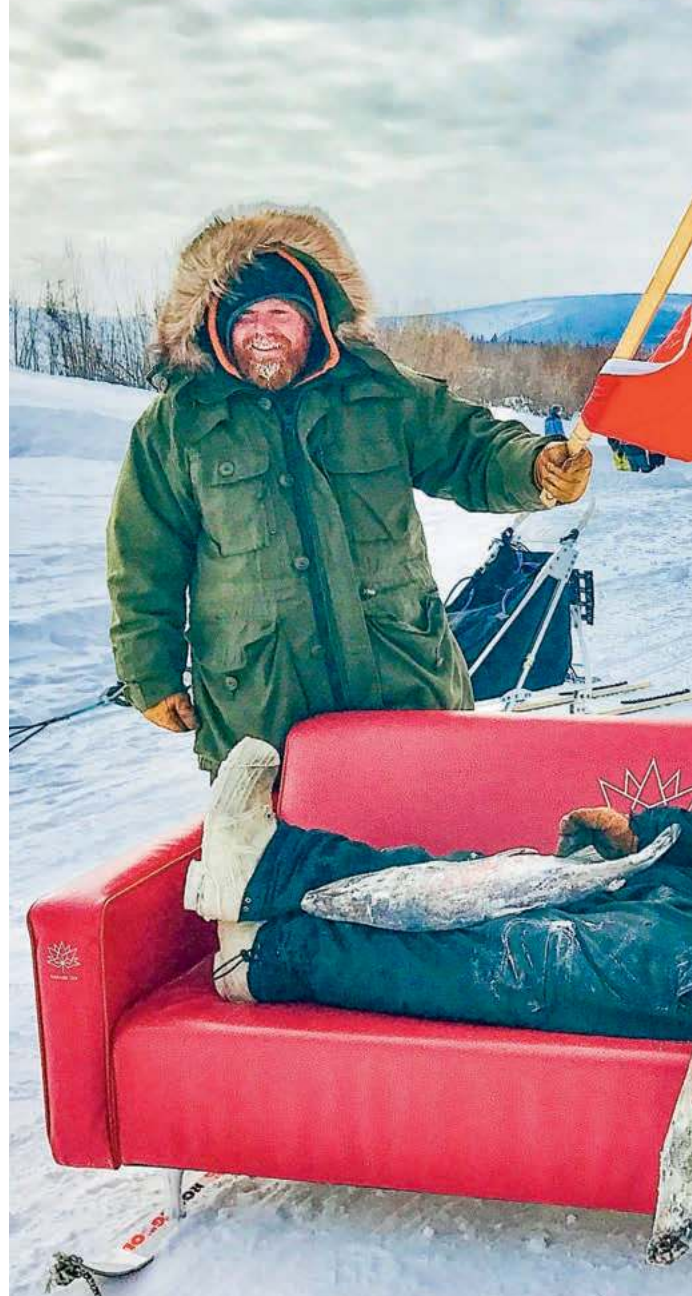
Kiedy w sieci Tim Hortons zamawiasz kawę *half-and-half*, czyli zabieloną w połowie mlekiem, a w połowie tłustą śmietanką, ale barista się pomylił, to ty przepraszasz.

Kiedy podczas trekkingu w okolicach Banff potkniesz się o wystający z ziemi korzeń, zanim upadniesz, zdążysz jeszcze krzyknąć: przepraszam!

– Kiedy wpadnie się na kogoś na ulicy, to odruchowo przepraszają obie strony – śmieje się Leslie Scanlon, ambasador Kanady w Polsce i na Białorusi. – Może się to wydawać nieco dziwne, ale tak właśnie zachowują się Kanadyjczycy.

Gdyby utworzyć chmurę tagów określającą słowa, które codziennie krążą w Kanadzie, „sorry” byłoby wśród nich największe i najważniejsze.

Uprzejmość, z której słyną Kanadyjczycy, niweluje bariery i otwiera granice równie łatwo jak paszport. Trafia do memów



i żartów tak często jak losie. Jest jednak nie tylko towarem eksportowym, ale też emanacją filozofii, która pozwala zupełnie różnym od siebie ludziom na pokojowe i przyjazne współistnienie.

Co to znaczy być Kanadyjczykiem?

Jeszcze w 1963 r. Marshall McLuhan, twórca pojęcia „globalna wioska” i patron wielu kanadyjskich szkół publicznych, powiedział, że Kanada jest jedynym państwem na świecie, które wie, jak żyć, nie mając tożsamości.

Nie ma bowiem zgody co do tego, co znaczy być Kanadyjczykiem. Nie istnieje zbiór cech, które wyczerpywałyby definicję kanadyjskości. Mamy oczywiście łatwo dostępny zbiór stereotypów i emblematów, mapę prostych skojarzeń. Znajdzie się tam imponująca przyroda, syrop klonowy i hokej. Insulina, pralka, pizza hawajska z ananasek. Mamy powidok Kanady, który reprezentują ikony popkultury, takie jak pisarka Margaret Atwood, piosenkarka Alanis Morissette, astronauta Chris Hadfield. A także szef rządu, Justin Trudeau. U siebie w kraju postrze-



ELA KINOWSKA / ARCHIWUM PRYWATNE

W ramach „Red Couch Project” Ela Kinowska i Piotr Sobierajski przejechali przez wszystkie prowincje i terytoria, nagrali 450 wywiadów. Swoim rozmówcom zadawali tylko jedno pytanie: czym dla Ciebie jest Kanada? Odpowiedzi się nie powtarzały.

tylko dlatego, że mogą cieszyć się dostępem do publicznego ubezpieczenia zdrowotnego. Odcinają się od amerykańskiego snu o potęgę, nie mają ambicji być światowym Supermanem. Na co dzień są zadowoleni z bycia Clarkiem Kentem.

W odróżnieniu od sąsiednich Stanów, Kanada nie jest tygłem kultur. To raczej mozaika, bo jej części nie przenikają się i nie łączą ze sobą. Elementy tworzące tę układankę ściśle do siebie przylegają, ale granice między nimi są wyraźnie zaznaczone. Można być Kanadyjczykiem o podwójnej tożsamości: przybyłym z Chin Chinese Canadian albo Indian Canadian urodzonym w rodzinie pochodzącej z Indii, a także Indigenous Canadian, czyli rdzennym Kanadyjczykiem – i w każdej z tych form być wiernym zarówno tradycji, jak i przyjmować nowe perspektywy. Dziś w Kanadzie żyją ludzie pochodzący z całego świata.

Toronto, choć nie jest stolicą, stało się nie tylko największym i zróżnicowanym, ale i najbardziej wieloetnicznym miastem na naszej planecie. Na ulicy pobrzmiewa tu ponad 150 języków. Pojawia się też pytanie, jak mówić o demografii tego blisko trzymilionowego miasta, które razem z satelickimi miejscowościami jest domem dla ponad 6 mln mieszkańców. Połowa przyszła na świat poza Kanadą. Do niedawna ludzi kolorowych nazywano tu *visible minority*, widoczną mniejszością. Od kilku lat to już nieaktualne, bo większość tych, którzy mieszkają w Toronto, ma kolor skóry inny niż biały.

Trudno o definicję Kanady, bo nie ma danych, które by ją wypełniały. Są za to postulaty, które można nazwać obietnicą Kanady. W 2015 r. Justin Trudeau udzielił głośnego wywiadu „New York Timesowi”. Stwierdził w nim, że Kanada jest pierwszym państwem postnarodowym, przekraczającym tradycyjne rozumienie państw opartych na wspólnocie etnicznej czy kulturowej. Trudeau dodał, że nie istnieje ani główna kanadyjska tożsamość, ani *mainstream*. Jego zdaniem w Kanadzie nie ma dominującej kultury, ale są wspólne wartości, takie jak „otwartość, szacunek, współczucie, gotowość do ciężkiej pracy, wspierania się nawzajem i do dążenia do równości oraz sprawiedliwości”. Brzmi nie tylko romantycznie, ale też utopijnie. Trudno również oprzeć się wrażeniu, że to raczej zbiór postulatów albo zarys projektu. Bo Kanada jest dziełem otwartym, państwem w ciągłym procesie przebudowy i aktualizacji kodu źródłowego.

W 2010 r. na ceremonii otwarcia igrzysk olimpijskich w Vancouver wystąpił poeta Shane Koyczan ze swoim wierszem „We Are More” („Jesteśmy czymś więcej”), którego fragment cytuje Charlotte Gray w bestsellerowej książce „The Promise of Canada” i który można przetłumaczyć następująco:

niektórzy mówią, że określa nas
proste prośbę i dziękuję
mówimy też nie ma za co
ale jesteśmy czymś więcej
niż ludźmi z dobrymi manierami
jesteśmy idea, która się realizuje
jesteśmy młodzi

gany jest jako menadżer, któremu powierzono zarządzanie krajem, lecz za granicą – przekroczył granice polityki i urosł do rangi znaku popkultury. W ostatnich latach na mapie skojarzeń pojawia się więc też inkluzywna polityka kierowanej przez niego Partii Liberalnej, dążenie do neutralności klimatycznej, a także niełatwy proces pojednania z rdzenną ludnością po krzywdach zadanych jej w systemie szkół z internatem, stworzonych przez państwo, a zarządzanych przez Kościół. Dla tych, którzy mają w rodzinie kogoś, kto wyemigrował do Kanady – Polonia liczy tam około miliona ludzi – to także osobiste historie opuszczenia, nadziei, czasem powrotów. Ale te puzzle nie tworzą jednej spójnej odpowiedzi na to, czym jest i jaka jest Kanada.

Łatwiej powiedzieć, czym Kanada nie jest. Od dawna bowiem rozumienie kanadyjskości buduje się przede wszystkim na porównaniu, a raczej antytezie wobec amerykańskości – dotyczy to m.in. spraw gospodarczych, polityki zagranicznej, stosunku do religii, a także swobód obywatelskich.

Kanadyjczycy podkreślają nader często, że choć pozornie podobni, są co do zasady zupełnie inni od Amerykanów – nie

→

jesteśmy kulturami, które są szczipione
a potem utkane w jeden kilim
a jego wzór sprawia
że jesteśmy czymś więcej
niż sumą naszych historii
jesteśmy eksperymentem
który dla odmiany
przebiega pomyślnie

Co nam dał Terry Fox

Nie od dziś próba zdefiniowania kanadyjskości przypomina bieg z przeszkodami. Mija się w nim rozwijające się równoległe kultury i tradycje, znoszące się nawzajem prądy kulturowe i obyczajowe, jawne napięcia i przemilczane zadry, konflikty tożsamościowe i światopoglądowe. Tak jak nie ma jednej narracji o Kanadzie, nie ma też archetypu Kanadyjczyka. Jest jednak jeden symbol, który można uznać za wspólny i nośny niezależnie od pochodzenia etnicznego, religii czy światopoglądu. Tym kimś jest Terry Fox.

W 1977 r. Terry był młodym sportowcem u progu dorosłego życia. Zaczął skarżyć się na ból nogi, wkrótce lekarze zdiagnozowali nowotwór kości. Konieczna była amputacja powyżej kolana. Chłopak nie poddawał się chorobie – postanowił przebiec przez całą Kanadę, od jednego brzegu oceanu do drugiego, by zebrać pieniądze na badania nad rakiem. Ten wysiłek nazwał Maratonem Nadziei. Świat obiegły zdjęcia biegacza przemierzającego kraj dzięki metalowej protezie i Terry Fox stał się bohaterem Kanady, nie tylko podziwianym, ale i kochanym. W ciągu 143 dni pokonał blisko 5400 km. Został najmłodszą osobą uhonorowaną Orderem Kanady, najwyższym odznaczeniem, jakie w tym kraju może otrzymać osoba cywilna. Wybija się na nim hasło: „*Desiderantes meliorem patriam*” – „Dla tych, którzy pragną lepszej ojczyzny”.

Ale na trasie maratonu choroba wróciła i miesiąc przed 23. urodzinami Terry zmarł. W całym kraju opuszczono flagi do połowy masztu. Dziś jego imię nosi jeden z górskich szczytów, a także ostatni pokonany przez niego odcinek autostrady Trans-Canada Highway. W 2006 r. Fox w ogólnokrajowym plebiscycie stacji CBC został wybrany drugim największym Kanadyjczykiem wszech czasów. Na pierwszym miejscu znalazł się Tommy Douglas, twórca publicznego systemu ubezpieczeń zdrowotnych.

Kanadyjczycy nie zapomnieli o Terry. Tradycyjnie już w pierwszych dniach września organizowany jest Terry Fox Run. W szkole podstawowej w Toronto, z którą związana była moja rodzina, ten bieg, a raczej spacer, był nieoficjalnym początkiem roku szkolnego. Opowieść o Terry jako przykładzie do naśladowania – człowieku, który nie poddawał się, a do tego myślał o innych – otwiera kolejne lata edukacji kanadyjskich dzieci. Dla mnie, dorastającej w cieniu Westerplatte i wychowanej na wrześniowych akademiach poświęconych męczeństwu żołnierzy, to zaskakująca perspektywa. Dla moich dzieci, wychowywanych w Kanadzie, już zupełnie naturalna.

Uprzejmy jak Kanadyjczyk

Sobotnie popołudnie w szkole jogi przy St. Clair Avenue West w Toronto. Ustawiamy się w pozycji psa z głową w dół, która pomaga rozciągnąć kręgosłup. Instruktorka zachęca: – Dodajcie do tego simhasanę, lwią twarz.

Wydaje się, że to proste zadanie: trzeba tylko szeroko otworzyć oczy, a wzrok skierować w tył głowy. Do tego otworzyć usta, jak najszerzej, wysunąć język i dotknąć jego koniuszkiem do brody. A potem wydać z siebie głębokie: Haaaaa!

Na macie jesteśmy grupą początkującą, nikt nie ma odwagi.

– Nie martwcie się, nikt nie patrzy. Ta asana rozluźni wasze twarze, przewentyluje ciało. Zróbcie: Haaaaa!

– ...ha! Ha! – znad maty dobiegają nieśmiałe dźwięki przypominające ziewanie.

– Zupełnie nie ma w tym siły – kręci głową nauczycielka.

– Pozwólcie sobie na głęboki, prawdziwy ryk. Choć przez chwilę nie bądźcie już tacy kanadyjscy!

– Haaaaaaaaaaaaaa! Haaaaaaaaaaaaaa!

Kanadyjczycy słyną nie tylko z uprzejmości, ale także z pewnej rezerwy. Być może to część brytyjskiego podejścia, które zakłada kontrolowanie emocji i nieobarczanie innych nie tylko swoimi sprawami, ale przede wszystkim zmartwieniami.

– To widać wszędzie: w sklepie, na ulicy, a przede wszystkim w każdym urzędzie. Nie wypada zwracać ludziom głowy swoimi problemami – mówi Ela Kinowska, Kanadyjka i Polka, która od wybuchu pandemii mieszka w Sopocie. – Głębszych relacji nie nawiązuje się tam tak szybko jak w Polsce, ale Kanadyjczycy są dla siebie bardzo uprzejmi na co dzień. Przestrzeń publiczna jest życzliwa, bo Kanada jest mistrzem świata w uprzejmości.

Ela pokazuje czerwoną przypinkę z napisem „*nice*”, miły. Kanadyjska marka odzieżowa Roots rozdawała je w przededniu jubileuszu 150-lecia Kanady w 2017 r. *Nice* nie oznacza tylko bycia grzecznym i miłym, ale też empatię, gotowość do pomocy, otwartość na rozmowę.

Kilka lat temu Ela kupiła od znajomego, Piotra Sobierajskiego, czerwoną skórzaną kanapę. Przywiózł ją i postawił przed jej domem w Ottawie, wprost na śniegu. Wyglądała jak kanadyjska flaga. Ela jest fotografką, filmowczynią i animatorką kultury. Szybko uznała, że na tej kanapie można rozpocząć rozmowę o tym, czym jest dziś Kanada. W ramach „Red Couch Project” razem z Piotrem przejechali 30 tys. km przez wszystkie prowincje i terytoria, nagrali 450 wywiadów. Swoim rozmówcom zadawali tylko jedno pytanie: czym dla ciebie jest Kanada? Ich projekt był częścią obchodów 150-lecia Kanady, a odpowiedzi się nie powtarzały.

Kanada, jako kraj oparty na imigrantach, publikuje wiele kompendiów i poradników pomagających przybyłym odnaleźć się w nowej rzeczywistości i poznać tutejsze reguły gry. Wiele takich publikacji przypomina, że wbrew pozorom kanadyjska etykieta jest dość sformalizowana. Przyjacielski, otwarty stosunek do innych nie jest otwartym zaproszeniem do budowania bliższej relacji. Uprzejmość i życzliwość nie kłócą się z poszanowaniem prywatności. Dotyczy to także prawa do przestrzeni osobistej. Widać to na ulicy – gdzie przyjęto, by chodzić prawą stroną chodnika, trzymać się kolejki, nie pchać do autobusu i raczej nie nawiązywać długiego kontaktu wzrokowego.

Katarzyna Wężyk, publicystka „Gazety Wyborczej”, autorka książki „Kanada. Ulubiony kraj świata”, ze śmiechem wspomina, jak podczas podróży po Kanadzie chciała złapać autostop. Na malowniczej Wyspie Księcia Edwarda wyciągnęła kciuk, od razu zatrzymał się samochód. Kierująca nim kobieta najpierw zaproponowała Katarzynie, że podwiezie ją na rogatki, ale ostatecznie zawiozła 40 km dalej, choć było jej zupełnie nie po drodze.

– Wydaje mi się, że nawet jeśli to przeproszenie i bycie miłym jest powierzchowne, i może czasem, o ile mogę to tak oceniać, wypływa nie tyle z potrzeby serca, ile ze zinternalizowanego mitu i charakteru narodowego, to jednak ułatwia współżycie z innymi kulturami – mówi Katarzyna. – Dlatego to takie szokujące, że ci mili, sympatyczni, uważni Kanadyjczycy urządzili piekło swojej ludności rdzennej.

Historia założycielska Kanady opiera się na machinie asymilacji ludności rdzennej, która obejmowała m.in. system szkół z internatem dla rdzennych dzieci.

Fundowało go państwo, ale placówki prowadzili przede wszystkim duchowni Kościoła katolickiego i Kościołów protestanckich. Dzieci były poddawane tam przemocy – dziś w Kanadzie mówi się o nich nie „absolwenci”, lecz „ocalenci”. Za udział w tworzeniu tego systemu Kanada wielokrotnie przeproszała – słowem, symbolem, ale także gestem, pieniądzem i zmianą polityki. Podobnie przeprosiły też Kościoły protestanckie. Milczą za to kolejni papieże.

W Kanadzie wyartykułowanie przeprosin może być niekiedy traktowane jako przyznanie się do winy albo przejaw słabości. Dlatego m.in. prowincja Ontario przyjęła prawo, które określa granice odpowiedzialności za słowo „przepraszam”. To wielka ulga dla prawników. W sprawach cywilnych mogą powoływać się na konkretny zapis, który *de iure* ustala, jakie skutki prawne rodzi popularne *I'm sorry* – a właściwie, że nie rodzi żadnych. I tak, Ustawa o przeprosinach (The Apology Act) uchwalona w 2009 r. wskazuje, że przeprosiny oznaczają wyrażenie współczucia lub żalu, ale nie sugerują automatycznie przyznania się do winy lub odpowiedzialności.

Kanadyjskie „przepraszam” jest konwenansem. To element społecznego dialogu, nie zawsze opartego na szczerości. Czasem też przeciągle *sohreeee* jest wyszczazane i oznacza mniej więcej tyle, co „ubolewam, że nasze drogi się dziś skrzyżowały” albo „nie mam zamiaru dyskutować, ale to oczywiście twoja wina”. Przeprosiny, rozdawane łatwo i za darmo, są jednak w Kanadzie sprawdzonym elementem strategii radzenia sobie z konfliktami. Dyplomacja nie jest bowiem sztuką prowadzenia wojny, lecz przede wszystkim jej unikania.

Ustawa o przeprosinach wskazuje, że oznaczają one **wyrażenie współczucia lub żalu,** ale nie sugerują automatycznie przyznania się do winy lub odpowiedzialności.

– Kiedy nie buduje się relacji z pozycji siły, to otwartość i uprzejmość bardzo się przydają – mówi ambasador Leslie Scanlon.

Glenn Geher, biolog ewolucyjny, w artykule opublikowanym na łamach „Psychology Today” pisał, że przeprosiny ewolucyjnie są sposobem na utrzymanie wzajemnego altruizmu. Jeśli ty będziesz uprzejmy i pomocny, ktoś ci się w przyszłości zrewanżuje. W Kanadzie polisa na przyszłość może mieć więc formę odśnieżonego chodnika – ludzie wyświadczają sobie takie drobne uprzejmości, bo pewnego ranka sami zobaczą, jak sąsiad pracuje z szuflą na ich wjeździe do garażu.

Ja sama przez lata spędzone w Kanadzie doświadczałam na co dzień tej niewymuszonej, uprzejmej serdeczności. Ktoś poświęcił pół godziny, by przeprowadzić mnie przez labirynt korytarzy PATH, ktoś pomagał dźwigać dziecięcy wózek przez zapy. Z czasem zaczęłam pomagać i ja. Któregoś listopadowego ranka spadł marzący deszcz, który błyskawicznie pokrył nasze czapki, ale też liście, jezdnię i chodniki cienką warstwą lodu. Razem z sąsiadami chcieliśmy odprowadzić dzieci do szkoły, ale nie byliśmy w stanie przejść na drugą stronę ulicy, bo wszyscy się przewracali. Ktoś zaczął machać i zatrzymał samochody. Wzięliśmy się pod rękę, stworzyliśmy łańcuch. Można było się go uczepić i powoli, pojedynczo przedostać się na drugą stronę ulicy – tak samo, jak wychodzi się ze wzburzonego morza.

Brakuje definicji kanadyjskości i pojęć, które wyczerpałyby Kanadę. Jest za to nieuchwytnie, ale trwale doświadczenie Kanady, które można nieść w sobie nawet wiele lat po powrocie do kraju. Raz tylko w Toronto dano mi do zrozumienia, że przeszkadzam. W sklepie w polonijnej dzielnicy Roncesvalles usłyszałam: „Włazło babsko z wózkiem i blokuje kolejkę”. Roześmiałam się, bo choć na drugim końcu świata, znów byłam w domu.

© JOANNA GIERAK-ONOSZKO

Autorka jest dziennikarką oraz menadżerką do spraw komunikacji wewnętrznej i public relations. Autorka „27 śmierci Toby'ego Obeda”, przez kilka lat mieszkała w Kanadzie.



Co nam każe wyjść za próg?

Tekst reporterki Joanny Gierak-Onoszko pochodzi z najnowszego wydania specjalnego o podróżach, wędrówkach i pielgrzymkach we wszystkie strony świata. Czytaj więcej **od środy 4 sierpnia**.

Szczegóły na powszech.net/wdroge

weź, czytaj!

STANISŁAW

Mancewicz:

Bez uśmiechu



TO JASNE, ŻE NA STAROŚĆ LUDZIE RACZEJ gorzknieją. „Słodziak” bądź „miodzio” czy – dla przykładu – „ciacho” to nie są określenia na człowieka w naszym wieku, i nie jest to wcale uogólnienie podpadające pod zakazany dziś ejdżyzm, czyli prześladowanie bliźnich z powodu wieku. Ta, tak znakomicie skondensowana myśl będzie nam dziś pomocna w wywodzie w założeniu pocieszającym. Pocieszyć ma nas przeżyta z uśmiechem przeszłość, ma ona pomóc w tym, co przed nami.

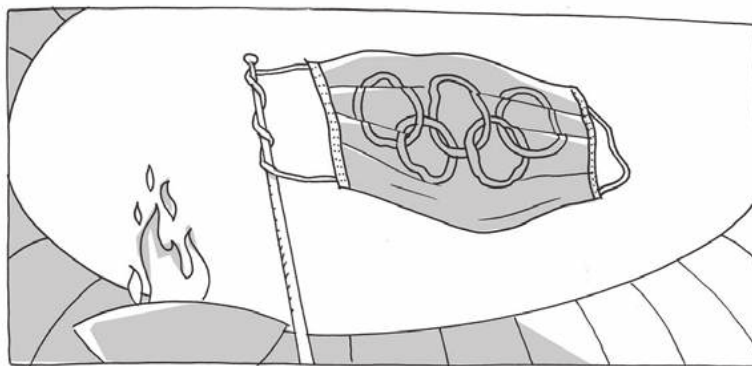
No więc nie ma się co rozczulać ani żyć niczym nieuzasadnionymi nadziejami, że – dajmy na to – wraz z postępem technologicznym, wraz z nadbiegnięciem wszechwiedzącego Pegasusa bądź to fikuśnego oprogramowania do aparatów słuchowych, czy w ramach jakiejś pociesznej akcji czipowania staruszków, osobnicy tacy jak my tu ponuro siedzący, znów jak kiedyś, za pierwszego Kwasa czy za wczesnego Kaczora, wejdą na poziom olimpijski w każdym sensie. A to – przypomnijmy sobie – osiągną szczyt ogromnej ruchliwości i skoczności umysłowej, że jakimś magicznym sposobem odzyskają znakomitą elegancję wyrazu twarzy czy okażą oszałamiającą wszystkich gibkość w robieniu pompek z przyklaskiem. Nie. Z tymi czynami, wspomnieniami i marzeniami należy się prędko pożegnać i starać się grzybieć z godnością, najlepiej w ciemnościach i w ciszy. Ktoś tu teraz, po tych jakby wątroba pisanych słowach, słono zażawiał. Niepotrzebnie. Ktoś zaś dla pocieszenia podeprze się łacińską, rosyjską bądź najlepiej niemiecką sentencją, ktoś powie, że tak być musi, że takie jest odwieczne prawo natury, ktoś znów machnie ręką, a ktoś inny zegnije ją w łokciu, w znanym z dawnej olimpiady geście. Wszystko to są jednak nic niewarte reakcje, odruchy czy też wynikające z braku zdolności

obserwacyjnych gesty, powiedzmy szczerze – puste i nikogo nieobchodzące. Nie ma bowiem po co płakać, i – pardon – żałować róż, gdy płoną lasy. Tak nam się tu powiedziało mimochodem, ale sens jest taki, że wszystkie znaki na ziemi i niebie wskazują, iż gibkość, skoczność wygimnastykowanie, uśmiech i śmiech, inteligentny wyraz twarzy, wszystko to już jest i niebawem będzie po nic. Przyszłość – popatrzmy – maluje się bowiem tak oto, że każda z tych cech, zdolności czy umiejętności jawić się będzie jako przeszkoda w normalnym i bezpiecznym funkcjonowaniu.

Jesteśmy niemal pewni, że już niebawem jakikolwiek przejaw inteligentnego myślenia, błyskotliwego kojarzenia, oryginalnej inwencji czy z nagłą objawianie jakiegokolwiek talentu, cokolwiek z tego wachlarza – będzie najsurowiej karane. Nieprzyjęciem do szkoły, dajmy na to. Albo do żłobka. Człowiek podejrzany się uśmiechający, choćby miał rokzek, choćby nie rozumiał, czym jest nocnik, będzie mógł być w każdej chwili oskarżony o wyśmiewanie się z polskości, z polskiej tolerancji, z tradycji, z języka polskiego, z polskiego obyczaju turystycznego albo – dajmy na to – z religii przodków. Z drugiej strony, bo to jasne, uśmiechający się swym niemowlęcym, bezzębnym uśmiechem może już dziś wyrażać głęboką pogardę wobec ludzi ubogich, niewykształconych, nieczytających bądź niepiśmiennych, chromych dosłownie i chromych w przenośni. W zasadzie każdy uśmiech jest już teraz powodem może jeszcze nie śledztwa, tortur i uwięzienia, ale na pewno – popatrzmy uważnie – do uważnego dochodzenia przez wąskoustych speców. Czy aby – domagają się oni tłumaczenia – mieści się uśmiech ów w regulaminowym rozmiarze. Każda grupa treserów, lewicowych bądź prawicowych, ma już gotowe bardzo sztywne regulaminy tolerowanych długości i szerokości uśmiechów. Każde odstępstwo od rozmiarów jest natychmiast odnotowywane i publicznie ogłaszane. Walkę z nielegalnymi uśmiechami na moment zatrzymała pandemia i wynikająca z niej konieczność noszenia maseczek, ale to wstrzymanie jest chwilowe. Jeszcze – powiadamy – będzie strasznie, a nawet – to widać – będzie jeszcze straszniej.

Na pocieszenie pozostaje przekonanie, a może tylko nadzieja, że wszyscy szczerbato i resztką sił się jeszcze uśmiechający, śmiejący się bez zezwolenia wszelkiej maści treserów, przekonają się, czym jest prawdziwa komedia. © P

BARTOSZ MINKIEWICZ



Zostań

**TYGODNIK
POWSZECHNY**

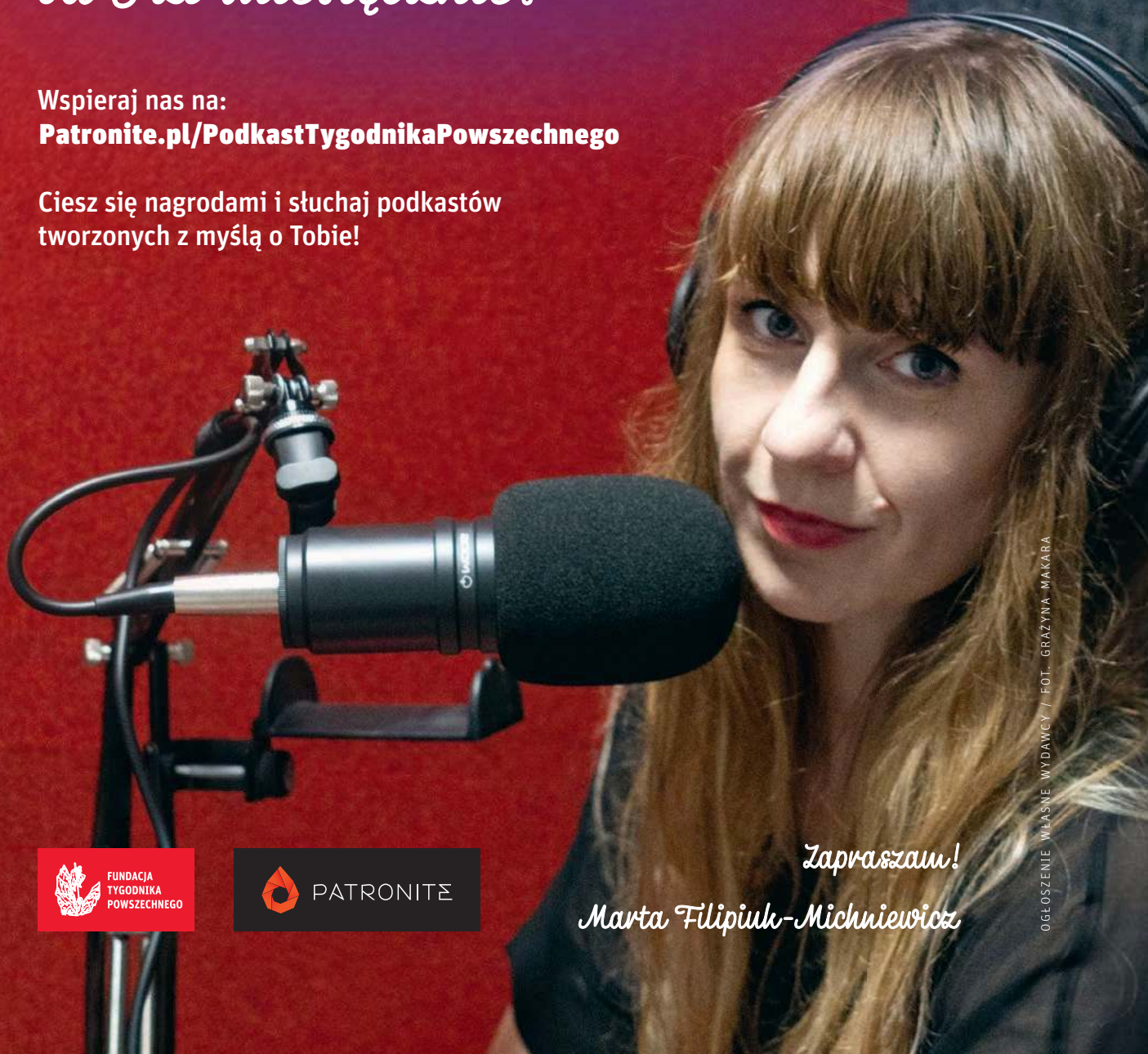
PATRONKĄ PODKASTU POWSZECHNEGO

od 5 zł miesięcznie!

Wspieraj nas na:

Patronite.pl/PodkastTygodnikaPowszechnego

Ciesz się nagrodami i słuchaj podcastów
tworzonych z myślą o Tobie!



FUNDACJA
TYGODNIKA
POWSZECHNEGO



PATRONITE

Zapraszam!

Marta Filipiuk-Michniewicz

OGŁOSZENIE WŁASNE WYDAWCY / FOT. GRAŻYNA MAKARA

weź, czytaj!

zanim zabraknie



* Cena pojedynczego wydania archiwalnego – 15 zł.

i w prenumeracie:

ZASADY ZAKUPU PRENUMERATY „TYGODNIKA POWSZECHNEGO”

Prenumeratę krajową można zamówić przez:

- internet na powszech.net/prenumeruj
- dokonanie wpłaty na konto lub opłacenie przekazem pocztowym: Tygodnik Powszechny
ul. Dworska 1C / LU 3-4, 30-314 Kraków
Bank Pekao SA
nr 49 1240 4533 1111 0000 5431 1987

Prenumeratę zagraniczną można opłacić przez stronę TygodnikPowszechny.pl/wykup-prenumerate, na której podane są ceny.

Szczegółowych informacji udziela Agnieszka Grzywa w godz. 11.00–15.00 pod nr. tel. 668 479 075 lub adresem e-mail: prenumerata@TygodnikPowszechny.pl

Prenumeratę elektroniczną można zamówić przez internet na powszech.net/ewydania Pomocy przy problemach technicznych udziela Mateusz Gawron pod nr. tel. 668 475 263 (w godz. 10.00-14.00) lub pod adresem kontakt@TygodnikPowszechny.pl

Zamów nasze *the best of* – tematyczne numery „Tygodnika Powszechnego. Wydania Specjalnego”, zanim ich nakłady się wyczerpią. Napisz na adres: zamowienia@TygodnikPowszechny.pl, my zajmiemy się resztą.

Do kompletu 4 wybranych wydań dodajemy gratis „TP Historia. Wiślna 12”!

W ofercie dostępne są wydania: „Polska Żydowska”, „Smak wolności”, „Zwierzenia zwierząt”, „Halo tu Ziemia”, „Dobre życie”, „Moc kobiet”, „Święto spotkania”, „Kryzys w Kościele” oraz „Moc mózgu”.

CENNIK PRENUMERATY KRAJOWEJ

PRENUMERATA	EKONOMICZNA	PRIORYTET
Roczna (52 numery)	420 zł	540 zł
Półroczna (26 numerów)	240 zł	300 zł
Kwartalna (13 numerów)	130 zł	160 zł
Pokolenia*	365 zł	
Karta Dużej Rodziny**	365 zł	

„TYGODNIK POWSZECHNY. WYDANIE SPECJALNE” W PRENUMERACIE WRAZ Z „TYGODNIKIEM”

	EKONOMICZNA	PRIORYTET
Roczna + 4 wydania specjalne	490 zł	610 zł
Pokolenia* + 4 wydania specjalne	430 zł	
Karta Dużej Rodziny** + 4 wydania specjalne	430 zł	
4 wydania specjalne	75 zł	

* z oferty POKOLENIA mogą skorzystać osoby poniżej 25. i powyżej 65. roku życia

** z oferty KARTA DUŻEJ RODZINY mogą skorzystać jej posiadacze na warunkach opisanych w regulaminie

Regulamin zakupu prenumeraty – na powszech.net/regulamin



PARTNER MARKETINGOWY

SALESmanago
marketing automation

